

Stanisław Lem

Katar

Doktorowi Andrzejowi Madejskiemu

NEAPOL — RZYM

Ostatni dzień włókł mi się jak żaden. Nie od tremy. Nie bałem się. Nie było zresztą czego. Wciąż czułem się sam w różnojęzycznym tłumie. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Opiekunowie nie pchali mi się w oczy, zresztą nawet ich nie znałem. A ponieważ nie wierzyłem w klątwę, którą ściągam na siebie śpiąc w pidżamach Adamsa, goląc się jego maszynką i chodząc jego śladami nad zatoką, powinienem był czuć ulgę, że zrzucę nazajutrz fałszywą skórę. Także na drodze nie spodziewałem się żadnej zasadzki. Przecież i jemu włos nie spadł z głowy na autostradzie. A jedyną noc w Rzymie miałem spędzić pod szczególną opieką. Mówiłem sobie, że to tylko chęć skończenia z akcją, bo okazała się niewypałem. Mówiłem sobie sporo rozsądnych rzeczy, a jednak wyskakiwałem wciąż z porządku dnia.

Po kąpieli miałem wrócić do Vesuvia o trzeciej, a już dwadzieścia po drugiej znalazłem się w pobliżu

hotelu, jakby mnie tam coś gnało. W pokoju na pewno nic się nie mogło zdarzyć, chodziłem więc po ulicy. Otoczenie znałem na pamięć. Na rogu był zakład fryzjerski, dalej sklep tytoniowy, biuro podróży, od niego ciągnął się hotelowy parking, wpuszczony w lukę między domami. Idąc za hotelem w górę mijano się kaletnika, u którego Adams zeszył sobie urwany uchwyt walizki, i małe kino non stop. Omal nie wszedłem tam pierwszego wieczoru, bo różowe kule na plakacie wziąłem za planety. Tuż przed kasą dostrzegłem swój błąd. To był gigantyczny zadek. Teraz, w nieruchomym upale, poszedłem do rogu i wróciłem skręciwszy- koło przekupnia, który sprzedawał palone migdały.

Zeszłoroczne kasztany już się skończyły. Napatrzywszy się fajkom wszedłem do trafiki i kupiłem paczkę koolów, choć zwykle nie palę mentolowych. Przez uliczny hałas dochodziły z głośników kina stękania i charkoty niczym z rzeźni. Przekupień migdałów popchnął swój wózek w cień padający od zadaszonego podjazdu Vesuvia. Może był to kiedyś wykwintny hotel, ale sąsiedztwo świadczyło

o jego powolnym upadku. Hali stał prawie pusty. Winda była chłodniejsza od mego pokoju. Przyjrzałem mu się krytycznie. Pakować się w takim skwarze znaczyło oblać się potem, a wtedy czujniki nie będą trzymały. Przeniosłem się z pakowaniem do łazienki, w tym starym hotelu prawie tak dużej jak pokój. Łazienka też była duszna, ale miała marmurową podłogę. Wziąłem tusz w wannie na lwich nogach i umyślnie nie wytarłszy się do sucha, zacząłem układać rzeczy w walizkach, bosy, żeby choć tak doznać chłodu. W neseserze natrafiłem na twarde zawiniątko. Rewolwer. Zupełnie o nim zapomniałem. Najchętniej wrzuciłbym go pod wannę. Włożyłem go na dno większej walizki pod koszule, wytarłem starannie skórę na piersi i stanąłem przed lustrem, żeby założyć czujniki. Kiedyś miałem w tych miejscach znaki na ciele, ale znikły. Wymacałem koniuszkowe uderzenie serca między żebrami dla pierwszej elektrody. Druga, w dołku obojczykowym, nie chciała trzymać. Jeszcze raz wytarłem się i przycisnąłem plaster z obu stron, żeby czujnik nie występował nad obojczyk. Nie miałem wprawy, bo

dawniej nie robiłem tego sam. Koszula, spodnie, szelki. Nosilem je od powrotu na Ziemię. To było wygodne. Człowiek nie łapał się wciąż za spodnie od wrażenia, że spadają. Na orbicie ubranie nic nie waży i kiedy się wróci, powstaje ten "spodniowy odruch", stąd szelki.

Byłem gotów. Cały plan miałem w głowie. Trzy kwadransy na obiad plus zapłacenie rachunku i odebranie kluczyków, pół godziny do autostrady ze względu na szczyt, dziesięć minut rezerwy. Zajrzałem do szaf, ustawiłem walizki przy drzwiach, umyłem twarz zimną wodą, sprawdziłem w lustrze, że nie ma czujników, i zjechałem na dół. W restauracji był już tłok. Złany potem kelner postawił przede mną chianti, poprosiłem o pastę z zieleń bazylijską i kawę do termosu. Kończyłem już jeść, patrząc na zegarek, kiedy głośnik zamamrotał: "Mister Adams proszony do telefonu!" Zobaczyłem, jak włoski wstają mi na grzbietach rąk. Iść, czy nie iść? Od stolika pod oknem wstał grubas w pawiej koszuli i poszedł do kabiny. Jakiś Adams. Mało to jest Adamsów? Widziałem już, że nic się nie zaczyna, ale byłem na siebie zły. Płytki

był mój spokój. Otarłem tłuste od oliwy usta, zażyłem gorzką zieloną tabletkę, popilem ją resztą wina i poszedłem do recepcji. Hotel celebrował jeszcze swoje plusze, stiuki i aksamity, ale od oficyn ciągnęło kuchennym zaduchem. Jakby arystokracie odbijało się kapustą. To było całe pożegnanie. Wyszedłem w twarde upały za portierem, który wiozł moje walizki. Auto od Hertza stało dwoma kołami na chodniku. Hornet czarny jak karawan. Nie pozwoliłem portierowi kłaść bagażu do kufra, bo mógł być w nim nadajnik, odprawiłem go banknotem i wsiałem do auta jak do pieca. Od razu spocony, sięgnąłem do kieszeni po rękawiczki. Niepotrzebnie, kierownica była obłożona skórą. Kufer był pusty — gdzie wzmacniacz? Na podłodze przed wolnym siedzeniem, przykryty okładką rozłożonego magazynu, z której zimno patrzyła na mnie goła blondyna, wystawiając błyszczący śliną język. Nie wydałem właściwie głosu, ale coś we mnie z cicha stęknęło, kiedy zacząłem wypychać się w ciągły ruch. Kolumna od świateł do świateł. Choć wypoczęty, byłem miękki, trochę naburmuszony, trochę głupawo rozchichotany w

sobie, może, bo zjadłem kopiasty talerz makaronu, którego nie cierpię. Jak dotąd groza położenia sprowadzała się do tego, że przybrałem na wadze. Za następnym skrzyżowaniem włączyłem dmuchawę. Zawiało ukropem spalin. Wyłączyłem ją. Auta pchały się na siebie po włosku. Objazd. W lusterkach maski i dachy. La potente benzina italiana śmierdziała czadem. Zatrzymałem się za autobusem w jego cuchnącym wydechu. Dzieci, wszystkie w takich samych zielonych czapkach, gapiły się na mnie przez tylną szybę. W żołądku miałem kluchę, w głowie żar, na sercu czujnik, który zaczepiał przez koszulę o szelki przy każdym obrocie kierownicy. Rozerwałem opakowanie kleenexu, rozłożyłem chusteczki na konsolce biegów, bo kręciło mnie w nosie jak przed burzą. Kichnąłem raz, drugi, taki byłem zajęty kichaniem, że ani wiem, kiedy Neapol 'został w tyle, znikając w nadmorskim zniebieszczeniu. Toczyłem się już po del Sole. Jak na szczyt prawie luźno. Plimasiny jakbym wcale nie zażył. Łaskotało w oczach, z nosa ciekło, za to w ustach schło. Przydałaby się kawa, choć wypilem w hotelu dwa kapucynki, ale czas na

kawę dopiero koło Maddaleny. "Heralda" znów nie było w kiosku przez jakiś strajk. Między dymiącymi fiacikami a mercedesem włączyłem radio. Ostatnie wiadomości. Rozumiałem piąte przez dziesiąte. Demonstranci podpalili. Rzecznik prywatnej policji oświadczył. Podziemie feministyczne zapowiedziało nowe akcje. Spikerka czytała głębokim altem deklarację terrorystek, potępienie papieża, jedno za drugim, potem głosy prasy. Damskie podziemie. Nikt się już niczemu nie dziwił. Odjęto nam zdolność dziwienia się. O co im właściwie idzie, o tyranie mężczyzn? Nie czułem się tyranem. Nikt się nie czuł. Biada playboyom. Co one im robią? Czy kler też będą porywać? Wyłączyłem radio, jakbym zatrzasnął zsypanie.

Być w Neapolu i Wezuwiusza nie widzieć — a ja nie zobaczyłem. Miałem do wulkanów stosunek pełen życzliwości. Ojciec opowiadał mi o nich przed snem pół wieku temu. Niedługo będę starcem, pomyślałem, i tak mnie to zaskoczyło, jakbym sobie powiedział, że niedługo będę krową. Wulkany to było coś solidnego, budzącego zaufanie. Ziemia pęka, lawa płynie, domy

się wala. Wszystko jasne i cudowne, kiedy się ma pięć lat. Liczyłem na to, że przez krater można zejść do środka Ziemi. Ojciec temu przeczył. Szkoda, że nie dożył — byłby mi rad. Nie myśli się o przerażającej ciszy tych nieskończonych przestrzeni, gdy słyhać wspaniałe dźwięki zaczepów cumujących nośnik do modułu. Co prawda niedługa była moja kariera. Nie okazałem się godny Marsa. Przeżyłby to bodaj ciężiej ode mnie. Więc cóż — żeby umarł po moim pierwszym locie? Tak planować tę śmierć, żeby zamknął oczy wierząc we mnie, czy to cyniczne, czy tylko głupie? A nie łaska uważać trochę na ruch? Wchodząc w lukę za psychodeliczną lanią zerknąłem we wsteczne lusterka. Chryslera od Hertza ani śladu. Coś błysnęło mi daleko w tyle koło Marianelli, ale nie byłem pewny czy to oni, tamten wóz zaraz się schował. Ta banalna, niedługa trasa, wypchana zaaferowanym tłumem na kołach, mnie jednemu dawała przywilej tajemnicy, czyhającej sposobem niepojętym dla wszystkich policji starego i nowego świata, ja jeden nie po to miałem w aucie nadymak, pływaki, raketę, żeby się wczasować, ale żeby

ściągnąć na siebie niewiadomy cios. Tak próbowałem się podekscytować, daremnie, bo urok dawno już wywietrzył z tej eskapady, nie zastanawiałem się nad zagadką śmiercionośnej zмовy, tylko nad tym, czy nie zażyć drugiej plimasy, bo wciąż ciekło mi z nosa. Wszystko jedno, gdzie jest chrysler. Nadajnik ma stumilowy zasięg. A babcia miała na strychu majtki koloru tej lancii. O szóstej dwadzieścia zacząłem gnać. Jakiś czas jechałem za volkswagenem, miał wymalowane z tyłu wielkie baranie oczy, które patrzyły na mnie z czułym wyrzutem. Auto — wzmacniacz osobowości. Potem dostałem się w lukę za rodakiem z Arizony z nalepką HAVE A NICE DAY na zderzaku. Za mną i przede mną piętrzyły się na dachach łodzie motorowe, wodne narty, worki, wędziska, deski do pływania, toboły malinowe i pomarańczowe, Europa wyciskała z siebie flaki, żeby mieć a nice day. Piąta dwadzieścia pięć. Podniosłem, jak setki razy, prawą, potem lewą rękę patrząc na wyprostowane palce. Nie drżały. A to miał być pierwszy zwiastun. Ale czy można być pewnym? Nikt przecież nic nie wie. A gdybym tak wstrzymał na

minutę oddech, toby się dopiero Randy przestraszył.
Co za idiotyczny pomysł.

Wiadukt. Powietrze załopotało wzdłuż betonowych pacholek. Zerkalem w bok, jakbym podkradał pejzaż. Cudowna była zielona pustka po horyzont zamknięty górami. Z lewego pasa spędził mnie ferrari płaski jak pluskwa. Znów kichałem salwami, jakbym kłął. Szybę miałem wypunktowaną resztkami much, nogawki lepiły się do tydek, odbłask wycieraczek skakał mi do oczu. Wytarłem nos, paczka kleenexu spadła między fotele i szeleściła w przeciagu. Kto opíše martwą naturę na orbicie. Kiedy człowiek myśli, że ma już wszystko przywiązane, namagnesowane, umocowane, doklejone przylepcem, zaczyna się istny seans — rójka pisaków, okularów, luźne końcówki kabli wiją się jak jaszczurki, a najgorsze są okruszki. Polowanie z odkurzaczem na cwibak... A łupież? Przemilczana sprawa te kulisy kosmicznych kroków ludzkości. Tylko dzieci pytały najpierw, jak się siusia na Księżycu...

Góry rosły, brunatne, spokojne, ciężkie i jakby

swojskie. Jedna z lepszych stron Ziemi. Droga zmieniała kierunek, słońce przesuwało się kwadratami wewnątrz auta i to też przypominało niemy, majestatyczny obrót światel w kabinie. Dzień wewnątrz nocy, jedno razem z drugim, jak przed stworzeniem świata, i sen stający się jawą o lataniu, i pomieszanie, osłupienie ciała, że jest .tak, jak nie może być. Słuchałem wykładów o chorobie lokomocyjnej, ale myślałem swoje. To nie były zwykłe mdłości, lecz panika kiszek i śledziony, wnętrzności zatracaly się, zwykle niewyczuwalne, zgłaszały protest. Wprost litowałem się ich ogłupieniu. Podczas gdyśmy się delectowali Kosmosem, naszym ciałom robiło się od niego niedobrze. Od razu miały go zupełnie dość. Ciągnęliśmy je tam, a one stawały dęba. Zapewne trening robił swoje. Przecież i niedźwiedzia można nauczyć jazdy na rowerze, ale czy niedźwiedź jest do tego? Przecież to tylko pośmiewisko. Nie dawaliśmy za wygraną, ustawały uderzenia krwi do głowy, tężenie jelit, ale było to tylko odroczenie porachunków, bo trzeba było w końcu wrócić. Ziemia witała morderczą prasą, wy-

prostowanie kolan, grzbietu stawało się rozpaczliwym wyczynem, głowa leciała na wszystkie strony jak kula z ołowiu. Zdawałem sobie sprawę z tego, że tak będzie, widziałem atletycznych mężczyzn, jak się wstydzili, że nie mogą kroku postąpić, sam kładłem ich do wanien, woda wyzwalała chwilowo od wagi ciała, ale diabli wiedzą czemu wierzyłem, że ze mną tak nie będzie.

Ten brodaty psycholog mówił, że to każdy tak. A potem, gdy człowiek już na powrót oswoił się z ciężeniem, orbitalna nieważkość powracała w snach jako nostalgia. Nie nadajemy się do Kosmosu i właśnie przez to z niego nie zrezygnujemy. Czerwony rozbłysk spłynął mi w nogę wymijając świadomość. Sekunda minęła, nim pojąłem, że hamuję. Opony chrupały po rozsypanym ryżu, grudki były coraz większe, jak grad. Nie, szkło. Kolumna zwalniała coraz bardziej. Prawy pas zastawiony ochronnymi stożkami. Usiłowałem wydostać się spojrzeniem z tłoku aut. Gdzie? Na pole opuszczał się wolno żółty śmigłowiec, kurz jak mąka kłębił się pod kadłubem. Dwa wbite w siebie pudła z wyrwanymi maskami.

Tak daleko od drogi? A ludzie? Opony znów chrupały po szkle, jechaliśmy noga za nogą wzdłuż policjantów, wywijających rękami “prędzej!

prędzej!” Helmy policyjne, karetki, nosze, koła skapotowanego auta jeszcze się kręciły, migacz jeszcze mu mrugał. Jezdnią płynął dym. Asfalt? Nie, chyba benzyna. Kolumna wracała na prawy pas, od szybkości lżej się oddychało. Prognoza przewidywała czterdzieści trupów. Pokazała się mostowa restauracja, obok z mroku hal dużej Area di Servizio lyskały wściekle gwiazdki spawania. Spojrzałem na licznik. Wnet będzie Cassino. Na pierwszym zakolu przestało mnie nagle kręcić w nosie, jakby plimasina teraz dopiero przedarła się przez makaron.

Drugi wiraż. Drgnąłem czując czyjś wzrok w niemożliwy sposób idący z dołu, jakby ktoś leżał lam na wznak i obserwował mnie zimno spod fotela. To słońce rozjaśniło okładkę magazynu z blondynką wystawiającą język. Nie patrząc pochyliłem się i odwróciłem śliski zeszyt pisma na drugą stronę. Pan ma za bogate życie wewnętrzne jak na astronautę, powiedział mi ten psycholog po teście Rorschacha.

Wyciągnąłem go na rozmowę. A może on mnie wyciągnął. Uważał, że są dwa rodzaje strachu, wysoki od wyobraźni i niski, prosto z kiszek. Może chciał mnie w ten sposób pocieszyć, sugerując, że jestem za dobry?

Niebo wyciskało z siebie obłoki zlewające się w bielmo. Zbliżała się stacja benzynowa. Zwolniłem. Wyprzedził mnie młodzieżowy starzec, długie siwe włosy rozwiewał mu wiatr, gnał przed siebie z ochryplą fanfarą, zgrzybiały Wotan. Zjechałem ku pompom. Gdy nalewano mi benzyny, wychyliłem całą zawartość termosu ze zbrązowiałym cukrem na dnie. Szyby w rozpryskach tłuszczu i krwi nie przetarli. Podjechałem dalej, ku wykopom, wysiadłem i rozprostowałem kości. Stał tu duży oszklony pawilon handlowy. Adams kupił w nim talię kart, naśladownictwo włoskiego taroka z XVIII czy XIX wieku. Stacja była w rozbudowie, dół wykopany dla nowego dystrybutora okalał biały, jeszcze nie wywalcowany żwir. Szklane płyty rozsunęły się przede mną. Wszedłem do środka. Było pusto. Sjesta? Już po sjeście. Przeszedłem między stertami kolo-

rowych pudeł i sztucznych owoców. Biały eskalator prowadzący na piętro ruszył, gdy się zbliżyłem, a kiedy obszedłem go, stanął. Zobaczyłem się w telewizorze koło witryn, czarno-biały obraz drżał w słonecznych refleksach, widziałem się z profilu. Chyba nie byłem naprawdę taki blady. Ani jednego sprzedawcy. Na kontuarach piętrzyła się pamiątkowa tandeta, stosy kart, na pewno tych samych. Szukałem w kieszeni drobnych, rozglądając się za sprzedawcą, kiedy żwir na dworze zachrupał pod kołami. Z białego opla, który zatrzymał się zamaszyście, wysiadła dziewczyna w dżinsach, wyminęła rów i weszła do pawilonu. Widziałem ją, odwrócony, w telewizorze. Stała nie ruszając się kilkanaście kroków za mną. Wziąłem z lady imitacje starego drzeworytu, Wezuwiusz dymiący nad zatoką, były tam też pocztówki z podobiznami fresków pompejańskich, którymi gorszyli się nasi ojcowie. Dziewczyna zrobiła kilka kroków w moją stronę, jakby niepewna czy jestem sprzedawcą. Schody ruszyły. Szły cicho, a ona stała, drobna figurka w spodniach. Odwróciłem się, żeby wyjść. Nie było w tym nic osobliwego. Twarz

miała prawie dziecinną, niewyrazistą, drobne usta i to tylko, że patrzyła przeze mnie zaokrąglonymi oczami, drapiąc paznokciem kołnierz białej bluzki, spowodowało, że mijając ją zwoleń kroku, a ona ze spokojną twarzą bez głosu zaczęła lecieć w tył. Byłem tak nie przygotowany, że nim doskoczyłem, leciała jak kłoda. Nie zdążyłem jej podeprzeć, osłabiłem tylko upadek, chwyciwszy za gołe ramiona jakbym z jej zgodą kładł ją na plecach. Leżała jak lalka. Patrząc z zewnątrz można by pomyśleć, że przykląknę nad przewróconym manekinem, bo bliżej szyb po obu stronach stały manekiny w neapolitańskich strojach, a ja między nimi. Wziąłem ją za przegub. Puls był nikły, ale tykał równo. Leżąc pokazywała końce zębów i białka, jakby spała z nie domkniętymi oczami. Sto metrów dalej zajeżdżały pod pompę auta, potem od razu zakręcały i w białym kurzu wracały w huczący nurt del Sole. Tylko dwa samochody stały przed pawilonem, mój i dziewczyny. Powoli wyprostowałem się. Raz jeszcze spojrzałem na leżącą. Przedramię z wiotką kłocią, które puściłem, kłoniło się zwoleń ruchem w bok. Kiedy

pociągnęło za sobą ramię, ukazując jasne włoski obnażonej pachy, dostrzegłem tuż pod nimi dwa drobne znaki jak zadrapania albo miniaturowy tatuaż. Widziałem kiedyś podobny u jeńców SS, ich runy. Ale było to raczej zwykłe znamię. Nogi drgnęły mi, by na powrót klęknąć, lecz powściągnąłem ten odruch. Poszedłem do wyjścia. Jakby podkreślając, że scena się skończyła, idące bezgłośnie schody stanęły. U progu obejrzałem się. Stos kolorowych balonów przesłaniał leżącą, ale zobaczyłem ją w dalekim telewizorze. Obraz drżał. Wydało mi się, że to ona drgnęła. Poczekalem dwie albo trzy sekundy. Nic. Szklane drzwi przepuściły mnie usłużnie. Przeskoczyłem wykop, wsiadłem do horneta i cofnąłem się, żeby zobaczyć rejestrację opla. Była niemiecka. W środku z barwnej mieszaniny rzeczy sterczał golfowy kij. Miałem nad czym myśleć włączając się do ruchu. Wyglądało to na cichy atak epileptyczny, petit mai. Bywają takie, bez drgawek. Mogła poczuć zwiastuny i dlatego się zatrzymała, a kiedy weszła do pawilonu, traciła już przytomność. Stąd niewidzący wzrok i owadzi ruch palców,

drapiących kołnierzyk. Ale mogła to być też symulacja. Nie zauważyłem jej opla na trasie. Co prawda nie byłem zbyt uważny, a takich aut, białych o kanciastej linii, napotkałem sporo! Jak przez powiększające szkło oglądałem każdy zapamiętany szczegół. W pawilonie musiało być co najmniej dwóch, może i trzech, sprzedawców. Wszyscy naraz poszli na drinka? Dziwne. Chociaż, co prawda, teraz i to możliwe. Poszli do kafejki wiedząc, że o tej porze nikt do pawilonu nie zachodzi, a dziewczyna podjechała, bo wolała, żeby to ją naszło tam, a nie na stacji, nie chciała dać przedstawienia chłopcom w kombinezonach Supercortemaggiore. Jak naturalnie to się układało. Prawda? A nie nazbyt naturalnie? Była sama. Kto w takim położeniu jedzie sam? I co? Gdyby się ocknęła, nie odprowadziłbym jej do auta. Staralbym się jej wyperswadować dalszą jazdę. A więc? Radziłbym zostawić opla i przesiąść się do mnie. Każdy by tak postąpił. Na pewno bym tak zrobił, gdybym znalazł się tu jako turysta. Zrobiło mi się gorąco. Powinienem był zostać, żeby wplątać się w to — jeśli było w co się wplątać! Przecież po to tu

byłem! Diabli! Coraz usilniej przekonywałem siebie, że doprawdy straciła przytomność i coraz mniej byłem tego pewny. Nie tylko tego. Nie zostawia się w taki sposób handlowego pawilonu, toż to prawie dom towarowy. Chociaż kasjerka powinna tkwić na swoim miejscu. A kasa pusta. Co prawda całe wnętrze widać na przestrzał z kafejki, z drugiej strony wykopów. Któż mógł jednak wiedzieć, że tu zajadę? Nikt. A więc tak czy owak nie było to wymierzone we mnie. Anonimową ofiarą miałem zostać?

Czyją właściwie? Jakże, sprzedawcy, kasjerka, dziewczyna — wszyscy w tej samej zmowie? To było mi już fantastyczne. Więc zwykły traf. I tak w kółko. Adams dojechał do Rzymu cały. I sam. A inni? Nagle przypomniałem sobie kij golfowy w polu. Mocny Boże, przecież takie kije...

Postanowiłem wziąć się w garść, nawet jeśli się kompletnie zblądziłem. Jak zły, ale uparty aktor wróciłem do sknoconej roli. Na następnej stacji benzynowej poprosiłem nie wysiadając o dętkę. Przystojny brunet w overallu przyjrzał się moim kołom: pan ma bezdętkowe. Ale potrzebuję dętki!

Placilem patrząc ku autostradzie, żeby nie przegapić chryslera, ale go nie było. Dziewięć mil dalej zmieniłem dobre koło na rezerwę. Zmieniłem, bo Adams zmienił. - Gdy przycupnąłem u podnośnika, żar uderzył na dobre. Podnośnik nie posmarowany skrzypiał, niewidzialne odrzutowce pruły niebo nad moją głową i te gromowe głosy przypominały mi okrętową artylerię, kryjącą normandzki przyczółek. Skąd takie wspomnienie? Byłem i potem w Europie, ale jako oficjalny eksponat, co prawda drugiej klasy, bo rezerwowowy, czyli prawie fikcyjny — członek marsjańskiego projektu. Europa prezentowała mi swój godny front, dopiero teraz poznawałem ją jeśli nie lepiej, to bez gali, śmierdzące moczem uliczki Neapolu, ich okropne prostytutki, hotel nawet, jeszcze pyszniący się gwiazdkami, murszał, obłazili go przekupnie, pornokino byłoby niegdyś nie do pomyslenia obok takiego przybytku. A może nie tak, może rację mieli ci, co mówili, że Europa rozkłada się od głowy, od góry? Blacha i narzędzia parzyły. Umyłem ręce kremem, wytarłem w kleenex i wsiadłem. Otwieranie flaszki ze schweppsem, którą

kupiłem na stacji, trwało chwilę, bo zapodział mi się scyzoryk z otwieraczem, wreszcie łykałem gorzki płyn, myśląc o Randym, który gdzieś na trasie słyszał, jak piję. Zagłówek zdążył się rozgrzać od słońca i parzył. Miałem spieczoną skórę na karku. Na asfalcie u horyzontu pływały metaliczne lśnienia, jakby była tam woda. Czyżby grzmot? Tak. Grzmiało. Już chyba i przedtem, kiedy odleciały odrzutowce, ale każdy dźwięk słabszy od bliskiego grzmotu głużył nieustanny pomruk autostrady. Teraz wybił się nad jej huczenie, nadłamywał niebo o jeszcze złotawych chmurach, ale to złoto naciągało nad górami zapiekłą żółcią.

Tablice zwiastowały Frosinone. Pot ściekał mi po plecach, jakby kto piórkiem wodził między łopatkami, a burza, teatralna jak Włosi, zamiast wziąć się do roboty, wygrażała hur-kotaniem bez kropli deszczu. Ale siwawe grzywy szły jak jesienny dym przez krajobraz i widziałem nawet, wchodząc w rozciągly zakręt, miejsce, w którym nawisły skośnie tuman ściąga chmurą ku autostradzie. „Z ulgą przywitałem rozpryski pierwszych grubych kropel na

szybie. Nagle lunęło jak z cebra.

Szyba była istnym pobjowiskiem, nie puściłem więc od razu wycieraczek, wreszcie zeszkrobały owadaj pomiot, wtedy wyłączyłem je i zjechałem na pobocze. Bitą godzinę miałem stać. Deszcz szedł falami, bębniąc po dachu, mijające mnie auta ciągnęły za sobą mętne pasy roziskrzanej wody i kotłowały deszcz, a ja oddychałem głęboko. Uchyłoną szybą lało mi się ciurkiem na kolana. Zapaliłem papierosa, chowając w dłoni by nie zamókł, nie smakował, mentolowy. Przejechał metaliczny chrysler, ale woda tak płynęła po szybach, że nie byłem pewien, czy to ten. Ciemniało coraz bardziej. Błyskawice, trzask jak dartej blachy, z nudów liczyłem czas od rozbłysku do huk, autostrada mruzczała i szumiała, jakby nic nie było jej w stanie porazić. Wskazówki minęły siódmą — czas. Wylazłem z westchnieniem. Zimny tusz nie był zrazu przyjemny, ale wnet zrobiło mi się raźniej. Manipulowałem przy wycieraczkach, niby je naprawiając, popatrywałem przy tym na jezdnię, ale nikt się o mnie nie zatroszczył, policji też ani widu.

Przemoczony do ostatniej nitki wsiadłem i ruszyłem. Burza słabła, ale robiło się coraz ciemniej, za Frosinone nawet nie kropiło, asfalt wysychał, od kałuż na poboczach biło snującą się nisko białą parą, w którą wpadały światła reflektorów, aż zza chmur wyszło słońce, jakby krajobraz chciał w ostatniej chwili przed nocą ukazać się w nowym świetle. W różowym nieziemskim blasku zjechałem na parking mostowej restauracji Pavesiego, odlepiłem koszulę od ciała, żeby nie było znać czujników, i poszedłem na górę. Chryslera na postojowym placu nie zauważyłem. Na górze tłum bełkotał dziesięcioma językami i jadł nie patrząc na auta, które gnały dołem jak kule w kręgielni. Zaszła we i mnie, ani wiem kiedy, zmiana, uspokoiłem się, właściwie zrobiło mi się wszystko jedno, o dziewczynie pomyślałem tak, jakby to się przytrafiło przed laty, wypilem dwie kawy, schweppsa z cytryną, może posiedziałbym dłużej w rozleniwieniu, ale przyszło mi do głowy, że konstrukcja jest żelbetowa, więc ekranuje i nie będą wiedzieli, jak się ma moje serce. Nie ma takich problemów między Houston i Księżycem. Wychodząc

umyłem w toalecie ręce i twarz. Przyglądałem włosy przed lustrem, patrząc na siebie raczej niechętnie, i w drogę.

Teraz miałem znowu mitrężyć. Jechałem, jakbym puścił wodze, a koń znał drogę. Nie podążylem nigdzie myślami, nie śniłem na jawie, a tylko wyłączyłem się, jakby mnie nie było. Nazywałem to kiedyś "życiem kapusty". Uwaga tłała przecież, bo zatrzymałem się podług rozkładu. Był to dobry postój. Stałem pod szczytem łagodnego wzgórza, tam gdzie autostrada wciniała się w jego grzbiet geometrycznym wykopem. Przez to wycięcie, jak przez wielką bramę, mogłem sięgać oczami po horyzont, gdzie betonowy pas zdecydowanym rozmachem przechodził na wylot przez następny połogi garb. Wyglądało, jakby tutaj była szczerbina, a tam muszka. Przetarłem szyby, a że musiałem po to otworzyć kufer, bo skończył mi się kleenex, dotknąłem miękkiego dna walizki, gdzie ciężarem spoczywała broń. Jak w niewiadomej zmowie wszyscy jednocześnie prawie zapalali światła. Obejmowałem wzrokiem znaczną przestrzeń. Kierunek

neapolitański jaśniał białymi smugami, a rzymski czerwieniał jakby po drodze toczyły się czerwone węgielki. U dna kotliny hamowali i hamowanie to mżącą czerwienią dygotało wciąż na tym samym odcinku trasy — ładny przykład fali stojącej. Gdyby droga była ze trzy razy szersza, mogłoby to być w Teksasie albo w Montanie. Taki byłem sam, choć kilka kroków od drogi, że ogarnął mnie pogodny spokój. Ludzie tak jak kozy potrzebują trawy, ale nie wiedzą tego tak dobrze jak one. Gdy w niewidzialnym niebie przechuczał helikopter, odrzuciłem papierosa i wsiadłem do auta. We wnętrzu zachował się ostatek dziennego upału.

Za następnymi wzgórzami bezcieniowe jarzeniówki jęły zwiastować bliskość Rzymu. Miałem jednak dalszą drogę, bo musiałem okrążyć miasto. Mrok uniewidaczał ludzi w autach, a zwały rzeczy na dachach czynił zagadkowymi kształtami. Wszystko stawało się ważne i anonimowe, pełne niedopowiedzeń, jakby u końca drogi znajdowały się niepojęcie doniosłe sprawy. Rezerwowi astronauta musi być choć w jednym calu świnią, bo coś czeka w

nim na spotkanie tych właściwych, a jeżeli nie czeka, to osioł. Musiałem potem jeszcze raz stanąć, kawa, plimasina, schweppes, woda z lodem zrobiły swoje, wyszedłem poza obrys drogi i otoczenie zaskoczyło mnie — było tak, jakby nie tylko ruch znikł, ale i czas razem z nim. Odwrócony, czułem poprzez woń spalin w słabo łopocącym powietrzu woń kwiatów. Co bym zrobił, gdybym miał trzydzieści lat? Zamiast szukać odpowiedzi na takie pytania, lepiej zapiąć rozporek i jechać dalej. Kluczyk upadł mi w ciemność między pedały, szukałem go po omacku, bo nie chciało mi się świecić lampki-w lusterku. Pojechałem dalej ani śpiący, ani trzeźwy, ani zły, ani spokojny — obcy, miękki jakiś i trochę zdziwiony. Masztowe światła wpływały przednią szybą, wybielały mi ręce na kierownicy i ściekały w tył, tablice z nazwami przesuwały się jaśniejac jak zjawy, a betonowe spoiny odzywały się miękkim bębnieniem. Teraz w prawo, na pierścień okółorzyski, żeby wjechać od północy, jak on. Nie myślałem o nim wcale, był jednym z jedenastu, przypadek zrządził, że właśnie po nim dostałem wszystkie rzeczy. Randy obstawał przy tym

i miał zapewne rację. Jeśli już coś zrobić, to tak dokładnie, jak tylko można. A mnie świadomość, że używam koszul i walizek umarłego, była raczej obojętna, jeśli początkowo trudno mi to przychodziło, to tylko dlatego, że były to rzeczy obcego człowieka, a nie dlatego, że nie żył. Trafiały się długie odcinki prawie puste i wciąż mi się zdawało, że czegoś brakuje, przez opuszczone szyby wiało powietrze pełne woni kwitnienia, dobrze, że trawy udały się już na nocny spoczynek. Nawet nosem nie pociągałem. Psychologia psychologią, ale zdecydował katar. Tego byłem pewien, choć wmawiano mi, że nic podobnego. Racjonalnie rzecz biorąc niby prawda, alboż na Marsie rośnie trawa? Więc uczulenie na pyłki nie jest żadnym mankamentem. Tak, ale gdzieś w rubrykach moich akt personalnych, w uwagach musiało być napisane "alergik", a więc niepełnowartościowy. Jeśli taki, to rezerwowy, czyli ołówek, który ostrzy się najlepszymi narzędziami, żeby nim w końcu ani kropki nie postawić. Rezerwowy Krzysztof Kolumb, jak to brzmi.

Z przeciwnej strony szła długa kolumna, a każdy

wóz oślepił, zamykałem na przemian to prawe, to lewe oko. Czym nie zablądził czasem? Jakoś nie zauważyłem zjazdu z autostrady. Naszła mnie obojętność: cóż więcej można, jechać w tę noc i tyle. W wysokim skośnym świetle zamajaczyła tablica ROMA TIBERINA. A więc już. Nocny Rzym zapelniał się światłami i ruchem, w miarę jak zbliżałem się do centrum. Dobrze, że hotele, które miałem kolejno odwiedzić, były blisko siebie. W każdym tylko ręce rozkładano — sezon, komplet, więc gramoliłem się z powrotem za kierownicę. W ostatnim hotelu był wolny pokój, zażądałem więc cichego, w oficynie, portier wytrzeszczył na mnie oczy, pokiwałem z ubolewaniem głową i wróciłem do auta.

Pusty chodnik przed Hiltonem zalewało rzęsiste światło. Wysiadając nie dostrzegłem chryslera i ukłula mnie myśl, że mogli mieć wypadek i dlatego nie widziałem ich po drodze. Zatrzasnąłem machinalnie drzwi i w odbiciu, które spłynęło po szybie, zobaczyłem z tyłu pysk chryslera. Stał za postojem, w półcieniu, między łańcuchami a znakiem

zakazu. Ruszyłem do hotelu. Idąc widziałem ciemne wnętrze auta, jak puste, ale szyba była opuszczona do połowy. Gdy znajdowałem się o pięć kroków, zajarzył się tam punkcik papierosa. Chciałem skinąć im ręką, ale powstrzymałem się, drgnęła tylko, wsadziłem ją do kieszeni i wszedłem do hallu.

To był drobny incydent, powiększony tym, że zamknął się jeden rozdział i zaczynał następny, w chłodnym nocnym powietrzu wszystko stało się nadnaturalnie wyraziste: kadłuby aut na parkingu, mój krok, rysunek bruku, więc to, że nie mogłem ręką ruszyć w ich stronę, podrażniło mnie. Dotąd pilnowałem chronometrażu jak uczeń rozkładu zajęć, nie myślałem naprawdę o człowieku, który jechał przede mną tą drogą, tak samo stawał, pił kawę, krążył od hotelu do hotelu po nocnym Rzymie, żeby tę drogę zakończyć w Hiltonie, bo żywy z niego nie wyszedł. Teraz zamajaczyło mi w przyjętej roli coś urągliwego, jakbym wyzywał los.

Młody fagas, sztywny własną powagą, a może tylko kryjący rozespanie, wyszedł za mną do auta, brał urękawicznionymi rękami przykurzone walizki,

uśmiechałem się bezmyślnie do jego błyszczących guzików. Hali był pusty, drugi dryblas wstawił mój bagaż do windy, która poniosła z dźwiękiem pozytywki. Był we mnie jeszcze rytm jazdy. Nie mogłem go się pozbyć, jak natrętnej melodii. Fagas stanął, otworzył podwójne drzwi, zaświecił kinkiety i sufitówki, gabinet, sypialnia, ułożył moje walizki i zostałem sam. Z Neapolu do Rzymu jest jak ręką podać, a jednak czułem zmęczenie, inne niż zwykle, napięte, i to było kolejnym zaskoczeniem. Jakbym wypił puszkę piwa łyżeczkami — trochę oszalamiającej czczości. Obszedłem pokoje, łóżko sięgało podłogi, nie trzeba bawić się w zagładanie, otwierałem wszystkie szafy, dobrze wiedząc, że w żadnej nie znajdę skrytobójcy, gdybyż to było takie proste, ale robiłem to, co miałem zrobić. Podniosłem prześcieradła, materace podwójne, regulacja wezłowia, jakóś nie wierzyłem, że nie wstanę z tego łóżka. Ejże? Człowiek jest urządzony niedemokratycznie. Centrum świadomości, głosy z lewej, z prawej to tylko malowany parlament, bo są katakumby, które nim trzęsą. Ewangelia według

Freuda. Sprawdziłem klimatyzator, rozsunąłem i zasunąłem żaluzje, sufity były gładkie, jasne, nie jak w “Gospodzie Pod Trzema Wiedźmami”. Jakże wyraźne, uczciwie makabryczne tam niebezpieczeństwo, baldachim łoża, który spadał na śpiącego i dusił go, a tu nie było ani baldachimu, ani zawieszistej romantyki. Fotele, biurko, dywany, wszystko dobrze ułożone, zwyczajna ekspozycja komfortu, czy wyłączyłem w aucie światła?

Okna wychodziły na inną stronę, nie mogłem go dostrzec, chyba tak, a jeśli zapomniałem, niech się Hertz martwi. Zaciągnąłem zasłony, rozebrałem się, niedbale rzucając spodnie, koszulę, już nagi odlepiłem uważnie czujnik. Po prysznicu trzeba go przylepić na nowo. Otworzyłem większą walizkę, pudełko z plastrami leżało na wierzchu, ale nie znalazłem nożyczek. Stałem pośrodku pokoju, czując lekki ucisk w głowie i puszystość dywanu stopami, prawda, wrzuciłem je do teczki. Szarpnąłem niecierpliwie zatrzask, razem z nożyczkami wypadła relikwia zamknięta w plastikowej szybce, żółta jak Sahara fotografia Sinus Aurorae, moje niedoszłe lądowisko

numer jeden. Leżała na dywanie u moich bosych nóg, było to przykre, głupie i znaczące. Podniosłem ją, obejrzałem w białym świetle sufitówek, dziesiąty stopień szerokości północnej i pięćdziesiąty drugi długości wschodniej, u góry zaciek Bosphorus Gemmatus, niżej formacja zwrotnikowa. Miejsca, po których mogłem chodzić. Stałem z tym zdjęciem, wreszcie, zamiast wsunąć je do teczki, położyłem obok telefonu na stoliku nocnym i poszedłem do łazienki.

Prysznic był znakomity, woda buchała setką gorących strumieni. Cywilizacja zaczyna się od bieżącej wody. Klozety króla Minosa na Krecie. Jakiś faraon kazał ulepić cegłę z brudu, zeszkrobywanego ze skóry za całego życia, na własny wezglówek w grobowcu. Obmywania zawsze są po trosze symboliczne.

Jako chłopiec nie myłem auta, gdy miało najmniejszy defekt, dopiero po naprawie, przywracającej mu cześć, woskowałem i polerowałem. A przecież co mogłem wtedy wiedzieć o symbolice czystości i nieczystości,!, kołaczącej we

wszystkich religiach? W apartamentach za dwieście dolarów szanuję tylko ich łazienki. Człowiek czuje się tak, jak jego skóra. W całościennym lustrze widziałem mój namydlony tors z odcisniętym śladem elektrody, jakbym znów był w Houston, biodra białawe od pływek, zwiększyłem dopływ wody i rury zawyły żalobnie. Obliczenie krzywizn przepływu, które nigdy nie wpadają w rezonans, jest ponoć omal nierozwiązywalnym zadaniem, hydrauliki. Ileż niepotrzebnych wiadomości. Wytarłem się nie przebierając w ręcznikach i poszedłem nagi do sypialni, zostawiając mokre ślady. Przylepiłem czujnik nasercowy i zamiast położyć się, usiadłem na łóżku. Dokonałem szybkiego obliczenia — wliczając zawartość termosu, co najmniej siedem kaw. Dawniej zasnąłbym jak susel, ale poznałem już przewracanie się z boku na bok. Miałem w walizce seconal ukryty przed Randym, środek zalecany astronautom, Adams nie miał żadnego. Widocznie świetnie mu się spało. Zażyć teraz byłoby przecież nielojamością. Zapomniałem zgasić światło w łazience. Podniosłem się, kości miałem niechętne. Apartament powiększył

się w półmroku. Nagi, z lożem za plecami, stałem niezdecydowany. Prawda, trzeba zamknąć drzwi. Klucz ma zostać w zamku. 303 — ten sam numer. Zadbali o to. Więc co z tego? Szukałem w sobie strachu. Coś niewyraźnego, trochę wstyd, ale co robić — nie wiedziałem, skąd płynie niepokój, z perspektywy bezsennej nocy czy agonii? Wszyscy są przesądni, choć nie wszyscy o tym wiedzą. Jeszcze raz zlustrowałem otoczenie w świetle nocnej lampki — z nie ukrywaną już nieufnością. Walizki były półotwarte, rzeczy leżały byle jak na fotelach. Istna próba generalna. Rewolwer —? Idiotyzm. Potrząsnąłem litościwie głową nad sobą samym, leżąc już zgasilem nocne światło, rozluźniłem mięśnie i zacząłem miarowo oddychać.

Umiejętność zasypiania o wyznaczonej godzinie była istotną częścią zaprawy. Czy zresztą dwóch ludzi nie siedziało na dole w aucie patrząc w oscyloskop, na którym moje płuca i serce rysowały świecąca linią każde poruszenie? Drzwi zamknięte od środka, hermetyczne okna, cóż mnie obchodzi, że on kładł się o tej samej godzinie do tego właśnie łóżka.

Różnica między Hiltonem a "Gospodą Pod Trzema Wiedźmami" była niezaprzeczalna. Wyobraziłem sobie mój pawrót. Nie zapowiedziany, zajeżdżam pod dom, albo lepiej, tylko pod aptekę, idę pieszo, jakbym wracał ze spaceru, chłopcy już po szkole widzą mnie z góry, rozdudnią się pod nimi schody — targnęło mną przypomnienie, że trzeba się jeszcze napić dzinu. Przez chwilę leżałem w wahaniu, podniósłszy się na łokciu, flaszka została w walizce, zwlokłem się z pościeli, po ciemku do stołu, wymacałem pod koszulami płaski kształt, nałamię do zakrętki, pociekło mi po palcach. Wychyliłem metalowy kubek do dna znów z głupim uczuciem aktora w amatorskiej sztuce. Robię, co mogę, usprawiedliwiałem się przed sobą. Wróciłem do łóżka niewidzialny, tors, ręce, nogi znikły, opalenizna zlewała się z ciemnością, tylko biodra majaczyły białawym pasem. Układałem się, alkohol grzał żołądek, palnąłem poduszkę pięścią: na to ci przyszło, rezerwowo. Naciągnąłem kołdrę i nuż do oddechów. Nadszedł stan półsnu, w którym uchodzące resztki czuwania może zdmuchnąć tylko bierność. Coś mi się

już zwidywało. Latałem w powietrzu. Ciekawa rzecz, o takim szybowaniu śniłem tak samo jak przed po-
bytem na stacji. Jakby uparte katakumby mego
mózgu nie chciały przyjąć do wiadomości żadnych
korektur doświadczenia. Latanie we śnie jest
sfalszowane, bo ciało zachowuje w nim normalną
orientację, a ruchy rąk i nóg są również łatwe jak na
jawie, choć bardziej płynne i lekkie. Naprawdę jest z
tym całkiem inaczej. Mięśnie wpadają w kompletny
zamęt. Chcesz coś odsunąć, tymczasem sam
odlatujesz do tyłu, chcesz usiąść, a podciągasz nogi
pod brodę — od nieostrożnego impetu można się ł
znokautować kolanami. Ciało zachowuje się jak
opętane, a jest tylko rozpętane, wyzbyte zbawiennych
oporów, które stawia mu zawsze Ziemia.

Zbudziłem się na wpół uduszony. Coś miękkiego,
ale nieustępliwego, udaremniało wetchnięcie
powietrza. Zerwałem się z wyciągniętymi rękami,
jakbym chciał chwycić tego, kto mnie dusił.
Przytomniałem siedząc z wysiłkiem, jakbym zdzierał
z mózgu natrętą lepłą powłokę. Przez szparę między
zasłonami wpadał do pokoju rtęciowy poblask z ulicy.

W jego mżeniu dostrzegłem, że jestem sam. Dalej nie mogłem oddychać, nos jak zabetonowany, usta spieczone, wyschły język. Musiałem potwornie chrapać. Wydało mi się, że właśnie to chrapanie dochodziło mnie przez ostatek snu, kiedy się już budziłem.

Trochę chwiejnie wstałem, bo choć zebrałem już zmysły, sen nadal wypełniał mnie jak nieruchomy ciężar. Pochyliłem się ostrożnie nad walizką, żeby sięgnąć na oślep do bocznej kieszeni za gumkę, która przytrzymywała fiolkę pyribenzaminy. Trawy musiały już kwitnąć i w Rzymie. Na południu zaczynają rudzić pylnymi kitkami zawsze najwcześniej, a potem te fale płowienia rozchodzą się, zmierzając ku wyższym szerokościom, wie o tym każdy, kto ma w dożywociu gorączkę sienną. Była druga. Zaniepokoiłem się trochę, czy opiekunowie nie wyskoczą z auta, jeśli moje serce będzie im brykało w oscyloskopie, położyłem się więc na powrót, z twarzą bokiem na poduszce, bo tak najrychlej ustępuje wewnętrzne obrzmienie nosa. Leżałem, jednym uchem wsłuchany w to, co za drzwiami, by się

upewnić, że nie nadciąga nieproszona odsiecz. Panowała cisza i serce wróciło do zwykłego rytmu.

Nie wróciłem już do obrazu domu, bo nie chciałem, a może uznałem, że nie trzeba wciągać malców w tę sprawę. Nie zasnąć bez pomocy dzieci, rzeczywiście! Musi wystarczyć joga, zaadaptowana na użytek astronautów przez doktora Sharpa i jego pomocników. Znałem ją jak pacierz i zastosowałem z takim skutkiem, że mój nos zaświstał ugodowo, przepuszczając po trosze powietrze, a pyribenzamina, wyzbyta trzeźwiącego dodatku, wsączyła mi w mózg właściwą sobie, trochę jakby nieczystą, mątną senność i ani wiem, kiedy zasnąłem na dobre.

RZYM — PARYŻ

O ósmej rano poszedłem do Randy'ego w niezłym nastroju, bo zacząłem dzień plimasiną i mimo suchego upału nie kręciło mnie w nosie. Hotelowi Randy'ego daleko było do Hiltona. Stał w uliczce o rzymskim bruku, zapchanej autami, niedaleko Schodów Hiszpańskich. Zapomniałem jej nazwę. Oczekując Randy'ego w przesmyku, który pełnił rolę hallu, recepcji i kawiarni, przeglądałem kupionego po drodze "Heralda", zainteresowany pertraktacjami Air France z rządem, bo nie uśmiechała mi się perspektywa utknięcia w Orły. Strajkowała pomocnicza obsługa lotniska, ale jak dotąd Paryż przyjmował samoloty.

Wnet zjawił się Randy, w niezłym stanie jak na bezsennie spędzoną noc, co prawda osowiały, ale też fiasko było oczywiste. Zostawał nam Paryż, ostatnia deska ratunku. Randy zamierzał odwiedzić mnie osobiście na lotnisko, ale mu nie dałem. Chciałem, żeby się przespał. Twierdził, że to w jego pokoju

niemożliwe, więc poszedłem z nim na górę. Pokój był istotnie słoneczny, a z otwartej na oścież łazienki ciągnęło zamiast chłodu parzonymi mydlinami.

Szczęśliwie mieliśmy wyż azorski, raczej suchy, więc sięgając do zawodowych wiadomości zaciągnąłem zasłony, namoczyłem ich dolne części, żeby polepszyć cyrkulację powietrza, puściłem małym strumykiem wodę ze wszystkich kurków i po tej samarytańskiej operacji pożegnałem się z nim, zapewniając, że będę telefonował, gdy uzyskam coś konkretnego. Na lotnisko pojechałem taksówką, zawadzwszy o Hiltona po bagaż, i już przed jedenastą popychałem wózek z walizkami do odprawy. Pierwszy raz byłem na nowym dworcu rzymskim i szukałem oczami cudów jego technicznych zabezpieczeń, rozreklamowanych przez gazety, nie podejrzewając, jak dokładnie będę musiał je poznać.

Prasa powitała otwarcie tego dworca hałasem, że przyszedł z nim kres wszelkim zamachom. Tylko oszklona hala odpraw wygląda jak wszędzie. Gmach z wysokości podobny do bębna wypełnia się

eskalatorów i chodników filtrujących dyskretnie ludzi. Ostatnio zaczęto przemycać broń i ładunki wybuchowe w częściach, do złożenia w toalecie samolotu, dlatego Włosi pierwsi zrezygnowali z magnetometrów. Sondażu ubrań i ciał dokonują drgania ultradźwiękowe podczas jazdy eskalatorami, a wyniki tej niewyczuwalnej rewizji ocenia na bieżąco komputer, typując podejrzanych o szmugiel. Pisano, że te drgania wykrywają każdą plombę w zębie i sprzączkę w szelkach. Nie ujdzie im nawet ładunek bezmetaliczny.

Nowy port nosi nieoficjalną nazwę Labiryntu. W próbnym rozruchu przez kilka tygodni wywiadowcy z najprzemysłniej pochowaną bronią pchali się na ruchome schody i ani jednemu jakoby nie udało się przemyt. Labirynt pracował już normalnie od kwietnia bez poważniejszych incydentów, wciąż tylko wyławiano ludzi z obiektami tyleż dziwnymi co niewinnymi, jak rewolwer dziecienny albo jego sylwetka wycięta z cynfolii. Jedni eksperci utrzymywali, że to psychologiczna dywersja zawiedzionych terrorystów, inni, że starania, mające ustalić

rzeczywistą sprawność filtrów. Prawnicy mieli z owymi pseudoprzemysłowcami kłopot, bo ich intencje zdawały się jednoznaczne, ale nie były karalne. Jedyne poważne zdarzenie miało miejsce w dniu, w którym opuszczałem Neapol. Jakiś Azjata pozbył się prawdziwej bomby na tak zwanym "moście westchnień" w środku Labiryntu, kiedy zdemaskowały go czujniki. Cisnął ładunek w głąb hali, nad którą biegnie most, co spowodowało eksplozję, nieszkodliwą, choć nadszarpnęła nerwy współpasażerom. Nic więcej nie zaszło. Myślę teraz, że te drobne wypadki były przygotowaniem do operacji, w której nowy typ ataku miał przebić nową obronę.

Odlot mojej Alitalii opóźnił się o godzinę, bo nie było pewne, czy przyjmie nas Orły, czy De Gaulle. Poszedłem się więc przebrać, bo i w Paryżu zapowiadano 30 stopni w cieniu. Nie pamiętałem, w której walizce mam siatkowe koszulki, więc wybrałem się do łazienek z wózkiem, który nie mieścił się na eskalatorze, i błądziłem długo pochylniami podziemia, aż jakiś radca wskazał mi drogę. Nie wiem, czy był naprawdę radcą, chyba nie, bo prawie

nie władał angielskim, ale miał zielony turban. Ciekaw byłem, czy go zdejmie w wannie. On też udawał się do łazienek. Wycieczką z wózkiem tyle zmitrężyłem czasu, że wziąłem tusz i przebrałem się ekspresowo w płócienne ubranie i sznurowane płócienne trzewiki, a drobiazgi z neseserem wpackowałem do walizki i do odprawy poszedłem z wolnymi rękami. Wszystkie rzeczy poszły na bagaż. Krok ten okazał się rozsądny, bo wątpię, żeby mikrofilmy — miało je w neseserze — wyszły cało z "rzeźni na schodach".

Klimatyzacja na hali szwankowała, miejscami ciągnęło lodem, a miejscami grzało. Przy kierunku paryskim dmuchało ciepłem, narzuciłem więc bluzę na ramiona. To też było szczęśliwym posunięciem. Każdy z nas dostał "przepustkę Ariadny", plastikowy karnet na bilety, w który wprasowano elektroniczny rezonator. Nie można wejść bez niego do samolotu. Tuż za kołowrotem przejścia szedł eskalator tak wąski, że trzeba było wchodzić nań gęsiego. Jazda przypominała trochę Tivoli, a trochę Disneyland. Jedzie się zrazu w górę, tam stopnie

składają się w chodnik biegnący nad halą w potopie jarzeniówek. Mimo to nie widać jej dna, ukrytego w mroku. Nie wiem, jak uzyskano ten efekt. Za „mostem westchnień” chodnik skręca i stając się znów schodami idzie dość stromo wzwyż, przez tę samą halę, ale można ją poznać tylko po ażurowym stropie, bo każdy transporter ujmują z obu stron aluminiowe płyty ze scenami mitologicznymi. Dalszego ciągu drogi nie było mi sądzone poznać. Jej idea jest prosta — karnet pasażera, mającego przy sobie coś podejrzanego, daje o tym znać nieustępliwym dźwiękiem. Napiętnowany nie może uciekać, bo transporter jest zbyt wąski, a powtarzające się pasażer nad halą mają go psychicznie rozmiękczyć i skłonić do pozbycia się broni. W sali odpraw widnieją dwudziestojęzyczne ostrzeżenia, że przemycający broń i materiały wybuchowe narazi swoje życie, jeśli spróbuje terroryzować współpasażerów. Różnie wykładano tę enigmatyczną pogrózkę. Słyszałem o wyborowych strzelcach pochowanych za aluminiowymi ścianami, ale nie dawałem temu wiary.

Lot był czarterowy, ale podstawiony Boeing okazał się nad potrzebę wynajmujących, dlatego kasy sprzedawały na bieżąco pozostałe wolne miejsca. Tak więc popadł w kabałę ten, kto jak ja kupował bilet w ostatniej chwili. Boeing został wynajęty przez jakieś konsorcjum banków, najbliżsi sąsiedzi na schodach nie wyglądali mi jednak na bankowców. Pierwsza weszła na eskalator staruszka z laską, za nią blondynka z pieskiem, potem ja, mała dziewczynka i Japończyk. Spojrzawszy z góry za siebie, ujrzałem płachty gazet rozpostarte przez paru mężczyzn. Woląłem się rozglądać, wetknąłem więc mego "Heralda" pod szelki na barku jak furazerkę.

Blondynka w obszytych perełkami spodniach, obcisłych, aż ukazywały zarys majteczek na pośladkach, trzymała wypchanego psa. Wyglądał jak żywy, bo mrugał. Przypominała mi blondynkę z okładki, która towarzyszyła mi w jeździe do Rzymu. Dziewczynka, z bystrymi oczkami, wyglądała w bieli jak laleczka. Japończyk, niewiele wyższy od niej, przedstawiał gorliwego turystę, cały jakby wyjęty z lodówki znakomitego krawca. Na zapiętym

kraciastym garniturze krzyżowały mu się rzemienie tranzystora, lornetki, dużej kamery Niccon Six, kiedy się obejrzałem, właśnie rozpiął futerał, jakby zamierzał fotografować cuda Labiryntu. Schody spłaszczyły się w chodnik, gdy usłyszałem przeciągły pisk. Odwróciłem się. Dochodził od Japończyka. Dziewczynka odsunęła się od niego trwożniej przyciskając do piersi torebkę z karnetem, on zaś z twarzą bez wyrazu nagłośnił swoje radio. Naiwny, jeśli sądził, że zagłuszy pisk: było to tylko pierwsze ostrzeżenie.

Sunęliśmy nad wielką halą. Po obu stronach pomostu błyszczały w świetlówkach postaci Romulusa, Remusa, wilczycy, a karnet Japończyka był już rozdzierająco. Drgnienie przeszło przez stłoczonych ludzi, choć nikt się nie odezwał. Jeden Japończyk nawet okiem nie mrugnął. Dobrą chwilę stał z kamienną twarzą w nasilającym się wyciu, ale pot występował mu kroplami na czoło. Wyrwał z kieszeni karnet i zaczął się z nim furiacko zmagać. Targał go jak berserker, w ośrodku spojrzeń, choć dalej wszyscy milczeli. Ani jedna kobieta nie

krzyknęła. Co do mnie, byłem tylko ciekaw, w jaki sposób wyłowią go spomiędzy nas. Kiedy “most westchnień” się skończył i chodnik popłynął zakrętem, Japończyk kucnął tak nagle i nisko, jakby się w ziemię zapadał. Nie od razu pojąłem, co robi skulony. Wyrwał z futerału pudło swego Niecona, otworzył je, chodnik jechał z nami znowu po prostej, lecz teraz stopnie zaczęły się podnosić: zmieniał się w eskalator, gdyż drugi “most westchnień” jest właściwie schodami, powracającymi skosem przez wielką halę. Gdy stawał na równe nogi, jednocześnie z jego Niecona wylaniał się obły kształt, roziskrzony jak od cukrowych igielek walec, który ledwie objąłbym garścią. Był to bezmetaliczny granat korundowy, z powłoką zapiekana w zęby, bez trzonka. Przestałem słyszeć wyjący karnet. Japończyk oburącz przycisnął do ust denko granatu, jakby je całował i dopiero gdy oderwał go od twarzy, pojąłem, że wyrwał zębami zapalnik — miał go w wargach. Runąłem po granat, ale dotknąłem go tylko, bo rzucił się gwałtownie w tył, zbijając z nóg ludzi za sobą i kopnął mnie w kolano. Odwiniętym łokciem

trafiłem dziewczynkę w twarz, zanosło mnie impetem na poręcz, zderzyłem się z nią znowu i pociągnąłem za sobą, przeskakując przez poręcz. Polecieliśmy oboje. Poczulem twarde uderzenie w krzyż i z blasku wpadłem w mrok.

Oczekiwałem uderzenia o piasek. Gazety nie pisały, co pokrywa dno hali mostowej, ale podkreślały, że eksplozja bomby nie wywołała żadnych zniszczeń. Więc liczyłem na piasek i dlatego starałem się lecąc zebrać nogi. Ale zamiast piasku poczułem coś miękkiego, podatnego, mokrego, co zapadło się pode mną jak piana, a pod nią wpadłem w lodowatą ciecz: zarazem .aż do szpiku wszedł we mnie grzmot eksplozji. Zgubiłem dziewczynkę. Nogi wlaży mi w grząski muł czy błoto, pogrążyłem się w nim, bijąc rozpaczliwie "rękami, aż jak silna garść chwycił mnie spokój. Miałem około minuty, może nieco więcej, żeby się wykaraskać. Pierwej myśleć, potem działać. Musiał to być zbiornik utrudniający ukształtowaniem kumulację fali udarowej. A więc nie czasa, raczej lej, wyłożony grząską masą, wypełniony wodą, pokrytą grubym kozuchem

tlumiącej piany. Zamiast rwać się w górę daremnie, bo ugrzązłem po kolana, przysiadłem jak żaba, macając rozpostartymi rękami dno. Podnosiło się z prawej. Używając rąk płasko jak szufli poczołgałem się tam, wycmokując nogi z mazi — był to ogromny wysiłek. Popęzłem dalej; obślizgiwałem się po pochyłości, znowu użyłem rąk jako szufli, dźwigając się na nich, jak przy wspinaczce bez chwytów po śniegowym zboczu, ale tam można oddychać.

Darłem się w górę, aż na twarzy jęły mi pękać wielkobąbliste pęcherze i wypłynąłem wpółuduszony, łapiąc powietrze, w półmrok pełen chóralnego wycia ludzi nade mną. Rozejrzałem się z głową tuż nad rozchybotaną powierzchnią piany. Dziewczynki nie było. Wciągnąłem porządnie powietrze i zanurkowałem. Nie mogłem otworzyć oczu, w wodzie było coś, od czego piekły żywym ogniem, trzy razy wyłaziłem i nurkowałem, czując, że tracę siły, bo nie mogłem się odbić od grząskiego dna, musiałem nad nim pływać, żeby mnie nie wessało. Traciłem nadzieję, kiedy w dłoń wpadły mi jej długie włosy. Od piany była cała śliska jak ryba. Kiedy skręcałem jej

bluzkę w węzeł uchwytu, trzasła mi w pięści.

Nie wiem dobrze, jak wydostałem się z nią na górę. Pamiętam szamotaninę, wielkie pęcherze, które zdzieralem z jej twarzy, ohydny metaliczny smak tej wody, moje bezgłośnie przekleństwa i to, jak przepychałem ją przez brzeg leja — było to grube obwałowanie, elastyczne jak z gumy. Kiedy już leżała za nim, nie od razu wylazłem z wody, zwisałem w dół po szyję w trzeszczącej cicho pianie, dysząc, a ludzie wyli. Wydało mi się, że pada na mnie rzadki, ciepły deszcz. Czulem pojedyncze krople. Widać mającę, przemknęło mi, bo i skąd tu deszcz? Zadzierając głowę ujrzałem most. Płachty aluminium zwisały z niego jak szmaty, a podłoga przeświecała niczym sito. Stopnie są odlane ze stali na kształt plastra miodu — umyślne rzeszota, mają przepuścić podmuch, ale wstrzymać odłamki.

Wydźwignąłem się na wałowaty brzeg w deszczu, który wciąż padał, i przelożyłem sobie dziewczynkę przez kolano, twarzą ku ziemi. Było z nią lepiej niż się obawiałem, bo zaczęła wymiotować. Masowałem miarowo jej plecy, czując, jak pracuje wszystkimi

kosteczkami. Krztusiła się i dławiła, ale już dyszała. Mnie też brały torsje. Pomogłem im palcem. Ulżyło trochę, ale nie miałem jeszcze odwagi stanąć na nogach. Już dostrzegałem otoczenie, choć niewiele dochodziło tu światła, tym bardziej, że część jarzeniówek nad mostem zgasła. Wycie nad nami zmieniało się w jęki i charczenie. Konają tam, pomyślałem — dlaczego nikt nie pojawia się z pomocą? Skądś płynął zgiełk, coś szczekało, jakby usiłowali uruchomić zastygły eskalator. Dobiegły mnie krzyki, ale inne, ludzi zdrowych, całych. Nie rozumiałem, co się dzieje w górze. Cała długość eskalatora była zapchana ludźmi zwalonymi na siebie w panice. Nie można się było dostać do ginących nie usunąwszy pierwszej oszalałych ze strachu. Odzież i buciki uwięzły między stopniami. Nie było żadnego bocznego dojścia, most okazał się pułapką.

Tymczasem zatroszczyłem się o siebie i małą. Zdawało mi się, że jest przytomna, bo usiadła. Mówiłem do niej, że już wszystko dobrze, żeby się nie bała, że zaraz się stąd wybierzemy. Oczy nawykły do ciemności i wnet w samej -rzeczy odnalazłem wyjście.

Była to kłapa, uchylona od niedopatrzenia. Gdyby pilnowali swego, zostalibyśmy tam jak myszy w potrzasku. Za kłapą był tunel, okrągły, podobny do kanału, z następną kłapą, a właściwie wypukłą tarczą, także nie domkniętą. Korytarz z żarówkami w okratowanych niszach doprowadził nas do podziemia niskiego jak bunkier, pełnego kabli, rur i węzłów sanitarnych. — Te rury mogą doprowadzić do łazienek — zwróciłem się do dziewczynki, ale jej nie było. — Hej! Gdzie jesteś! — krzyknąłem, rozglądając się po całej przestrzeni, podpartej betonowymi kłocami. Zobaczyłem ją biegnącą boso od jednej podpory do drugiej. Dopadłem jej w paru susach z nieznośnym bólem w krzyżu i wziąłem ją za rękę mówiąc surowo: — Cóż to za pomysły, moja kochana? Musimy się trzymać razem, bo zabłądzimy. — Milcząc, poszła za mną. Daleko przed nami zaświtało: pochylnia o kaflowanych białych ścianach. Wyszliśmy nią na wyższy poziom i tu od jednego spojrzenia otoczenie wskoczyło mi w głowie na właściwe miejsce. Poznałem następną pochylnię otwierającą się opodal: tamtędy toczyłem przed

godziną bagażowy wózek. Jakoż za węglem ukazał się korytarz z szeregiem drzwi. Otworzyłem pierwsze, wrzucając monetę, miałem drobne-w kieszeni, i zaraz wziąłem małą za rękę, bo wydało mi się, że znów chce uciekać. Chyba jeszcze była w szoku. Nic dziwnego. Wciągnąłem ją do łazienki. Nie odzywała się i ja też przestałem do niej mówić, kiedy zobaczyłem ją w świetle całą we krwi. To był ten ciepły deszcz. Musiałem wyglądać tak samo. Zwlokłem wszystko z niej i z siebie, cisnąłem do wanny, odkręciłem kurek, a sam w slipach popchnąłem ją pod tusz. Gorąca woda złagodziła trochę ból w krzyżu. Spływała z nas różowymi strumieniami. Nacieralem małej plecy i boki, nie tylko by zmyć krew, ale żeby ją docucić. Dawala wszystko z sobą robić, bierna nawet, gdy jak mogłem, plukałem jej włosy. Gdyśmy wyszli spod prysznicu, spytałem lekkim tonem, jak się nazywa. Annabella. Angielka? Nie, Francuzka. Z Paryża? Nie, z Clermont. Zacząłem mówić do niej po francusku, zarazem wyciągając jak popadło po sztuce nasze rzeczy z wanny — dla przepierki. — Jeśli czujesz się na siłach — zaproponowałem — może wypłuczesz

sobie sukienkę? Posłusznie schyliła się nad wanną. Wykręcając spodnie i koszulę, zastanawiałem się, co dalej. Lotnisko jest zamknięte i pełne policji. Po prostu iść, aż nas gdzieś zatrzymają? Ale władze włoskie nie wiedziały o mojej imprezie. Jedyным wtajemniczonym z zewnątrz był Du Bois Penner, pierwszy sekretarz ambasady. W hali pozostała moja bluza z biletem na inne nazwisko niż kwit hotelowy. Rewolwer i elektrody zostawiłem w Hiltonie jako paczkę, którą Randy miał odebrać wieczorem. Jeśli przechwycą to, stanę się im już uczciwie podejrzany. Już się stawiałem: zbyt wiele wprawy w desperackim skoku, zbyt dobra orientacja w podziemiach dworca, zbyt staranne usuwanie śladów krwi. Dopuszczałem nawet oskarżenie o jakiś rodzaj współnictwa. Nikt nie stoi poza podejrzeniem, odkąd czcigodni adwokaci i inni notable przenoszą z ideowej sympatii bomby. Oczywiście wyplątałbym się ze wszystkiego, ale pierwszej znajdę się pod kluczem. Nic tak nie dopinguje policji jak bezradność. Przyjrzałem się krytycznie Annabelli. Miała podbite oko, mokre włosy wisiały jej w strąkach, suszyła właśnie sukienkę pod dmuchawą

do suszenia rąk, zmyślna dziewczynka. Ułożyłem w głowie plan. — Słuchaj, moja miła — powiedziałem — wiesz, kim jestem? Jestem amerykańskim astronautą, a w Europie przebywam w bardzo ważnej misji incognito. Rozumiesz? Muszę jeszcze dziś być w Paryżu, a tu będą nas chcieli przesłuchiwać po sto razy. Grozi zwłoka. Więc muszę zaraz zadzwonić do ambasady, żeby ściągnąć pierwszego sekretarza. On nam pomoże. Lotnisko zamkną, ale prócz zwykłych są samoloty specjalne, z pocztą dyplomatyczną. Polecimy takim samolotem. Razem. Co? jak ci się to podoba?

Tylko patrzyła na mnie. Jeszcze nie może się otrząsnąć, pomyślałem. Zacząłem się ubierać. Trzewiki zachowałem, bo były sznurowane, ale Annabella zgubiła swoje treпки. Co prawda bosa dziewczynka na ulicy to dziś nic takiego. A haleczka mogła ująć za bluzkę. Pomogłem jej ułożyć z tyłu falbanki na sukience, już prawie suchej. — Teraz będziemy udawać ojca i córkę, tak najłatwiej dostaniemy się do telefonu — powiedziałem. — Rozumiesz? — Skinęła głową, wziąłem ją za rękę i

poszliśmy w świat. Na pierwszy kordon natknęliśmy się za pochylnią. Karabinierzy wypychali za drzwi dziennikarzy z kamerami, strażacy biegli w drugą stronę, w hełmach, nikt się nam dokładnie nie przyglądał, a policjant, z którym mówiłem, znał trochę angielski. Powiedziałem, żeśmy się kąpali, ale nie słuchał nawet, kazał nam jechać na górę eskalatorem B do sekcji europejskiej, gdzie są gromadzeni wszyscy pasażerowie. Poszliśmy więc do eskalatora, ale gdy nas zasłonił, skręciłem w boczny korytarz. Zgiełk został za nami. Weszliśmy do pustej poczekalni dla pasażerów oczekujących bagaży. Za płynącymi cicho taśmami stały rzędem kabiny automatów telefonicznych. Wziąłem Annabellę do kabiny i nakręciłem numer Randy'ego. Wyrwałem go ze snu. W żółtym świetle, otoczywszy ręką muszlę słuchawki powiedziałem mu, co się stało. Przerwał mi tylko raz, jakby sądząc, że nie dosłyszy. Potem słyszałem już tylko jego ciężki oddech, a potem już nic, jakby zmarł w sobie.

— Jesteś tam? — powiedziałem, kiedy skończyłem.

— Chłopie — powiedział. I jeszcze raz: — Chłopie!! Nic więcej.

Teraz wyluszczyłem najważniejsze. Ma wyciągnąć Fennera z ambasady i zaraz z nim przyjechać. Musi to być zrobione szybko, bo tkwimy między dwoma kordonami policji. Port zamknięto, ale Fenner na pewno się przedostanie. Mała jest ze mną. Czekamy w lewym skrzydle gmachu, przy transporterze bagażowym E 10, przy kabinach. Jeśli nas tam nie będzie, to albo znajdą nas wśród innych pasażerów w sekcji europejskiej, albo — najprędzej — w prefekturze. Kazałem mu wszystko zwięźle powtórzyć. Odłożyłem słuchawką, spodziewając się uśmiechu dziewczynki, że tak dobrze się nam udało, a choćby wyrazu ulgi, ale była wciąż tak samo zeszywniała i milcząca. Kiedy na nią nie patrzałem, zerkala na mnie ukradkiem. Jakby czegoś oczekiwała. Między kabinami znajdowała się wyściełana ławka. Usiedliśmy na niej. W głębi przez szklane ściany otwierał się widok na estakady dojazdowe lotniska. Jedna za drugą zajeżdżały karetki pogotowia technicznego. Z głębi budynku

dobiegały przez ciągły hałas spazmatyczne wrzaski kobiece — byle coś mówić, spytałem dziewczynkę o rodziców, o jej wycieczkę, czy ktoś odprowadził ją na lotnisko, odpowiadała jakby niezupełnie do rzeczy, monosylabami, nie chciała powiedzieć, jaki ma w Clermont adres, co już mnie trochę zgniewało. Zegarek wskazywał pierwszą czterdzieści. Od rozmowy z Randym upłynęło już ponad pół godziny. Ludzie w kombinezonach kłusem przatoczyli przez poczekalnię coś, co wyglądało mi na spawarkę elektryczną, ale nawet nie spojrzeli w naszą stronę. Znow rozległy się kroki. Wzdłuż kabin szedł technik ze słuchawkami na uszach, przybliżając tarczkę wykrywacza min do każdych drzwi. Na nasz widok przystanął. Przyszło za nim dwóch policjantów. I oni zatrzymali się przed nami. — Co tu robicie? — Czekamy — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Jeden z karabinierów pobiegł gdzieś i wrócił zaraz z roslym cywilem. Na powtórzone pytanie odparłem, że czekamy na przedstawiciela ambasady amerykańskiej. Cywil chciał zobaczyć moje papiery. Kiedy wyjmowałem portfel, technik wskazał na

kabinę, przy której siedzieliśmy. Jej szyby pokryła wewnątrz mgła, od naszych ubrań, parujących, gdyśmy stali w środku. Wytrzeszczyli na nas oczy. Drugi karabinier dotknął moich spodni: — Mokre!

— Tak! — przytwierdziłem skwapliwie. — Mokrzuteńkie!

Podnieśli na nas lufy.

— Nic się nie bój — mruknąłem do Annabelli. — Cywil wyjął z kieszeni kajdanki. Bez żadnych formalnych oświadczeń przykuł mnie do siebie, Annabella zajął się policjant. Dziwnie jakoś na mnie patrzyła. Cywil podniósł do ust walkie-talkie, zwisające mu przez ramię, i powiedział coś po włosku tak szybko, że nic nie zrozumiałem. Odpowiedź uradowała go. Wyprowadzono nas bocznym wyjściem, gdzie dołączyli się do orszaku trzech inni karabinierzy. Eskalator stał. Zeszliśmy szerokimi schodami do hali odpraw, widziałem już przez szyby rząd policyjnych fiatów i zastanawiałem się właśnie nad tym, który nam przeznaczono, gdy z przeciwnego kierunku zajechał czarny continental ambasady z proporczykiem. Nie pamiętam, kiedy widok gwiazd i

pasów sprawił mi taką przyjemność. Wszystko szło jak na scenie — zstępowaliśmy skuci ku szklanym drzwiom, a tamci wchodzili właśnie do środka, Bu Bois, Randy i tłumacz ambasady. Wyglądali dość dziwnie, bo Randy był w samych teksasach, a tamci dwaj w smokingach. Randy drgnął na mój widok, pochylił się ku Fennerowi, ten zwrócił się do tłumacza, który podszedł ku nam.

Obie grupy zatrzymały się i przyszło do krótkiej, malowniczej sceny. Rzecznik odsieczy wdał się w rozmowę z cywilem, do którego byłem przykuty. Rozmowa toczyła się staccato, mój Włoch miał w niej ten handicap, że łączyły go ze mną kajdanki, i wciąż o tym zapominając, podrywał mi rękę w gestykulacji. Oprócz "astronauta Americano" i "presto! presto!" nic nie rozumiałem. Ostatecznie mój opiekun dał się przekonać i ponownie użył swego radia. Zaszczyt przemówienia do aparatu przypadł też Fennerowi. Potem mój agent jeszcze raz przemówił do pudełka, które odezwało się tak, że zebrał nogi na baczność. Sytuacja uległa farsowej zmianie. Zdjęto nam kajdanki, uczyniliśmy zwrot w tył i w szyku

podobnym jak poprzedni, lecz przy odwróconym sensie — aresztujący stali się eskortą honorową — udaliśmy się na piętro. Minęliśmy poczekalnie pełne pasażerów biwakujących na czym się dało, przeszliśmy przez mundurowy kordon, aby przez jedne i drugie obite skórą drzwi wejść do gabinetu zapchanego ludźmi.

Apoplektyczny olbrzym zaczął na nasz widok wyganiać ich za drzwi. Wyszło wielu, lecz i tak pozostało w pokoju z dziesięć osób. Schrypnięty apoplektyk okazał się wiceprefektem policji. Podsunięto mi fotel, Annabella siedziała już na drugim. Mimo słonecznego dnia płonęły wszystkie światła, na ścianach wisiały przekroje Labiryntu, jego makieta stała na wózku obok biurka, na blacie lśniły mokre jeszcze fotografie. Mogłem się domyśleć ich treści. Fenner, siadając za mną, ścisnął mnie za ramię: poszło tak gładko, bo zatelefonował do prefekta jeszcze z ambasady. Jedni ludzie otoczyli biurko, inni posiadali na parapecie okna, wiceprefekt nie odzywał się, chodził tylko z kąta w kąt, z drugiego pokoju wyprowadzono pod rękę zapłakaną

sekretarkę, tłumacz kręcił głową między mną i małą, gotów przyjąć nam z pomocą, ale mój włoski nadzwyczaj się jakoś poprawił. Dowiedziałem się, że pletwonurkowie wyłowili z wody moją bluzę i torebkę Annabelli, dzięki czemu stałem się głównym podejrzanym, bo już i z Hiltonem zdążyli się połączyć. Miałem być współnikiem Japończyka. Zamierzaliśmy uciekać z nim do przodu po odbezpieczeniu bomby, dlatego wstąpiliśmy jako jedni z pierwszych na schody. Coś jednak weszło nam w szyki, Japończyk zginął, a ja ratowałem się skokiem z mostu. Tu się ich poglądy rozchodziły. Jedni mieli Annabelle za terrorystkę, inni sądzili, że porwałem ją dla przetargów jako zakładniczkę. Dowiedziałem się tego prywatnie, bo oficjalna indagacja jeszcze się nie zaczęła — czekano na szefa ochrony lotniska. Gdy się zjawiał, Randy jako samozwańczy rzecznik amerykański złożył wyjaśnienie o naszej akcji. Słuchałem go, dyskretnie odlepiając mokre nogawki od łydek. Wyjaśnił tylko to, co było konieczne. Fenner też był zwięzły. Oświadczył, że nasza akcja jest ambasadzie znana, że został o niej powiadomiony

również Interpol, który miał przekazać informacje, stronie włoskiej. Było to zreczne pociągnięcie, bo całe odium spychano na instytucję międzynarodową. Rzecz jasna, nasza impreza nic ich nie obchodziła. Chcieli wiedzieć, co zaszło na schodach. Inżynier z technicznej służby portu uważał za niepojęte, jak mogłem wydostać się z leja i z hali nie znając tamtejszych urządzeń, na co Randy zauważył, iż nie należy nie doceniać wyszkolenia komandosów USAF, jakie przeszedłem. Nie powiedział tylko, że przeszedłem je przed trzydziestu paru laty. Wciąż dochodziły nas odgłosy kucia, wstrząsające murami. Trwała jeszcze akcja ratunkowa — przecinano część mostu, naderwaną wybuchem. Dotąd wydobyto ze szczątków dziewięć trupów i dwadzieścia dwie osoby ranne, w tym siedem ciężko. Za drzwiami zakotłowało się, wiceprefekt wysłał tam skinieniem jednego z oficerów.

Kiedy oficer wyszedł, przez lukę w kręgu otaczających zobaczyłem na osobnym stoliku moją bluzę, rozprutą wzdłuż wszystkich szwów i tak samo rozdartą torebkę Annabelli. Jej zawartość

spoczywała na kwadratach białego papieru, rozsortowana niby sztony do gry. Oficer wrócił, rozkładając ręce: prasa! Jacyś przedsiębiorczy dziennikarze przedarli się aż tutaj, nim ich odparto. Inny oficer zwrócił się wtedy do mnie:

— Porucznik Canetti. Co może pan powiedzieć o użytym ładunku? Jak był przenoszony?

— Kamera miała fałszywe denko. Kiedy ją otworzył, tylna ścianka wyskoczyła z filmem jak diabełek z pudełka. Wtedy wyjął granat.

— Czy panu jest znany ten typ granatu?

— Podobne widziałem w Stanach. Część dróżki prochowej znajduje się w rączce. Widząc, że nie ma rączki, zorientowałem się, że zapalnik został przerobiony. Jest to obronny granat rozpryskowy o wielkiej sile rażenia. Metalu w nim tyle co nic. Skorupa jest spiekana z węglików krzemu.

— W tym miejscu eskalatora znalazł się pan przypadkowo, nieprawdaż?

— Nie.

Wahałem się, w pełnej napięcia ciszy, przerywanej tylko odgłosem kucia, bo szukałem

właściwych słów.

— Nie znalazłem się tam całkiem przypadkowo. Japończyk szedł za dziewczynką, bo wiedział, że dziecko na pewno nie spróbuje mu wejść w paradę. Dziewczynka — wskazałem ją oczami — poszła przodem, bo zaintrygował ją piesek. Tak mi się wydało. Czy tak było? — spytałem Annabellę.

— Tak — powiedziała, wyraźnie zdziwiona. Uśmiechnąłem się do niej.

— Co do mnie... spieszyłem się. To oczywiście irracjonalne, ale kiedy człowiekowi spieszno, całkiem mimo woli chce pierwszy znaleźć się w samolocie, więc i na schodach do samolotu... Nie myślałem o tym. To się samo stało.

Odetchnęli. Canetti powiedział coś cicho do prefekta. Ten skinął głową.

— Chcielibyśmy zaoszczędzić panience wentylowania... pewnych szczegółów. Czy panienka zechce nas na chwilę opuścić?

Spojrzałem na Annabellę. Uśmiechnęła się do mnie po raz pierwszy i wstała. Otwarto jej drzwi. Kiedy zostaliśmy sami, Canetti zwrócił się do mnie

znowu.

— Mam takie pytanie: kiedy zaczął pan podejrzewać Japończyka?

— W ogóle go nie podejrzewałem. W swoim stylu był zrobiony znakomicie. Gdy kucnął, błysnęło mi, że zwariował! A gdy odbezpieczył granat, zrozumiałem, że nie mam trzech sekund.

— A ile?

— Tego nie mogłem wiedzieć. Granat nie wybuchł, gdy wyrwał zawleczkę, więc miał opóźnienie. Myślę, że jakieś dwie sekundy może dwie i pół.

— My też tak uważamy — wtrącił jeden z ludzi przy oknie.

— Pan ma zdaje się trudności z chodzeniem? Czy został pan kontuzjowany?

— Wybuchem nie. Usłyszałem go wpadając do wody. Ile jest z mostu? Pięć metrów?

— Cztery i pół.

— A więc jedna sekunda. Moje sięgnięcie po granat i przerzut przez poręcz to też sekunda. Pan pytał o kontuzję? Uderzyłem o coś-krzyżami,

spadając. Miałem kiedyś pęknięcie kości ogonowej.

— Tam jest deflektor — wyjaśnił człowiek spod okna. — Wysięgnik ze skośnym okapem. Kieruje każdy obiekt tak, żeby wpadł w środek uchylni. Pan nie wiedział o deflektorze?

— Nie.

— Przepraszam. Jeszcze ja! — odezwał się Canetti. — Czy ten człowiek — ten Japończyk — rzucił granat?

— Nie. Trzymał go do końca.

— Nie usiłował uciec?

— Nie.

— Poltrinelli, szef ochrony lotniska — włączył się mężczyzna w poplamionym kombinezonie, oparty o biurko. — Czy pan jest zupełnie pewny tego, że ten człowiek chciał zginąć?

— •Czy chciał? Tak. Nie próbował się ratować. Mógł przecież pozbyć się całej kamery.

— Pozwoli pan? To jest dla nas bardzo ważne. Czy nie mogło być tak: chciał rzucić granat między pasażerów i zeskoczyć z mostu, ale pan przeszkodził mu atakiem. Wtedy upadł, a granat odbezpieczony

wybuchł.

— Tak nie mogło być. Ale mogło być inaczej — przyznałem. — Nie zaatakowałem go. Chciałem mu tylko wyrwać granat, gdy oderwał go od twarzy. Zobaczyłem w jego zębach zawleczkę. Była z nylonowej pętelki, nie z drutu. Trzymał granat oburącz. Tak się nie rzuca.

— Pan sięgnął z góry?

— Nie. Uderzyłbym tak, gdyby nikogo nie było na schodach. Gdybyśmy stali ostatni. Ale on właśnie dlatego nie stanął z tyłu. Bijąc pięścią z góry, można wytrącić każdy beztrzonkowy granat. Poleciałby po stopniach. Ale gdybym mu wybił go z rąk, zostałby blisko. Niektórzy stawiają podręczny bagaż na stopniach, choć niby nie wolno. Nie potoczyłby się daleko. Dlatego sięgnąłem z lewej i to go zaskoczyło.

— To, że z lewej? Czy pan jest mańkutem?

— Tak. Nie spodziewał się tego. Zrobił fałszywy unik. To był fachowiec. Osłonił się podniesionym łokciem — z prawej.

— Co było dalej?

— Kopnął mnie i rzucił się w tył. Na plecy.

Musiał mieć świetny trening, bo nawet jak człowiek decyduje się zginać, jest niesłychanie trudno rzucić się ze schodów głową w tył. Wolimy umierać przodem.

— Schody były pełne ludzi.

— To prawda. A jednak! Stopień za nim był wolny. Kto mógł, pchał się wstecz.

— Tego nie widział.

— Nie, ale to nie była improwizacja. Zbyt szybko działał. Wszystkie ruchy miał w pogotowiu.

Szef ochrony trzymał blat biurka rękami, których kostki zbieleły. Pytania padały szybko, jak w przesłuchaniu krzyżowym.

— Pragnę podkreślić, że pana zachowanie jest powyżej wszelkiej krytyki. Ale, powtarzam, ustalenie stanu rzeczowego jest dla nas niesłychanie ważne. Rozumie pan, dlaczego!

— Chodzi o to, czy mają ludzi gotowych na pewną śmierć.

— Tak. Dlatego proszę, żeby pan jeszcze raz zastanowił się nad tym, co zaszło w ciągu tej sekundy. Stawiam się w jego położeniu. Odbezpieczam granat.

Chcę zeskoczyć z mostu. Pan usiłuje mi wyrwać granat. Gdybym trzymał się planu, mógłby pan złapać rzucony granat i cisnąć go za mną, na dół. Waham się, co robić, i to wahanie przesądza sprawę. Czy nie mogło tak być?

— Nie. Człowiek, który chce rzucić granat, nie trzyma go oburącz.

— Ale pan go pchnął, chcąc chwycić granat!

— Nie. Gdyby mi się palce nie ześlizgnęły, pociągnąłbym go właśnie ku sobie. Chwyć nie udało mi się, bo on odskoczył, padając na wznak. To było umyślne. Powiem panu coś. Nie doceniłem go. Powinienem był złapać go i przerzucić przez poręcz razem z granatem. Chybabym spróbował, gdyby mnie tak nie zaskoczył.

— Wtedy upuściłby panu granat pod nogi.

— Wtedy skoczyłbym za nim. To znaczy — próbowałbym. Zapewne, to musztarda po obiedzie. Myślę jednak, że bym zaryzykował. Ważę ze dwa razy więcej od niego. Ręce miał jak dziecko.

— Dziękuję. Nie ma więcej pytań.

— Inżynier Scarron — przedstawił się młody,

siwy cywil w rogowych okularach. — Czy może pan sobie wyobrazić zabezpieczenie, które zapobiegłoby takiemu zamachowi?

— Dużo pan chce ode mnie. Podobno macie tu wszystkie możliwe zabezpieczenia.

Powiedział, że byli przygotowani na wiele, ale nie na wszystko. Na przykład na operację typu Lód znaleźli sposób. Poszczególne części eskalatora można za pociśnięciem guzika zmienić w równię pochyłą, z której wszyscy ludzie zsuwają się do zbiorników z wodą.

— Z tą pianą?

— Nie. To jest pojemnik antydetonacyjny, pod mostem. Są inne.

— A wiać — czemuście tego nie zrobili? Zresztą to by nic nie dało...

— Właśnie. A poza tym działał zbyt szybko.

Pokazał mi na rozstawionym planie kulisy Labiryntu. Cała trasa doprawdy została zaprojektowana także jako pole obstrzału. Z góry można zalać ją wodą pod ciśnieniem zwałającym z nóg. Nikt nie zdoła wydostać się z mojego leja —

zaszło poważne niedopatrzenie, że nie zatrzaśnięto klap wyjściowych. Chciał mnie zaprowadzić jeszcze do makiety, ale podziękowałem.

Inżynier był roztrzęsiony. Chciał demonstrować dowody swej przezorności, choć rozumiał chyba, jakie to daremne. O te zabezpieczenia spytał mnie po to, abym nie umiał ich nazwać. Myślałem, że to już koniec, ale stary człowiek, który usiadł na fotelu Annabelli, podniósł rękę.

— Doktor Toricelli. Mam jedno pytanie. Czy może pan powiedzieć, w jaki sposób uratował pan tę dziewczynkę? Zastanawiałem się.

— Był to szczęśliwy traf. Stała między nami. Odepchnąłem ją, żeby do niego dojść, a kiedy upadł, rozmach rzucił mnie na nią. Poręcz jest niska. Gdyby tam stał ktoś dorosły, ciężki, nie zdążyłbym go przerzucić, może nawet bym nie próbował.

— A gdyby tam stała kobieta?

— Tam stała kobieta — powiedziałem, patrząc mu w oczy. — Przede mną. Blondynka w perłowych spodniach z wypchanym pieskiem. Co się z nią stało?

— Wykrwawiła się. — To powiedział szef

ochrony. — Wybuch oberwał jej obie nogi.

Zrobiło się cicho. Ludzie z okna wstawali, zaszurały krzesła, a ja wróciłem jeszcze raz do tamtej chwili. Wiem jedno. Nie próbowałem wyhamować impetu na poręczy. Chwyciłem się jej prawą ręką, odbijając się od stopnia, tak że zagarnąłem dziewczynką ramieniem. Dlatego, skacząc przez poręcz jak przez konia z podparciem, porwałem ją w dół. Ale tego, czy objąłem ją umyślnie, czy że tak stała, nie wiem. Nie mieli już nic do mnie, ale ja pragnąłem się teraz upewnić, że zostanę uratowany przed prasą. Tłumaczyli mi, że to zbędna skromność, ale byłem na to głuchy. Nie miało to nic wspólnego ze skromnością. Nie chciałem, żeby moja osoba zrosła się z tą rzeźnią na schodach. Jeden Randy pewno domyślił się moich motywów.

Fenner zaproponował, żebym został w Rzymie przez dobę jako gość ambasady. Ale i tu okazałem się uparty. Chciałem lecieć pierwszą maszyną, jaka wystartuje do Paryża. Była taka, Cessna z materiałami konferencji, która zakończyła się przyjęciem w południe, dlatego Fenner i tłumacz

przybyli w smokingach. Przesuwaliśmy się grupkami ku drzwiom, wciąż rozmawiając, gdy poprosiła mnie na bok kobieta, której nie widziałem dotąd, dama o wspaniałych czarnych oczach. Była psychologiem. Zajęła się Annabellą. Spytała, czy istotnie chcę ją wziąć ze sobą do Paryża?

— Ależ tak. Powiedziała pani, że jej to obiecałem? Uśmiechnęła się. Spytała, czy mam dzieci.

— Nie, To znaczy prawie. Dwóch siostrzeńców.

— Lubią pana?

— Owszem.

Zdradziła mi sekret Annabelli. Mała jest zmartwiona. Uratowałem jej życie, a ona bardzo źle o mnie myślała. Sądziła, że jestem w zмовie z Japończykiem, lub coś koło tego. Dlatego chciała uciec. W łazience przeraziłem ją jeszcze bardziej.

— Czym, na Boga?

W astronautę nie uwierzyła. W ambasadę też nie. Myślała, że rozmawiam przez telefon z jakimś wspólnikiem. A ponieważ jej ojciec ma wytwórnię win i spytałem ją o adres w Clermont, uznała, że zamierzam ją porwać, by żądać okupu. Dałem owej

damie słowo, że nawet o tym Annabelli nie wspomnę. Chyba sama będzie mi chciała to powiedzieć? — zasugerowałem.

— Nigdy albo za dziesięć lat. Może zna pan chłopców. Dziewczynki są inne. — Uśmiechnęła się i poszła, a ja wszcząłem zabiegi o samolot. Jedno miejsce było wolne. Oświadczyłem, że muszą być dwa. Doszło do telefonicznych pertraktacji. Jakiś VIP ustąpił w końcu miejsca Annabelli. Fenner spieszył się, ale chciał odłożyć to ważne spotkanie, jeśli pójdę z nim na obiad. Wymówiłem się jeszcze raz. Gdy dyplomaci odjechali z Randym, spytałem, czy mogę zjeść coś z, małą na terenie lotniska. Wszystkie bary i kafeterie były nieczynne, lecz nas to nie tyczyło. Znajdowaliśmy się już ponad prawem. Kudłaty brunet, pewno agent, zaprowadził nas do małego baru za halą odpraw. Annabella miała czerwone oczy. Dziecko płakało. Ale teraz rozzuchwalało się. Gdy kelner odbierał zamówienie, a ja zawahałem się, co będzie piła, szybko, obojętnym tonem zauważyła, że w domu zawsze pija wino. Miała na sobie przydługą bluzkę z podwiniętymi rękawami, na no-

gach też trochę za wielkie trzewiki. Czulem się komfortowo, bo i spodnie zdążyły mi już wyschnąć, i nie musiałem jeść makaronu. Nagle przypomniałem sobie o jej rodzicach. Wiadomość mogła się pojawić w dzienniku popołudniowym. Ułożyliśmy więc depezę, a kiedy wstałem od stolika, jak spod ziemi wyrósł nasz cicerone i poszedł ją nadać. Przy rachunku okazało się, że byliśmy gośćmi dyrekcji. Dałem więc kelnerowi taki napiwek, jakiego Annabella spodziewała się po prawdziwym astronautcie. Byłem już w jej oczach postacią i bohaterską, i bliską, więc zdradziła mi, że wprost marzy o tym, aby się przebrać. Przewodnik zaprowadził nas do hotelu Alitalii, gdzie czekały już w pokoju nasze bagaże.

Musiałem trochę popędzać dziewczynkę. Ale też wystroila się i bardzo godnie ruszyliśmy do samolotu. Przyszedł po nas zastępca dyrektora portu: dyrektor był niedysponowany. Nerwy. Fiacik kontroli lotów podwiózł nas do Cessny, już przy schodkach dystyngowany młodzieniec przeprosił mnie i spytał, czy nie życzę sobie zdjęć o charakterze dramatycznej pamiątki? Wyślą je na wskazany adres. Pomyślałem o

blondynce i podziękowałem za zdjęcia. Nastąpiły uściski rąk. Nie przysiągłbym, czy w małym rozgardiaszu nie uścisnąłem ręki, do której byłem niedawno przykuty. Lubię latać małymi maszynami. Cessna poderwała się jak ptaszek i pomknęła na północ. Po siódmej wylądowaliśmy w Orły. Ojciec czekał na Annabellę. Jeszcze w samolocie wymieniliśmy z nią adresy. Mile ją wspominam. Nie mogę tego powiedzieć o jej ojcu. Rozpływał się w dziękczynieniach, a na pożegnanie obdarzył mnie komplementem, który niechybnie obmyślił usłyszawszy w telewizji o rzeźni na schodach. Powiedział, że mam esprit de l'escalier.

PARYŻ

(O r l y—G a r g e s—O r l y)

Przenocowałem w Orły w hotelu Air France, gdyż mojego człowieka nie było już w Centre National du Recherche Scientifique, a nachodzić go w domu nie chciałem. Przed zaśnięciem musiałem zamknąć okno, bo zaczęło mnie kręcić w nosie i uświadomiłem sobie, że przez cały dzień ani raz nie kichnąłem. Mogłem, jak widać, pójść za propozycją Fennera, lecz jakoś pilno mi było do Paryża.

Następnego dnia zaraz po śniadaniu zatelefonowałem do CNRS i usłyszałem, że mój doktor przebywa na urlopie, lecz nie wyjechał, bo wykańcza sobie dom. Zadzwoiłem więc do Garges, gdzie mieszkał, okazało się wszakże, że właśnie podłączają mu telefon. Pojechałem więc bez zapowiedzi. Na Gare du Nord nie szły podmiejskie pociągi. Był strajk ostrzegawczy. Widząc milowy ogonek u postoju taksówek, dopytałem się o najbliższy wynajem samochodów — był to Hertz — i

wziąłem małego peugeota. Poruszanie się autem po Paryżu jest dopustem, gdy się ma dotrzeć do nie znanego miejsca. Niedaleko Opery — nie wybrałem tego szlaku, jakoś zaniósło mnie tam — furgonetka stuknęła mnie w zderzak, ale nieszkodliwie, więc pojechałem dalej, myśląc o kanadyjskich jeziorach i o wodzie z lodem, bo żar lał się z nieba, rzadkość o tej porze. Zamiast do Garges wjechałem przez omyłkę do Sarcelles, brzydkiego standardowego osiedla, potem stałem przed szlabanem kolejowym i pocilem się, wzdychając do klimatyzacji. Doktor Filip Barth, którego nazwałem moim człowiekiem, to znany francuski cyfronik, a zarazem naukowy konsultant Surete. Kierował zespołem, układającym program dla komputera śledczego. Chodziło o automatyczne rozwiązanie spraw wieloczynnikowych, w których ilość doniosłych dla śledztwa faktów przekracza pojemność ludzkiej pamięci.

Dom był już z zewnątrz wyłożony barwną okładziną. Stał w ogrodzie porządnie starym. Jedno skrzydło ocieniały wspaniałe wiązy, podjazd był żwirowany, pośrodku klomb bodaj z nagietkami —

botanika to jedyny fach, którego oszczędza się astronautom. Przy otwartej szopie, służącej prowizorycznie za garaż, stał zabłocony z szybami 2 CV, a obok kremowy Peugeot 604, z wszystkimi drzwiami na oścież, z dywanikami na gazonie, ociekający pianą, bo myło go kilkoro dzieci naraz — a tak żwawo, że w pierwszej chwili nie mogłem ich policzyć. Były to dzieci Bartna. Dwoje starszych, chłopiec i dziewczynka, przywitało mnie zbiorową angielszczyzną, bo gdy jednemu brakło słowa, dopowiadało je drugie. Skąd wiedziały, że należy mówić do mnie po angielsku? Bo przyszedł z Rzymu telegram, zapowiadający przyjazd astronauty. A po czym poznać, że jestem tym astronautą? Po tym, że nikt nie nosi szelek. A więc poczciwy Randy zaawizował mnie. Rozmawiałem ze starszymi, a najmłodsze, nie wiem, chłopczyk czy dziewczynka, założywszy ręce w tył, obchodziło mnie dookoła, jakby szukając miejsca, z którego prezencja moja okaże się najciekawsza. Ojciec ich był bardzo zajęty i zarysowała się alternatywa, czy mam wejść do domu, czy raczej myć z nimi auto, lecz tu doktor Barth

wychylił się z parterowego okna. Był niespodziewanie młody, a właściwie to tylko ja nie przywykłem jeszcze do własnych lat. Doktor przywitał mnie grzecznie, lecz wyczułem dystans i pomyślałem, żeśmy źle zrobili, zachodząc go od strony Surete, a nie CNRS.

Ale Randy utrzymywał zażyłsze stosunki z policją niż z uczonymi. Barth zaprowadził mnie do biblioteki, bo w jego gabinecie panował jeszcze chaos przeprowadzki, i przeprosił mnie na chwilę — miał na sobie poplamiony lakierem kitel. Dom był jak z igły, rzędy książek na półkach świeżo wymusztrowane, woń schnącej politory i wosku, na ścianie zauważyłem duże zdjęcie, na którym Barth z dziećmi siedział na słoniu. Przyjrzałem się jego twarzy na zdjęciu, nie powiedziałbym podług niego, że to nadzieja francuskiej cyfroniki, ale zauważyłem już, że wyglądem są ludzie nauk ścisłych dość niepozorni w zestawieniu z humanistami w rodzaju filozofów.

Barth wrócił, patrząc na ręce z niezadowoleniem, zostały na nich ślady lakieru i przez chwilę sugerowałem musposoby ich usunięcia. Usiedliśmy

koło okna. Powiedziałem, że nie jestem detektywem i nie mam nic[^] wspólnego z kryminologią, a tylko zostałem wciągnięty w dziwną i ponurą sprawę, z którą przychodzę do niego, bo to ostatnia nadzieja. Zastanowiła go moja francuszczyzna, biegła choć nieeuropejska. Wyjaśniłem, że pochodzę z Kanady francuskiej.

Randy bardziej wierzył w mój osobisty urok aniżeli ja. Zależało mi na przychylności tego człowieka tak bardzo, że odczuwałem coś w rodzaju zażenowania sytuacją. Surete nie była źródłem referencji, które szczególnie cenił. Z drugiej strony opinia środowisk uniwersyteckich jest mocno antimilitarna. Panuje tam przeświadczenie, że astronauta rekrutują się z wojska, co nie zawsze jest prawdą — na przykład nie jest w moim przypadku. Lecz nie mogłem mu przecież spowiadać się z życiorysu. Tak wahałem się, niepewny, jaki obrać kurs dla roztopienia lodów, a jak mi wyjawiał znacznie później, miałem taką bezradność wymalowaną na twarzy, tak przypominałem mu źle przygotowanego studenta, że go tym trochę ująłem, bo domysł mój był

trafny: pułkownika, którego polecenie zdobył dla mnie Randy, miał za bufona, a jego własne stosunki z Surete też się nie najlepiej układały. Lecz nie mogłem wiedzieć, siedząc w bibliotece, że najlepszą taktyką jest niepewność.

Zgodził się mnie wysłuchać. Siedziałem w tej sprawie tak długo, że mogłem każdy fragment recytować z pamięci. Miałem też przy sobie mikrofilmy ze wszystkimi materiałami, by ilustrować prelekcję, a Barth' akurat wypakował rzutnik, więc podłączyliśmy go, zostawiając otwarte okna bez zasłon, co nie przeszkadzało, bo biblioteka pełna była zielonkawego półmroku drzew.

— To łamigłówka — powiedziałem, wkładając pierwszą rolkę do aparatu — złożona z kawałków, z których każdy z osobna jest przejrzysty, a razem łączą się w nieprzejrzystą całość. Już i Interpol połamał sobie na niej zęby. Ostatnio przeprowadziliśmy akcję symulacyjną, o której opowiem panu później. Nie dała rezultatu.

Wiedziałem, że jego program śledczy znajduje się w fazie doświadczeń, w praktyce nie był nigdy

stosowany i rozmaicie o nim mówiono, ale zależało mi na zaintrygowaniu go, więc postanowiłem mu zaaplikować wariant rzeczy lapidarny.

Dwudziestego siódmego czerwca zaprzeszłego roku dyrekcja neapolitańskiego hotelu Savoy powiadomiła policję, że Roger T. Coburn, pięćdziesięcioletni Amerykanin, udawszy się rankiem poprzedniego dnia na plażę, już z niej nie wrócił. Było to podejrzane, bo Coburn, który mieszkał w Savoyu od dwudziestu dni, co dzień rano udawał się na plażę, a że z hotelu jest do niej trzysta kroków, chodził w płaszczu kąpielowym. Nadzorca plaży znalazł wieczorem ten płaszcz w jego kabinie.

Coburn znany był jako doskonały pływak. Przed dwudziestu kilku laty należał do czołówki amerykańskich crawlistów, a i jako starszy pan zachował niezłą formę, choć miał skłonności do tycia. Nikt nie zauważył jego zniknięcia n% zatłoczonej plaży. Gdy po pięciu dniach przeszedł mały sztorm, fale wyrzuciły jego ciało na brzeg. Uznano by tę śmierć za nieszczęśliwy wypadek, jakich co najmniej kilka rokrocznie zdarza się na każdej większej plaży,

gdyby nie parę drobiazgów, które sprowokowały śledztwo. Zmarły, makler z Illinois, był człowiekiem samotnym, a że zginął śmiercią gwałtowną, dokonano obdukcji, która wykazała, iż utonął na czczo. Natomiast kierownictwo hotelu twierdziło, że udał się na plażę po śniadaniu. Sprzeczność raczej błaha, lecz prefekt policji był źle z grupą radnych miejskich, którzy włożyli kapitały w rozbudowę hoteli, między innymi Savoyu, a niedługi czas przedtem w tymże Savoyu zdarzył się wypadek, o jakim będzie mowa osobno. Prefektura zainteresowała się hotelem, którego gościom przytrafiają się nieszczęścia. Dyskretne śledztwo polecono przeprowadzić młodemu aspirantowi. Wziął więc pod lupę hotel i jego mieszkańców. Jako świeżo upieczony detektyw, bardzo chciał zabłysnąć przed swoim szefem. Dzięki takiej gorliwości wyszły na jaw dość dziwne rzeczy. Rankiem bywał Coburn na plaży, po obiedzie odpoczywał, a pod wieczór chodził do zakładu balneologicznego braci Vittorinich na kąpiele siarczane, które przepisał mu miejscowy lekarz, doktor Giono, Coburn cierpiał bowiem na początki

choroby reumatycznej. Okazało się, że wracając z zakładu Yittorinich, Coburn miał w ciągu ostatniego tygodnia przed śmiercią trzy wypadki samochodowe, zawsze w podobnych okolicznościach: usiłował przejechać skrzyżowanie na czerwonych światłach. Wypadki były niegroźne, stłuczki blachy, i kończyły się karą pieniężną i reprimendami. Nadto zaczął w tym czasie jadać kolacje w pokoju, a nie jak dotąd na wspólnej sali. Kelnera wpuszczał dopiero upewniwszy się przez zamknięte drzwi, że to pracownik hotelu. Przestał też chodzić po zachodzie słońca na spacery wokół zatoki, co w pierwszych dniach pobytu stało się jego zwyczajem. Wszystko wskazywało na poczucie prześladowania czy zagrożenia, gdyż ucieczka przez zmianę światel z żółtych na czerwone jest znanym sposobem pozbycia się prześladowcy w aucie. W tym ujęciu stawały się też zrozumiałe środki ostrożności podjęte przez zmarłego w hotelu. Niczego więcej jednak śledztwo nie wykryło. Coburn, bezdzietnie rozwiedziony przed czternastu laty, z nikim się w Savoyu nie zbliżył, nie miał też, jak stwierdzono, znajomych w mieście. Wykryto tylko, że na dzień przed

utonięciem usiłował nabyć u rusznikarza rewolwer, bo nie wiedział, że we Włoszech potrzebne jest na to zezwolenie. Nie mając go, kupił imitację wiecznego pióra, która pozwala opryskać napastnika mieszaniną gazu łzawiącego i trudno usuwalnego barwnika. Pióro to, nie rozpakowane, znaleziono w jego rzeczach i tym sposobem trafiono do firmy, która je sprzedawała. Coburn nie znał włoskiego, a rusznikarz bardzo słabo władał angielskim. Dowiedziano się tylko, że Amerykanin pragnął broni, która unieszkodliwiłaby groźnego przeciwnika, a nie byle złodziejaska.

Ponieważ wypadki zdarzały się Coburnowi zawsze w powrotnej drodze z zakładu balneologicznego, aspirant zwrócił kroki do Yittorinich. Pamiętano tam Amerykanina, bo był dość szczodry wobec obsługi. W jego zachowaniu nie zauważono jednak nic szczególnego poza tym, że ostatnio bardzo się spieszył i wychodził prawie mokry — nie zwracając uwagi na ostrzeżenia kąpielowego, by odczekał swoich dziesięć minut. Tak wątle wyniki śledztwa nie zadowolily aspiranta, który w przystępie gorliwości i natchnienia począł przeglądać księgi

zakładu. Zapisuje się w nich wpłaty wszystkich biorących kąpiele i przychodzących na zabiegi wodolecznicze.

Od połowy maja bywało u Yittorinich dziesięciu innych obywateli amerykańskich, a czterech spośród nich, opłaciwszy, podobnie jak Coburn, abonament na całą serię kąpiele (były jedno-, dwu-, trzy- i czterotygodniowe abonamenty) przestało pojawiać się na kąpiele po ośmiu lub dziewięciu dniach. I to nie było niczym nadzwyczajnym, boż każdy z nich mógł wyjechać niespodziewanie, niechając ftarań o zwrot nadpłaconej kwoty, lecz aspirant, znając ich nazwiska dzięki zakładowej księdze, postanowił sprawdzić, co się z nimi stało. Pytany później, czemu właściwie ograniczył się w tych poszukiwaniach do obywateli Stanów Zjednoczonych, nie umiał udzielić zdecydowanej odpowiedzi. Raz mówił, że przyszła mu na myśl afera z powiązaniem amerykańskimi, gdyż policja rozbiła niedawno pierścień przemytników heroiny, szmuglowanej do USA z Neapolu, a raz, że ograniczył się do Amerykanów, bo Amerykaninem był Coburn.

Co się tyczy czterech mężczyzn, którzy opłacili kąpiele i przestali je brać, pierwszy, Artur J. Holler, prawnik z Nowego Jorku, wyjechał nagle, otrzymawszy wiadomość o śmierci brata. Przebywał obecnie w mieście rodzinnym. Żonaty, trzydziestosześcioletni, był radcą prawnym dużej agencji reklamowej. Pozostali trzej odznaczyli się niejakim podobieństwem do Coburna.

W każdym przypadku szło o mężczyznę między czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem życia, dosyć zamożnego, samotnego, zawsze — pacjenta doktora Giono, przy czym jeden z tych Amerykanów, Ross Brunner jr., mieszkał podobnie jak Coburn w Savoyu, a pozostali dwaj, Nelson C. Emmings i Adam Osborn, stanęli w pomniejszych pensjonatach, także zresztą położonych nad zatoką. Sprowadzone ze Stanów zdjęcia ukazały fizyczne podobieństwo zaginionych. Zbudowani raczej atletycznie, odznaczyli się pewną otyłością, początkami łysiny i widocznym staraniem jej ukrycia. Więc chociaż ciało Coburna, zbadane dokładnie w zakładzie medycyny sądowej, nie nosiło żadnych śladów gwałtu, a za

przyczynę zgonu przyjęto utonięcie wywołane skurczem mięśni bądź wyczerpaniem, prefektura zaleciła kontynuowanie śledztwa. Zajęto się więc losami trzech Amerykanów. Wnet stwierdzono, że Osborn nieoczekiwanie wyjechał do Rzymu, Emmings odleciał z Neapolu do Paryża, a Brunner oszalał. Los Brunnera był zresztą znany policji, i to od dość dawna. Ów gość Savoyu z pierwszej połowy maja przebywał w szpitalu miejskim. Był to projektant samochodów, zatrudniony w Detroit. Przez pierwszy tydzień pobytu zachowywał się najprzykładniej w świecie, rano bywał w solarium, wieczorami u braci Yittorinich, z wyjątkiem niedziel, które poświęcał dalszym wycieczkom. Ich marszrutę rozpoznano, bo wszystkie załatwiała mu biuro podróży, którego filia znajduje się w Savoyu. Bywał w Pompei, w Herculanium, w morzu się nie kąpał, gdyż lekarz zabronił mu tego jako cierpiącemu na kamice nerkową. Opłaconą już wycieczkę do Anzio odwołał w sobotę, która poprzedziła wyznaczoną datę, a też dwa dni przedtem zachowywał się dziwacznie. Przestał chodzić pieszo i nawet gdy miał się udać na

trzecią ulicę, żądał swego samochodu, co było o tyle kłopotliwe, że nowy parking hotelu jest w budowie, a samochody gości ^tłoczone są na podwórku sąsiedniej posesji.

Brunner nie chciał wyprowadzać stamtąd auta sam, lecz domagał się, by mu je podstawił pod hotel ktoś z obsługi, i na tym tle doszło do paru scysji. W niedzielę nie tylko się na wycieczkę nie udał, ale i nie zszedł na obiad. Zamówił go do pokoju i rzuciwszy się na kelnera, ledwie ten wszedł, zaczął go dusić. W trakcie szamotaniny złamał kelnerowi palec, a sam wyskoczył z okna. Spadając z wysokości dwu pięter złamał nogę i talerz biodrowy. W szpitalu oprócz złamań rozpoznano zamroczenie na tle schizofrenicznym. Kierownictwo hotelu starało się zatuszować ten wypadek z dobrze zrozumiałych względów. On właśnie naprowadził prefekturę na myśl, po śmierci Coburna, że należy poszerzyć zasięg śledztwa. Przyszło teraz przyjrzeć się sprawie od nowa. Powstały wątpliwości, czy Brunner w samej rzeczy wyskoczył z okna, czy został z niego wypchnięty. Nie wykryto jednak niczego, co świadczyłoby przeciw

prawdomówności kelnera, który był człowiekiem starszym, nigdy nie notowanym sądowo.

Brunner nadal przebywał w szpitalu, gdyż wprawdzie ustąpiły stany pomroczone, lecz przyszło do komplikacji ze zrostem biodra, a krewny, który miał przyjechać po niego ze Stanów, ciągle odraczał ów przyjazd. W końcu niepoczytalność, wywołaną ostrym atakiem psychozy, o nie wyjaśnionej etiologii, potwierdził diagnozą znakomity specjalista, więc śledztwo utknęło na niczym.

Drugi z Amerykanów, Adam Osborn, stary kawaler, z wykształcenia ekonomista, wyjechał piątego czerwca z Neapolu do Rzymu autem wynajętym w firmie Avis, opuścił zaś hotel w takim pośpiechu, że zostawił osobiste drobiazgi: maszynkę do golenia, szczotki, gimnastyczną sprężynę, pantofle, więc żeby mu przekazać te rzeczy, telefonowano z Savoyu do hotelu rzymskiego, w którym Osborn zarezerwował sobie pokój, lecz go tam nie było. Hotel nie zatroszczył się o dalsze poszukiwania kapryśnego gościa i dopiero idące szerszym frontem śledztwo ustaliło, że Osborn nie dojechał do Rzymu. W biurze

Avis detektyw dowiedział się, że wypożyczony opel rekord został znaleziony pod Zagarolo, więc niedaleko Rzymu, na postojowym pasie autostrady, w pełni sprawny, ze wszystkimi rzeczami Osborna. Ponieważ opel należał do rzymskiego taboru firmy i był zarejestrowany w Rzymie, a w Neapolu znalazł się, gdy przyjechał nim z Rzymu jakiś francuski turysta, Avis zawiadomił rzymską policję. Rzeczy Osborna, znalezione w aucie, przejęła tedy rzymska prefektura i ona też prowadziła śledztwo w tej sprawie, bo Osborna znaleziono o świcie następnego dnia — martwego. Samochód przejechał go na wyjeździe z del Sole w kierunku Palestriny, a więc niemal dziewięć kilometrów od miejsca, w którym porzucił wynajęte auto.

Wyglądało na to, że wysiadł bez widocznego powodu i ruszył poboczem autostrady, aż dotarł do pierwszej bocznej drogi, jaka się nawinęła, i właśnie tam ktoś go przejechał, a potem uciekł. Przebieg zajść udało się odtworzyć dokładnie, bo Osborn wylał w aucie nieco wody kolońskiej na gumową matę. Mimo deszczu, który padał nocą, pies policyjny łatwo

poszedł tym śladem. Osborn szedł do rozjazdu zewnętrznym skrajem pobocza, lecz tam, gdzie autostrada wcina się we wzgórze wykopem, kilkakrotnie opuszczał jej beton, aby wspiąć się na wierzch najbliższego wzniesienia. Potem wracał na drogę i szedł dalej. Na zjazdowym ramieniu autostrady szedł szerokim zygzakiem jezdnią, niczym pijany, zginął zaś na miejscu od zmiżdżenia czaszki. Na nawierzchni pozostały plamy krwi i szczątki szkła reflektorowego. Rzymskiej policji nie udało się dotąd wykryć sprawcy wypadku. Zastanowić mogło to, że Osborn przeszedł dziewięć kilometrów autostradą i nikt nie zwrócił na niego uwagi, chociaż pora była popołudniowa i panował znaczny ruch. Choćby jakiś patrol drogowy powinien się być nim zainteresować, bo pieszo chodzić po autostradzie nie wolno. Wyjaśnienie przyszło po dalszych kilku dniach, kiedy pod posterunek policji ktoś w nocy podrzucił torbę z kijami golfowymi Osborna. Na rękojeściach było wygrawerowane jego nazwisko i napraszała się myśl, że Osborn szedł z kijami golfowymi na ramieniu, a ponieważ kije tkwiły w futerale, on sam zaś ubrany

był w koszulę z krótkimi rękawami i dżinsy, kierowcy brali go najpewniej za robotnika drogowego. Kije pozostały niechybnie na miejscu wypadku i ktoś je stamtąd podjął, a przeczytawszy w gazetach o toczącym się śledztwie przeląkł się, by nie połączono go z kryminalną sprawą, i pozbył się kijów.

Przyczyna, dla której Osborn opuścił auto i ruszył przed siebie z golfowymi kijami, pozostała nie wyjaśniona. Pusta flaszcza po wodzie kolońskiej i jej ślady na podłodze auta sugerowały, że poczuł się źle, może zasłabł i nacierał sobie twarz. Sekcja nie wykazała obecności alkoholu czy jakichś trucizn we krwi. Tuż przed opuszczeniem hotelu Osborn spalił w koszu na śmieci kilka zapisanych arkuszy papieru listowego. Po szczątkach tych nie było już śladu, lecz w rzeczach, jakie Osborn zostawił w hotelu, znalazła się pusta koperta, adresowana do prefektury, jakby Osborn chciał się zwrócić do policji, lecz tego zaniechał.

Trzeci Amerykanin, Emmings, był korespondentem prasowym United Press International. Wracając z Bliskiego Wschodu, skąd

wysłał do Stanów reportaże, zatrzymał się w Neapolu. W hotelu zapowiedział, że zostanie co najmniej dwa tygodnie, lecz w dziesiątym dniu pobytu wyjechał niespodziewanie. Kupił w ekspozyturze British European Airways bilet na trasę Neapol—Londyn i dość było jednego telefonu, by się dowiedzieć, że przyleciawszy do Londynu, popełnił samobójstwo w toalecie na lotnisku.

Strzelił sobie w usta i nie odzyskawszy przytomności zmarł po trzech dniach w szpitalu.

Powód jego wyjazdu był ze wszech miar rzeczowy — działa na zlecenie United Press, otrzymawszy depezę, by przeprowadził w Londynie wywiady w związku z pogłoskami o nowym skandalu w parlamencie. Emmings znany był z odwagi osobistej i zrównoważenia. Jako dziennikarz pojawiał się w miejscach wybuchających konfliktów wojennych — był w Wietnamie, a przedtem, jako początkujący reporter, po kapitulacji Japonii — w Nagasaki, skąd wysłał reportaże, dzięki któremu zdobył rozgłos.

Stojąc przed takimi faktami, aspirant, który

wciąż prowadził śledztwo, chciał lecieć do Londynu, na Bliski Wschód, bodaj do Japonii, lecz przełożony zlecił mu przesłuchanie* osób, które stykały się z Emmingsem za jego bytności w Neapolu. Znów więc szło o personel hotelowy, Emmings bowiem podróżował samotnie. Nie stwierdzono w jego zachowaniu nic osobliwego. Tylko sprzątaczką, która porządkowała pokój po jego wyjeździe, przypomniała sobie, że w umywalce i w wannie były ślady krwi, a na podłodze łazienki — zakrwawiony bandaż. Podług dokonanej w Londynie obdukcji Emmings miał nadcięty lewy nadgarstek. Ranę ze świeżym skrzepem zakrywał plaster. Wnioskowano stąd, że Emmings jeszcze w hotelu usiłował się zabić przecięciem żył, lecz potem sam się opatrzył i pojechał na lotnisko. I on brał kąpiele siarczane, bywał na plaży, jeździł też po zatoce wynajętą motorówką, czyli zachowywał się najnormalniej w świecie.

Na trzy dni przed krytycznym udał się do Rzymu, aby zobaczyć prasowego attache ambasady amerykańskiej, znajomego z dawnych lat. Attache zeznał, że Emmings był w doskonałym humorze, lecz

odwożony na dworzec lotniczy taje zerknął przez tylną szybę auta, aż to zwróciło jego uwagę. Spytał Emmingsa żartobliwie, czy nie zrobił sobie wrogów w El Fatah. Emmings uśmiechnął się na to i powiedział, że to zupełnie inna sprawa, której nie może mu zdradzić, lecz niewielka szkoda, bo wnet pojawi się na pierwszych stronach gazet. Cztery dni potem nie żył.

Aspirant, wzięwszy sobie do pomocy kilku agentów, ponownie udał się do zakładu kąpielowego, by przejrzeć wszystkie księgi z ubiegłych lat. U Yittorinich patrzono nań coraz niechętniej, bo takie ciągle najścia policji wystawiały na szwank dobre imię zakładu. Księgi poszły jednak na stół i znaleziono w nich osiem dalszych tropów.

Jakkolwiek mechanizm zdarzeń pozostawał niepojęty, aspirant zajmował się w pierwszej kolejności mężczyznami w przejściowym wieku, obcokrajowcami, prowadzącymi regularny tryb życia, który między pierwszym a drugim tygodniem pobytu nagle się załamywał.

Dwa tropy okazały się niewinne. Szło o obywateli amerykańskich, którzy niespodziewanie dla siebie

musieli skrócić pobyt w Neapolu, jeden, ponieważ w jego firmie wybuchł strajk, drugi, gdyż musiał się stawić w sądzie jako skarżący firmę budowlaną o wadliwe wykonanie ujęć wody w jego posiadłości. Rozprawa uległa dla nieistotnych powodów przyspieszeniu.

Śledztwo w sprawie właściciela firmy, w której doszło do strajku, umorzono dopiero po dłuższym czasie, gdy człowiek ten nie żył, a każdy wypadek zgonu uważnie badano. Ostatecznie jednak uzyskano od policji w Stanach wiadomość, że zmarł na udar mózgowy w dwa miesiące po powrocie do Ameryki. Zmarły od lat cierpiał na sklerozę mózgu. Kolejny trop — trzeci — miał wprowadzić podłoże kryminalne, lecz nie włączono go do dossier, bo przyczyną nagłego “zniknięcia” tego Amerykanina było aresztowanie przez miejscową policję. Działała na zlecenie Interpolu i wykryła przy aresztowanym większą ilość heroiny. Oczekiwał procesu w więzieniu neapolitańskim.

Tak wyeliminowano trzy ślady z ośmiu. Dwa dalsze były wątpliwe. W jednym przypadku szło o

czterdziestoletniego Amerykanina, który chodził do Vittorinich na zabiegi wodolecznicze, lecz nie na kąpiele siarczane, a przestał bywać w zakładzie, gdy nadwerżył sobie kręgosłup podczas jazdy na nartach wodnych. Jeździł za motorówką z przypiętym do pleców latawcem, co umożliwia odrywanie się od wody i szybowanie na holu. Motorówka wykonała zbyt nagły skręt, przez co spadł z wysokości kilkunastu metrów. Uraz wymagał dłuższego unieruchomienia w gorsecie gipsowym. Kierowca motorówki był również Amerykaninem, bliskim znajomym poszkodowanego, a jednak wypadek nie został wyeliminowany ostatecznie dlatego, gdyż człowiek ten dostał, już w szpitalu, wysokiej gorączki i omamów, w których bredził. Rozpoznanie wahało się między jakąś egzotyczną chorobą zawleczoną z tropików a przewlekłym zatruciem pokarmowym.

Następny wątpliwy przypadek dotyczył prawie sześćdziesięcioletniego rencisty, Włocha naturalizowanego w Stanach, który pobierając rentę dolarową, wrócił do ojczystego Neapolu. Brał siarczane kąpiele, jako reumatyk, a przerwał je nagle,

uznawszy, że szkodzą mu na serce. Utopił się w wannie, we własnym mieszkaniu, w siedem dni po ostatniej bytności w zakładzie balneologicznym. Autopsja stwierdziła wypełnienie płuc wodą i nagłe zatrzymanie serca. Lekarz sądowy nie dopatrywał się w tym wypadku niczego podejrzanego, jednakowoż śledztwo, prowadzone od strony zakładu Yittorinich, natknąwszy się na tę sprawę, rozkopało ją od nowa. Powstały domysły, że emeryt nie utonął od nagłej zapaści, lecz że ktoś go wepchnął pod wodę: drzwi łazienki nie były zamknięte od środka. Przesłuchanie krewnych nie dało jednak podstaw do potwierdzenia tych podejrzeń tym bardziej, że zabrakło i materialnego motywu, gdyż renta była dożywotnia.

Ostatnie trzy ślady z wyjściowych ośmiu okazały się gorące, jako że doprowadziły do nowych ofiar o losie charakterystycznym dla urastającej serii. Znów szło o samotnych mężczyzn na progu przekwitania, nie byli to jednak sami Amerykanie. Jeden, Ivar Olaf Leyge, był inżynierem z Malmb. Drugi, Karl Heinz Schimmelreiter, Austriak, pochodził z Grazu. Trzecim był James Brigg, podający się za pisarza,

właściwie scenarzystą, który pracował dorywczo, dla kogo się dało. Przybył z Waszyngtonu przez Paryż, gdzie kontaktował się z wydawnictwem Olympia Press, wyspecjalizowanym w literaturze erotycznej i pornograficznej. W Neapolu zamieszkał u włoskiej rodziny, która wynajęła mu pokój. Gospodarze nie wiedzieli o nim nic prócz tego, co sam oświadczył przy wprowadzeniu, że chce studiować "marginesy życia". Nie było im wiadome, że Brigg uczęszcza do zakładu kąpielowego. W piątym dniu nie wrócił na noc do mieszkania. Zaginął po nim wszelki ślad. Przed powiadomieniem policji gospodarze, chcąc ustalić wypłacalność lokatora, otwarli drugim kluczem jego pokój, by stwierdzić, że wraz z Briggiem ulotniły się też jego rzeczy. Pozostała jedynie pusta walizka. Uprzytomnili sobie wtedy, że lokator wychodził codziennie z teczką grubo naładowaną a wracał z pustą. Ponieważ rodzina ta cieszyła się nieposzlakowaną opinią i od dawna wynajmowała pokoje, zeznaniom tym przyszło dać wiarę. Brigg był łysawym atletycznym mężczyzną o twarzy z bliznami po zeszyciu zajęczej wargi. Nie

pozostawił rodziny, w każdym razie nie udało się jej odnaleźć. Indagowany wydawca paryski oświadczył, że Brigg przedstawił mu propozycję napisania książki o kulisach wyborów miss piękności w Ameryce. Propozycję tę odrzucił jako nieinteresującą. Wszystkie te dane mogły być prawdą. Nie udało się ani ich potwierdzić, ani obalić. Brigg przepadł tak dokładnie, że nie znaleziono nikogo, kto widział go po opuszczeniu wynajętego pokoju. Badania na chybił trafił w środowisku prostytutek, sutenerów, narkomanów nie dały wyniku. Toteż' casus Brigga należy właściwie do wątpliwych, a jakkolwiek zabrzmi to dziwacznie, pozostaje w aktach, ponieważ Brigg cierpiał na katar sienny.

Nie wzbudziły podobnych wątpliwości losy Szweda i Austriaka. Pierwszy, Leyge, długoletni członek klubu himalajskiego, zdobywca siedmiotysięczników Nepalu, przyjechał do Neapolu po rozwodzie z żoną. Mieszkał w Hotelu Rzymskim, więc w centrum, w morzu się nie kąpał, na plażę nie chodził, a jedynie opalał się w solarium, zwiedzał muzea i brał kąpiele siarczane. Dziewiętnastego maja

wyjechał późnym wieczorem do Rzymu, choć utrzymywał pierwotnie, że spędzi w Neapolu całe lato. W Rzymie, zostawiwszy bagaż w aucie, udał się do Colosseum i wspiał się na wysokość najwyższej kondygnacji murów, by runąć po ich zewnętrznej stronie. Poniósł śmierć na miejscu. Orzeczenie sądowe brzmiało "samobójstwo lub nieszczęśliwy wypadek, spowodowany nagłym zamroczeniem umysłowym". Szwed, postawny blondyn, nie wyglądał na swoje lata. Pedantycznie dbał o powierzchowność i dobrą formę fizyczną. Codziennie o szóstej rano grywał w tenisa, nie pił, nie palił, jednym słowem strzegł kondycji jak oka w głowie. Do rozwodu doszło za obopólną zgodą małżonków, a jako przyczynę rozejścia się podano niezgodność charakterów. Okoliczności te ustalono za pośrednictwem szwedzkiej policji, aby wykluczyć jako przyczynę samobójstwa nagłą depresję wywołaną rozerwaniem długoletniego małżeństwa. Jednakże stwierdzono, że małżonkowie żyli od szeregu lat w faktycznej separacji, a podjęli działania sądowe, by nadać moc prawną temu stanowi rzeczy.

Historia Austriaka, Schimmelreitera, przedstawiała się bardziej zawile. W Neapolu przebywał od połowy zimy, a kąpiele siarczane począł brać w kwietniu. Do końca kwietnia utrzymywał, że robią mu bardzo dobrze i dlatego przedłużył abonament na maj. Po tygodniu przestał sypiać, stał się drażliwy i opryskliwy, utrzymywał, że ktoś myszkuje w jego walizkach, że zginęły mu zapasowe okulary w złotej oprawie, a gdy znalazły się za kanapą, przypuszczał, że złodziej je tam podrzucił. O jego sposobie bycia można się było dokładnie dowiedzieć, gdyż Austriak mieszkał w małym pensjonacie i nim zaszła zmiana w jego usposobieniu, zaprzyjaźnił się z gospodynią Włoszką. Dziesiątego maja Schimmelreiter potknął się na schodach i ze stłuczonym kolanem położył się do łóżka. We dwa dni drażliwość rezydenta ustąpiła, między nim i gospodynią znów zapanowały najlepsze stosunki, że jednak i po ustąpieniu bólu w kolanie cierpiał na dolegliwości reumatyczne, wznowił wizyty w zakładzie kąpielowym. Po paru dniach postawił w nocy cały pensjonat na nogi, wzywając pomocy. Rozbił ręką lustro, bo ktoś się za nim jakoby ukrywał

i uciekł przez okno. Ponieważ lustro wisiało na ścianie, było to oczywistą niemożliwością. Nie mogąc dojść do ładu z niezwykle podnieconym Schimmelreiterem, gospodyni wezwała znajomego lekarza, który stwierdził zagrażający zawał serca. Stan taki może niekiedy prowadzić do zaburzeń umysłowych. Tak przynajmniej utrzymywał lekarz. Gospodyni nalegała na przewiezienie Austriaka do szpitala, do czego też doszło. Przed opuszczeniem pensjonatu rozbił lustro w łazience i trzeciej, na podeście schodów, nim wreszcie wyrwano mu laskę, którą wojował. W szpitalu zachowywał się niespokojnie, płakał, usiłował chować się pod łóżkiem, a zarazem słabł od częstych ataków duszności, był bowiem astmatykiem. Studentowi medycyny, który jako praktykant szpitalny opiekował się nim, opowiedział pod sekretem, że dwa razy otruto go w zakładzie Yittorinich, dosypując do wody kąpielowej trucizny, i że zrobił to posługacz, niechybnie agent wywiadu izraelskiego. Student miał wątpliwości, czy oświadczenie to należy wpisać do historii choroby. Ordynator oddziału uznał je za

objaw zespołu prześladowczego na tle sklerotycznej demencji. Z końcem maja Schimmelreiter zmarł na postępujący obrzęk płuc. Nie miał rodziny, pochowano go w Neapolu na koszt miasta, gdyż pobyt szpitalny wyczerpał jego skromne finanse. Był to więc wypadek w serii wyjątkowy, szło bowiem o cudzoziemca bez środków, w przeciwieństwie do wszystkich innych ofiar. Później podjęte śledztwo ustaliło, że Schimmelreiter był podczas wojny pisarzem w obozie koncentracyjnym Mauthausen, a po klęsce Niemiec stanął przed sądem, nie został jednak skazany, gdyż większość świadków, byłych więźniów obozu, zeznawała na jego korzyść. Byli co prawda i tacy, którzy utrzymywali, że bił więźniów, lecz szło o relacje osób trzecich i winy mu nie udowodniono. Jakkolwiek pomiędzy dwukrotnym pogorszeniem się stanu jego zdrowia a odwiedzaniem zakładu Vittorinich zdawał się rysować związek przyczynowy, przeświadczenia zmarłego były o tyle bezpodstawne, że nie ma trucizn, które działają na mózg rozpuszczone w wodzie kąpielowej.

Łaziebny, którego Austriak podejrzewał o

otrucie, -nie był Żydem, lecz Sycylijczykiem i nie miał nic wspólnego z wywiadem izraelskim. I tu przyszło zrezygnować z uznania wypadku za kryminalny.

Dossier obejmowało już (wyluczając zaginionego Brigga) sześć osób, które zmarły gwałtownie od przyczyn losowych. Nici wychodziły zawsze z zakładu balneologicznego, a że takich zakładów jest w Neapolu więcej, poczęto wertować ich księgi. Śledztwo narastało jak lawina — trzeba było zbadać dwadzieścia sześć wypadków, gdyż zaniechanie opłaconych kąpeli bez żądań zwrotu pieniędzy to rzecz stosunkowo częsta, zwłaszcza iż chodzi o niewielkie kwoty. Za każdym takim śladem należało jednak iść do końca, więc dochodzenia postępowały wolno. Umarzano je dopiero, gdy udało się odnaleźć poszukiwanego w dobrym zdrowiu.

W połowie maja przyleciał do Neapolu Herbert Heyne, Niemiec z pochodzenia, a naturalizowany Amerykanin,, czterdziestodziewięcioletni właściciel łańcucha drug-store'ów w Baltimore. Cierpiał na astmę, od lat leczył się po sanatoriach i specjalista chorób płucnych zalecił mu, ze względu na

powikłania reumatyczne, brać kąpiele siarczane. Brał je w małym zakładzie nie opodal swego hotelu na Piazza Municipale, stołował się wyłącznie w restauracji hotelowej, a po dziewięciu dniach urządził awanturę, skarżąc się na jakoby ohydnie gorzki smak potraw. Po scenie urządzonej w restauracji opuścił hotel i wyjechał do Salerno, gdzie stanął w nadmorskim pensjonacie i późnym wieczorem poszedł zażyć kąpeli. Portierowi, który chciał mu to wyperswadować ze względu na sporą falę i zapadający zmrok, powiedział, że nie może utonąć, bo umrze od pocałunku wampira, ale jeszcze nieprędko. Pokazał mu miejsce przeznaczone na ten pocałunek śmierci: swój przegub. Portier był Tyrolczykiem, widział w gościu ziomka, bo rozmowa toczyła się po niemiecku, wyszedł więc po chwili na brzeg i usłyszał krzyk Heynego. Znalazł się ratownik, Niemca wyłowiono, ale ponieważ zachowywał się niepoczytalnie — pokąsał ratownika — przewieziono go pogotowiem do szpitala, gdzie w środku nocy wstał z łóżka, rozbił szybę okienną i przeciął sobie kawałkiem szkła żyły na rękach. Dyżurna

pielęgniarka podniosła w porę alarm, uratowano go od wykrwawienia, lecz zapadł na zachłystowe zapalenie płuc o ciężkim przebiegu, jak to u astmatyka, i zmarł po trzech dniach nie odzyskawszy przytomności. Próbę zamachu samobójczego przypisano na śledztwie szokowi, wywołanemu topieniem się, które było też przyczyną zapalenia płuc. W ten wypadek wkroczył po dwu miesiącach Interpol, ponieważ radca prawny Heynego w Baltimore otrzymał list, wysłany na odjezdnym w Neapolu, z którym Heyne żądał, aby w razie jego nagłej śmierci powiadomić niezwłocznie policję, ktoś bowiem dybie na jego życie. Poza wzmianką, że ów ktoś mieszka w tym samym hotelu, list nie zawierał żadnych konkretnych faktów. Trafiały się w nim uderzające germanizmy, jakkolwiek Heyne, który przebywał w Stanach od dwudziestu lat, władał angielskim nieposzlakowanie. Ta okoliczność a zarazem zmieniony charakter pisma sprawiły, że adwokat zwątpił w autentyczność listu (pisanego na hotelowym papierze), lecz dowiedziawszy się, jak zmarł jego klient, przecież zawiadomił władze.

Ekspertyza grafologiczna wykazała, że Heyne napisał list własnoręcznie, lecz w ogromnym pośpiechu i podnieceniu. Śledztwo i tu przyszło umorzyć.

Następnym człowiekiem, którego historię odtworzono, był Ian E. Swift, też obywatel Stanów Zjednoczonych, z pochodzenia Anglik, pięćdziesięciodwuletni kierownik dużej firmy meblowej z Bostonu, który przybył do Neapolu statkiem w pierwszych dniach maja, opłacił kąpiele w zakładzie Adriatica i przestał się w nim pojawiać po tygodniu. Zrazu mieszkał pod Livorno w jednym z tańszych hoteli, skąd przeprowadził się do luksusowego Excelsioru w tym samym dniu, w którym zarzucił kąpiele. Wywiady przeprowadzone kolejno w obu hotelach zdawały się dotyczyć dwu różnych ludzi. Swift, jakiego zapamiętano w Livorno, przesiadywał w pokoju nad korespondencją handlową, wziął tak zwaną pensję, czyli całodzienne utrzymanie, gdyż wypadło taniej, a wieczorami chodził do kina.

Swift z Excelsioru wynajął auto z szoferem oraz prywatnego detektywa, z którym jeździł po nocnych

lokalach, domagał się, by codziennie zmieniano mu pościel, sam przysyłał sobie kwiaty do hotelu, zaczepiał na ulicy dziewczęta, zapraszając je na przejażdżki i kolacje, kupował wreszcie po sklepach co popadło. To hulaszczę życie trwało wszystkiego cztery dni. W piątym zostawił w recepcji list do detektywa, który ten przeczytał ze zdumieniem i usiłował rozmówić się telefonicznie ze Swiftem, lecz Swift nie odebrał telefonu, choć był w swoim pokoju. Nie opuścił go przez cały dzień, nie jadł obiadu, lecz zamówił kolację i gdy kelner ją przyniósł, zastał pokój pusty. Swift rozmawiał z nim stojąc za uchylonymi drzwiami łazienki. Podobnie zachował się następnego dnia, jakby nie mógł znieść samego widoku kelnera. Dziwactwa te trwały jeszcze, gdy do Excelsioru przybył Harold Kahn, dawny znajomy Swifta i jego były wspólnik, który wracał do Stanów po dłuższym pobycie w Japonii. Dowiedziawszy się przypadkiem, że Swift mieszka w tym samym hotelu, udał się do niego i po czterdziestu ośmiu godzinach obaj odlecieli do Nowego Jorku odrzutowcem Panamerican.

Przypadek Swifta włączono do serii, choć zdawał się nietypowy, skoro wyzbyty fatalnego epilogu. Wiele wskazywało jednak na to, że Swift bodaj tylko Kahnowi zawdzięczał szczęśliwy powrót do domu. Detektyw prywatny zeznał, że Swift wywarł na nim wrażenie niezupełnie normalnego. Opowiadał o swoich kontaktach z organizacją terrorystyczną "Siła Nocy", którą zamierzał rzekomo finansować, w zamian za co liczył na ochronę przed płatnym mordercą, którego konkurencja wysłała w ślad za nim z Bostonu. Detektyw miał być świadkiem przy owych pertraktacjach, a zarazem chronić go przed zamachami. Wszystko to brzmiało nieprawdopodobnie i detektyw sądził zrazu, że klient znajduje się pod wpływem jakiegoś narkotyku. Z usług detektywa zrezygnował nagle lakonicznym listem, do którego dołączył studolarowy banknot. O tych, którzy mu zagrażali, nie powiedział nic poza tym, że nachodzili go w hotelu w Livorno, co nie odpowiadało prawdzie: nie miał tam żadnych odwiedzin.

Nielatwo przyszło zdobyć od Kalina wiadomości

o tym, co zaszło w Neapolu między nim a Swiftem, nie było bowiem żadnych podstaw do wszczęcia dochodzeń przez policję amerykańską. Ani Swift, ani Kahn nie popełnili wszak żadnego wykroczenia, obaj wrócili do Stanów bez przygód, Swift po dawnemu prowadził swą firmę, lecz strona włoska nalegała w nadziei, że Kahnowi znane są jakieś szczegóły, które rzucają światło na dotychczasowe wydarzenia. Kahn nie chciał zrazu nic mówić i dopiero wtajemniczony częściowo w szersze tło sprawy, po uzyskaniu zapewnień całkowitej dyskrecji, zgodził się złożyć zeznania na piśmie. Ich protokół mocno rozczarował stronę włoską. Swift przyjął Kahna jak najlepiej, co prawda upewniwszy się wypytywaniem przez drzwi, że ma istotnie z nim do czynienia. Z pewnym zmieszaniem przyznał się do "głupstw", jakie ostatnio porobił, bo go otruto. Zachowywał się zupełnie rozsądnie, a pokoju nie opuszczał, gdyż stracił zaufanie do wynajętego detektywa. Uznał, że detektyw przeszedł "na drugą stronę". Pokazał Kahnowi jedną kartkę listu, w którym ktoś żądał od niego dwudziestu tysięcy dolarów, grożąc mu

otruciem. List ów miał otrzymać jeszcze w Livorno i zlekceważył go, lecz źle uczynił, bo nazajutrz po terminie, w którym miał złożyć okup, poczuł taką słabość, że ledwo mógł wstać z łóżka. Przez pół dnia dręczyły go omamy i zawroty głowy, więc czym prędzej spakował się i przeniósł do Excelsioru. Nie liczył na tak proste wywikłanie się z szantażu, dlatego wynajął detektywa, ale nie powiedział mu od razu, po co go potrzebuje, chciał bowiem przypatrzeć się pierwszej temu obcemu w końcu człowiekowi i wystawiał go "na próby", prowadząc wiadomy tryb życia. Składało się to na jako tako sensowną całość i nie wiadomo było jedynie, czemu Swift został w Neapolu, skoro nic go z tym pobytem nie wiązało. Twierdzi, że kąpiele siarczane przyniosły mu ulgę w reumatycznych dolegliwościach i chciał utrwalić ten korzystny efekt zakończeniem kuracji. Zrazu argument ów przekonał Kahna, ale namyśliwszy się nad wszystkim, co opowiedział mu Swift, uznał jego historię za mało wiarygodną. W wątpliwościach utwierdziło go to, co usłyszał od służby hotelowej o postępkach Swifta. Stanowczo Swift strzelał z armaty

do muchy, urządzając pijatyki z podejrzanymi kobietami po to, by wypróbować zaangażowanego detektywa. Powiedział to wprost Swiftowi. Ten odparł, że Kahn ma słuszość, ale przecież był mu wyznał, że działał w zmańczeniu, bo został otruty. Teraz Kahn, już niemal pewny, że przyjaciel popadł w chorobę umysłową, postanowił jak najprędeż zabrać go ze sobą do Stanów i zrobił to metodą faktów dokonanych. Uregulował rachunek hotelowy, kupił bilety lotnicze i nie odstąpił Swifta, dopóki nie spakowali się wspólnie, by pojechać na lotnisko. Z pewnych niezgodności w protokole można się było domyśleć, że Swift nie przyjął samarytańskiej pomocy bez oporu. Jakoż od służby hotelowej usłyszano, że między Amerykanami tuż przed ich odjazdem doszło do poważnej sprzeczki, bez względu na to jednak, czy Kahn prócz argumentów słowa użył przemocy, jasne było, że nie można się po nim spodziewać informacji, posuwających śledztwo naprzód. Jedyne dowód rzeczowy, list, przepadł, Kahn widział tylko jego pierwszą stronę i pamiętał, że był napisany na maszynie, jako któraś z rzędu kopia kalkowa,

dlatego druk był niewyraźny, że jego angielszczyzna była pełna gramatycznych błędów, i wreszcie, że Swift, już w Ameryce zagadnięty, co się stało z listem, roześmiał się i otworzył biurko, aby go dać Kahnowi, lecz list się nie znalazł. Sam Swift odmówił kategorycznie odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania, związane z neapolitańskimi przeżyciami. Fachowcy widzieli w uzyskanym materiale mieszanię faktów prawdopodobnych i nonsensownych. Pisanie listów szantażujących przez kilka grubych arkuszy papieru to znany sposób, utrudniający zidentyfikowanie maszyny, na której powstał tekst, ponieważ dzięki temu ulegają zatarciu indywidualne cechy czcionek. Jest to przy tym metoda względnie nowa, której laicy na ogół nie znają. To by wskazywało na autentyczność listu. Natomiast zachowanie się Swifta -było z innej parafii. Tak jak on nie postępuje człowiek szantażowany, gdy wierzy, że rzucone mu groźby poczynają się spełniać. Doszli więc eksperci do przeświadczenia, że w tym przypadku przecięły się dwie różne sprawy: wątek wymuszenia, zapewne realny, jako próba zdobycia okupu, podjęta w

Liyorno przez kogoś miejscowego (na to wskazywałaby zła angielszczyzna listu), oraz wątek chwilowej demencji, która nawiedziła Amerykanina. Jeśli nawet tak było, sprawa, włączona w szerszy obręb prowadzonych dochodzeń, zaciemniała je, zamiast rozświetlić, bo tak zwana demencja Swifta obrazem swoim pokrywała się z przebiegiem typowym dla innych wypadków.

Kolejny trop dotyczył Szwajcara nazwiskiem Franz Mittelhorn, przybyłego do Neapolu dwudziestego siódmego maja. Jego wypadek tym się różni od pozostałych, że Mittelhorna dobrze znano w pensjonacie, w którym stanął, gdyż bywał w nim rokrocznie. Właściciel dużego antykwariatu w Lozannie, zamożny stary kawaler, miał dziwactwa, którym ulegano, gdyż był cenionym gościem. Zajmował dwa pokoje, połączone przejściowymi drzwiami — jeden służył mu za gabinet, drugi za sypialnię. Przed każdym posiłkiem badał przez lupę czystość talerzy i sztućców, żądał potraw przyrządzanych według jego własnych przepisów, bo cierpiał na alergię pokarmową. Gdy nieraz puchła

mu twarz, jak to bywa w chorobie Quinckego, wzywał do sali jadalnej kucharza i palił mu reprimendy. Kelnerzy utrzymywali, że Mittelhorn jada między posiłkami na mieście po tanich jadłodajniach, przepadał bowiem za wzbronioną mu zupą rybną, więc łamał dietę, a potem urządzał w pensjonacie sceny. Za ostatnim pobytem zmienił nieco tryb życia, jako że od zimy czuł reumatyczne dolegliwości i lekarz zalecił mu kąpiele błotne. Brał je u Yittorinłch. Miał w Neapolu stałego fryzjera, który przychodził do pensjonatu, używał zaś przyborów, jakie Mittelhorn przywoził z sobą, nie chciał bowiem używać brzytwy czy grzebieni po kimś innym. Był wściekły, kiedy dowiedział się przyjechawszy, że ów fryzjer zwinął zakład.

 Nie przestawał narzekać, że znalazł sobie nowego zaufanego.

 Siódmego czerwca zażądał, aby napalono mu w kominku. Kominek stanowił ozdobę jego większego pokoju i nigdy w nim nie palono, lecz nikt nie pytał Mittelhorna dwa razy po wysłuchaniu polecenia. Chociaż więc było ponad dwadzieścia stopni i

utrzymywała się słoneczna pogoda, zrobiono, jak chciał. Kominek dymił trochę, ale jakoś to Mittelhornowi nie przeszkadzało. Zamknął się w pokoju i nie zszedł na kolację. To już było czymś niesłychanym, bo nie opuszczał posiłków, a dla większej punktualności nosił dwa zegarki, ręczny i kieszonkowy. Gdy nie reagował na telefony i stukanie do drzwi, wyłamano je, gdyż zamek został od środka zagwożdżony ułamanym pilnikiem od paznokci. Znaleziono go nieprzytomnego w zadymionym pokoju. Pusta rurka po środku nasennym wyjawiała, że się otruł, więc pogotowie odwiozło go do szpitala. Mając z końcem czerwca udać się do Rzymu na aukcję starodruków, przywiózł ze sobą Mittelhorn ich całą walizę. Stała pusta, za to kominek pełen był zwęglonych papierów. Pergaminy, które nie chciały spłonąć, pociął nożyczkami fryzjerskimi na drobne paski, a ramki, w które były oprawne drzeworyty, połamał na trzaski. Zresztą dobytek hotelowy pozostał nietknięty, urwany był tylko sznur od portiery, zawężlony, tak jakby się na nim usiłował powiesić, lecz sznur nie wytrzymał jego ciężaru.

Świadczył też o tym stół, przystawiony do okna.

Gdy po dwudniowym śnie odzyskał przytomność, lekarz, podejrzewając początek zastoinowego zapalenia płuc, zlecił go prześwietlić. W nocy stał się Mittelhorn niespokojny, majaczył, raz krzyczał, że jest niewinny, że to nie on, raz wygrażał i kłócił się z kimś, wreszcie usiłował zerwać się z łóżka, wtedy pielęgniarka, która nie mogła sobie dać z nim rady, wybiegła szukać lekarza. Korzystając z jej chwilowej nieobecności wpadł do dyżurki obok swojej separatki, rozbił szybę w szafce z lekami i wypił butelkę jodiny. Zmarł na trzeci dzień od ciężkich oparzeń wewnętrznych.

Orzeczenie sądowe opiewało na samobójstwo, wywołane demencją w nagłej depresji. Gdy jednak wznowiono śledztwo i poddawano służbę dokładnej indagacji, portier nocny przypomniał sobie osobliwy incydent z wieczoru poprzedzającego krytyczny dzień.

Na kontuarze w recepcji stało pudełko pełne kopert z kartkami papieru, dla wygody gości i odwiedzających. Posłaniec przyniósł już po kolacji

bilet operowy, zamówiony przez Niemca, który sąsiadował na piętrze z Mittelhornem. Ponieważ Niemiec wyszedł, portier włożył bilet do koperty i wetknął ją do przegródki z kluczem hotelowym. Na skutek jego pomyłki koperta dostała się do przegródki Mittelhorna. Ten, odbierając po powrocie klucz, wziął z nim ową kopertę, rozdarł ją i podszedł do lampy w hallu, by przeczytać list. Jakby się pod nim nogi ugięły, opuścił się na fotel, zakrywając oczy ręką. Siedział tak dobrą chwilę, jeszcze raz spojrzął na trzymaną w ręku kartkę i w pośpiechu, biegiem niemal, udał się do swego pokoju. Tu portier wspomniał posłańca, bilet i zgłupiał, gdyż sam zamawiał telefonicznie ów bilet, pamiętał więc, że należał się Niemcowi, a nie Mittelhornowi. Widząc, że w przegródce Niemca nie ma żadnej koperty, upewnił się w swojej pomyłce i zdecydował pójść do Mittelhorna. Zastukał do jego drzwi, a nie słysząc odpowiedzi, wszedł. Pokój był pusty. Rozdarta koperta i zmięty arkusik leżały na stole. Portier zajrzał do koperty i znalazł w niej bilet, którego Mittelhorn widać w ogóle nie zauważył. Wziął więc

bilet i pchnięty impulsem ciekawości, rozprostował kartkę, która takie wrażenie wywarła na Szwajcarze. Była zupełnie czysta. Oglupiały portier wyszedł, nie mówiąc Szwajcarowi, którego spotkał wracającego z wodą mineralną, wziętą z etażowej lodówki.

Ponieważ na tym etapie śledztwa już się i słomek chwytało, sprawa nie zapisanej kartki nabrała szczególnego znaczenia, tym bardziej że w następnym dniu kazał sobie Mittelhorn rozpalić ogień na kominku i palił w nim swe bezcenne druki, bodaj od rana do nocy, choć zszedł jeszcze na obiad. Albo pusty list stanowił jakieś umowne hasło czy też znak, który wtrącił Mittelhorna w depresję, albo doznał w hallu hotelowym halucynacji i odczytał z kartki nie istniejącą treść. Pierwsza możliwość zdawała się wysoce nieprawdopodobna, pachniała tandetnym pomysłem z filmu sensacyjnego i w całości nie godziła się ze wszystkim, co wiedziano o Mittelhornie: był uosobieniem solidności, poważnym antykwariuszem i rzeczoznawcą; w jego interesach nie wykryto nic tajemniczego czy zatraćającego o przestępstwo.

Jednakowoż kopiąc się coraz głębiej w jego przeszłości, dotarło do dawnych zdarzeń z czasów ostatniej wojny światowej. Mittelhorn był wtedy kierownikiem jednego z największych w Niemczech antykwariatów w Monachium. Właścicielem był człowiek starszy od niego, zamożny Żyd. Po wprowadzeniu w życie ustaw norymberskich Mittelhorn został powiernikiem antykwariatu, kiedy właściciel poszedł do obozu w Dachau, gdzie zginął. Po wojnie Mittelhorn objął antykwariat w posiadanie, legitymując się dokumentem, w którym zmarły przekazywał mu cały majątek. Rozeszły się wszakże słuchy, że dokument został na zmarłym wymuszony i że Mittelhorn maczał w tym wymuszeniu palce. Były to jedynie plotki, lecz Mittelhorn po dwóch latach przeniósł się wraz ze swoją firmą do Szwajcarii i osiadł w Lozannie. Napraszało się więc domniemanie, że jego kryzys psychiczny wiązał się z owymi zajściami sprzed niemal czterdziestu lat, że uległszy iluzji wzrokowej, wziął czysty papier za wiadomość, odniesioną do dawnych wypadków, może do jego grzechów, i w

pogłębiającym się zameęcie postanowił zniszczyć drogocenne mienie, a potem w jeszcze większym szaleństwie targnął się na swoje życie. Gdy się ocknął w szpitalu, usiłował bronić się przed zarzutami nieżyjącego, który mu się zwidy wał, aż ponowił próbę samobójstwa. Wszystko to mogło być, choć stanowiło hipotezę dosyć wymyślną, a przede wszystkim ani trochę nie wyjaśniającą, co właściwie przyprawiło tak zrównoważonego człowieka o nagłą zapaść psychiczną. Udało się tylko dotrzeć do dawnego sąsiada hotelowego Mittelhorna, który potwierdził zeznanie portiera: istotnie nie odebrał w porę zamówionego biletu do opery, a gdy otrzymał go w następnym dniu, było to już musztardą po obiedzie. Tak więc i sprawa ekscentrycznego antykwariusza zaprowadziła w ślepy zaułek. Akta obejmowały już dziewięć wypadków o zagadkowym przebiegu i zwykle tragicznym finale. Wrażenie ich wzajemnego podobieństwa stawało się nieodparte, lecz na-, dał nie można było podjąć kryminalnego śledztwa jako poszukiwania winnych, bo nic nie wskazywało ani na to, gdzie ich szukać, ani na to nawet, że istnieją.

Najdziwniejsza rzecz zdarzyła się po zamknięciu akt Mittelhorna: pensjonat przekazał prefekturze list, który przyszedł na jego nazwisko, chociaż człowiek ten nie żył już od roku. List nadany w Lozannie, zaadresowany pismem maszynowym, zawierał czystą kartkę papieru. Nie udało się ustalić, kto go wysłał. Nie mógł to być dziwaczny żart jakiegoś czytelnika gazet, ponieważ prasa nie opublikowała ani słowa na temat pierwszego pustego listu. Co do mnie, mam w owej kwestii własne przekonanie, lecz wolę go na razie nie wyjawiać.

Co się na koniec tyczy ostatnich dwóch wypadków, jeden zdarzył się dawno, drugi natomiast jest świeższej daty. Zaczynam od najdawniejszego. Przed laty w maju zamieszkał w Portici koło Herculanium Niemiec z Hanoweru, Johann Titz. Wybrał sobie mały pensjonat z pięknym widokiem na Wezuwiusz, którym się interesował, bo jego specjalnością była produkcja pocztówek, a zamierzał wydać ich serię z Wezuwiuszem. Zresztą pobyt jego miał głównie cel leczniczy, od dziecka bowiem dokuczała mu sienna astma. Opalał się tak

intensywnie, że odniósł oparzenie. Dermatolog, którego porady zasięgał w Neapolu, zabronił mu przebywania na słońcu, i był zaskoczony gwałtowną reakcją pacjenta, utrzymującego, że musi się nadal opalać, gdyż tylko tak pozbędzie się astmy. O tym miał go zapewnić jego lekarz w Hanowerze. Titz brał kąpiele błotne w małym zakładzie, do którego dojeżdżał codziennie z Herculanium. Przyjechał z Niemiec własnym autem. Dziewiątego maja poczuł się źle — miał zawroty głowy, a przypisywał je zatruciu żołądka. Urządził awanturę swojej gospodynie, utrzymując, że żywiła go zepsutymi rybami, toteż nie zapłaci rachunku. W końcu jednak zapłacił go i wyjechał. Wziąwszy się po jego odjeździe do sprzątnięcia pokoju, gospodynie odkryła na ścianie napis czerwonym tuszem "Zostałem tu zabity". Tusz wsiąkł tak głęboko w zaprawę, że nie można go było usunąć bez przemalowania ściany, więc właścicielka pensjonatu złożyła na byłego rezydenta skargę. Tymczasem Titz, który jechał na północ, niedaleko Mediolanu skręcił nagle w lewo na prostym odcinku autostrady i przeciąwszy pas trawy, który rozdziela

obie jezdnie, popędził przeciwbieżną jezdnią naprzeciw idącego ruchu, nie zważając na sygnały światłami i dźwiękiem, jakich nie szczędzili mu kierowcy. Rzecz zdumiewająca: przejechał w ten sposób prawie cztery kilometry, zmuszając nadjeżdżające auta do rozpaczliwych manewrów. Niektórzy z kierowców twierdzili potem, że zdawał się w mijanym ruchu szukać “właściwego” samochodu — żeby się z nim zderzyć. Wielką dalekobiezną ciężarówkę Intertransu, która zagroziła mu drogę, wyminął, przemykając się obok niej po trawniku między jezdniami i ponownie wrócił na fałszywą jezdnię, aby niespełna kilometr dalej zderzyć się z małą simcą, którą jechało małżeństwo z dzieckiem. Tylko dziecko, z ciężkimi obrażeniami, przeżyło katastrofę. Titz, jadący w nie zapiętym pasie z wielką szybkością, zginął za kierownicą. Prasa zadawała pytanie, czy nie jest to nowo powstała forma samobójstwa, w której straceniec usiłuje pociągnąć za sobą śmierć innych ludzi. Najprawdopodobniej w zderzeniu z ogromnym pociągiem drogowym Titz zginąłby sam i dlatego nie skorzystał z tej “okazji”.

Wypadek włączono do akt jako niewątpliwy, gdy dowiedziano się o zajściach, które poprzedziły zderzenie. Za Rzymem Titz zatrzymał się na stacji obsługi, gdyż silnik słabo mu ciągnął, i zaklinał monterów do największego pośpiechu przy naprawie, bo ściga go "czerwony bandyta". Monterzy sądzili, że to jakieś żarty, lecz zmienili zdanie, kiedy obiecał im po 10 000 lirów za doprowadzenie silnika do porządku w piętnaście minut i dotrzymał słowa. Co więcej, wypłacił owe "premie" wszystkim mechanikom stacji, jak ich było dziewięciu; uznano go za niespełna rozumu. Może nie udało się zidentyfikować jego osoby, gdyby nie to, że Niemiec, już wyjeżdżając z warsztatów, uderzył w jedno z zaparkowanych aut uszkadzając karoserię i nie zatrzymał się, więc zapisano jego numer rejestracyjny.

Natomiast wypadek ostatni dotyczył Artura T. Adamsa II, który przyjechał do neapolitańskiego hotelu Vesuvio i zamierzał brać przez trzy tygodnie kąpiele, zaniechał ich jednak po kilku dniach, gdy okazało się, że jest uczulony na siarkę. Był to

czterdziestodziewięcioletni rosły mężczyzna, ruchliwy i zewnętrznie pogodny, choć niezadowolony z życia: coś dziesięć razy zmieniał w nim fach. Był kolejno prokurentem bankowym, pracownikiem Medicare, sprzedawcą fortepianów, nauczał korespondencyjnie bankowości, ale także judo, a potem karate, a jeszcze intensywniej oddawał się różnym konikom. Zyskał patent skoczka spadochronowego, był amatorem astronomem, przez rok wydawał nieregularnie pismo o nazwie "Artur T. Adams II", w którym ogłaszał komentarze do spraw, jakie akurat go interesowały. Powielał je własnym kosztem i wysyłał bezpłatnie kilkudziesięciu znajomym. Był członkiem mnóstwa towarzystw od dianetycznego po zrzeszenie dotkniętych gorączką sienną. Wracając autem do Rzymu, zachowywał się dziwnie. To mknął z największą szybkością, to stał na pustkowiu, kupił po drodze dętkę, choć miał bezdętkowe opony, a burzę, w którą wjechał pod Rzymem, przesiedział w stojącym aucie. Policjantowi z patrolu, który się przy nim zatrzymał, oświadczył, że ma defekt wycieraczek. W istocie były sprawne. Do

Rzymu przybył nocą, a choć zarezerwował sobie w Neapolu nocleg w Hiltonie, objeżdżał hotele, dopytując się o wolny pokój i dopiero nie znalazłszy go nigdzie, zawrócił do Hiltona. Nazajutrz znaleziono go w łóżku martwego. Autopsja stwierdziła mierną rozedmę płuc, poszerzenie serca oraz przekrwienie narządów typowe dla śmierci z uduszenia. Nie było jednak wiadomo, jak do niego doszło. Orzeczenie sądowe lawirowało między śmiercią wywołaną nadmiernym napięciem układu przywspółczulnego a uduszeniem od nieдомogi mięśnia sercowego spowodowanej uprzednim atakiem astmy. Przypadek ten omawiała przez pewien czas fachowa prasa lekarska, atakując orzeczenie sądowe jako błędne. Tylko niemowlęta niekiedy duszą się wtulone w poduszki. Jeśli człowiek dorosły zatka sobie pościelą nos i usta, natychmiast się przebudzi. O tym, by Adams cierpiał na astmę, nic nie było wiadomo, skądże więc miał się wziąć jej atak. Cóż pozostało? Pozycja, w jakiej znaleziono Adamsa: leżał na brzuchu z głową w poduszce, przyciśniętej ramionami do twarzy. Je^{li}

miało to być samobójstwo, medycyna sądowa nie notowała w swoich kronikach podobnego przypadku. Mówiono o śmierci z przerażenia, lecz choć taka się zdarza, nie może jej wywołać koszmar senny. W sprawę tę wkroczył Interpol z dużym opóźnieniem, gdy do Stanów doszły listy, jakie zmarły wysłał z Neapolu do swojej byłej żony, z którą po rozwodzie utrzymywał dobre stosunki. Listy, wysłane w trzydniowym odstępie, przyszły równocześnie, bo korespondencja spiętrzyła się przez strajk pocztowców. W pierwszym liście Adams pisał, że jest przybity, bo miewa halucynacje, “takie same jak po kostkach cukru”. Słowa te odnosiły się do okresu poprzedzającego rozwód, kiedy Adams i jego żona zażywali psylocybinę podawaną na cukrze. Nie pojmował, co teraz, po pięciu latach, spowodowało halucynacje o “potwornej” treści, nachodzące go zwłaszcza nocą. Drugi list był całkiem odmienny w tonie i w treści. Halucynacje trwały wprawdzie, lecz przestały go niepokoić, bo odkrył ich przyczynę.

“Drobiazg, którego znaczenia nigdy byś się nie domyśliła, otworzył mi oczy na niesłychaną aferę.

Udało mi się zdobyć materiał na cykl artykułów o zupełnie nowym typie zbrodni, zbrodni nie tylko bezinteresownej, lecz i bezadresowej, jakby ktoś gwoździe rozsypał na drogę. Wiesz, że nie jestem skory do przesady, ale nie tylko prasa się zatręsie, kiedy pocznę to publikować. Muszę być jednak ostrożny. Nie mam tych materiałów ze sobą. Są dobrze zabezpieczone. Stąd nie będę o tym więcej pisał. Dam ci znać, kiedy wrócę. Napiszę z Rzymu, postaram się prędko, bo mam już tę złotą żyłę, marzenie każdego dziennikarza. Ale to złoto zabija".

Nie trzeba rozwodzić się nad intensywnością poszukiwań, poświęconych skrytce Adamsa. Poszukiwania te nie dały rezultatu. Albo niczego się nie dowiedział i tym samym zacytowany list stanowi dalszą część jego urojeń, albo ukrył uzyskane informacje zbyt dobrze.

Śmiercią Adamsa zamykani listę tragicznych zająć, biorących początek w Neapolu i jego okolicy. W śledztwie uczestniczyły prócz włoskiej policje krajów zainteresowanych ze względu na obywatelstwo ofiar — szwedzka, niemiecka, austriacka i szwajcarska,

włącznie z amerykańską. Dochodzeniom patronował i koordynował je Interpol. W ich toku wykryto sporo nieformalności i drobnych uchybień, jak choćby opóźnienia zgłoszeń o zaginionych gościach hotelowych, jak zaniechanie sekcji zwłok mimo gwałtownej śmierci, nie wykryto jednak zbrodniczej intencji, a tylko opieszałość, niedbalstwo bądź ochronę własnych interesów.

Pierwszy zrzekł się kontynuowania prac Interpol, a w ślad za nim inne policje, więc i włoska. Akta otrzepano z kurzu na skutek kroków podjętych przez panią Urszulę Barbour, główną spadkobierczynię Adamsa. Pozostawił po sobie około 90000 dolarów w papierach wartościowych i akcjach. Pani Barbour, osoba osiemdziesięcioletnia, która zastępowała Adamsowi matkę, postanowiła użyć części tego kapitału dla wykrycia morderców jej przybranego syna. Po zapoznaniu się z okolicznościami jego śmierci i z treścią jego ostatniego listu do byłej żony, była święcie przekonana, że padł ofiarą zbrodni niezwykle przebiegłej, skoro oparła się różnonarodowym policjom.

Pani Barbour powierzyła sprawę poważnej agencji Elgin, Elgin i Thorn, którą kierował Samuel Ohlin-Gaar, prawnik, dawny przyjaciel mego ojca. Stało się to w czasie, kiedy zmierzch mojej astronautycznej kariery był już pewnością. Gdy więc ludzie Ohlin-Gaara przewertowali raz jeszcze udostępnione im akta, przebiegli wszystkie ścieżki, wydali sporo pieniędzy na konsultację najświetniejszych rzeczoznawców kryminologii i medycyny sądowej i nie posunęli się ani o krok, Ohlin-Gaar, namawiany do tego przez jednego z najstarszych swoich współpracowników — był nim Randolph Loers, zwany przez bliskich Randym — zdecydował się z rozpaczy raczej niż z nadziei zorganizować akcję symulacyjną, mianowicie wysłać do Neapolu samotnego Amerykanina tak podobnego do typu ofiary, jak to będzie możliwe. Bywałem częstym gościem w domu starego pana Ohlina i raz półserio jął mnie wtajemniczać w rzecz, uważając, że nie narusza tym tajemnicy zawodowej, skoro alternatywą akcji symulacyjnej było już tylko umycie rąk od tej fatalnej sprawy.

I ja zrazu bawilem się raczej myślą o mojej kandydaturze, aż okazało się, że byłem chcial, będzie przyjęta. W samej rzeczy kończyłem pięćdziesiątkę, miałem dobrą kondycję, ale lekkie łamanie w kościach przy zmianie pogody, a ponadto i katar sienny. Ponieważ oglądana z drugiego brzegu oceanu przygoda zapowiadała się dosyć osobliwie, dałem się zaprząć do symulacyjnej maszyny. Z dokumentami opiewającymi na George L. Simpsona, maklera z Bostonu, przyleciałem przed trzema tygodniami do Neapolu, by stanąć w Vesuvio, wziąć abonament u Yittorinich, kąpać się, opalać i grać w siatkówkę. Aby posunąć się do ostatecznej granicy, przejąłem rzeczy osobiste Adamsa, przechowane przez panią Barbour. W Neapolu czuwała nade mną sześćoosobowa ekipa — dwie pary zmienników i niezależnie od nich dwaj technicy obserwujący z dala moją krew, płuca i serce. Tylko na plażę chodziłem bez czujników. Wtedy szły w ruch dobrze ukryte lornetki. Po przyjeździe umieściłem w sejfie hotelowym 19 000 dolarów, by odebrać je po pięciu dniach i trzymać odtąd w pokoju. Nie stroniłem od nawiązywania

przypadkowych znajomości, zwiedzałem te same muzea co Adams, jak on byłem w operze, chodziłem w jego ślady nad zatoką, a do Rzymu pojechałem tym samym hornetem. Umieszczono w nim wzmacniacz, powiększający zasięg czujników. W Rzymie czekał mnie doktor Sidney Fox, specjalista medycyny sądowej. Miał przepatrzyć wszystkie taśmy z rejestratami, co też zrobił i tak — fiaskiem — zakończyła się operacja.

Przedstawiłem Barthowi sprawę jedenastu w skróconym wariacie, używanym, gdy przyszło dokooptować do badań kogoś nowego. Wariant ten nazywaliśmy panoramicznym.

Okna gabinetu wychodziły na północ, a cień wielkich wiazów zaciemniał go dodatkowo. Gdy wyłączyłem rzutnik, Barth zapalił lampę na biurku i pokój od razu się zmienił. Barth milczał, z brwiami uniesionymi jak w lekkim zdziwieniu, a mnie wydało się raptem to wtargnięcie do obcego człowieka zupełnie beznadziejne. Bałeni się, że spyta, jak właściwie wyobrażam sobie jego pomoc, jeśli nie oświadczy wręcz, że to nie problem dla niego.

Tymczasem wstał, przeszedł się po pokoju, stanął za pięknym starym karłem i kładąc ręce na jego rzeźbionym oparciu, powiedział:

— Wie pan, jak należało to zrobić? Wysiać grupę “symulantów”. Co najmniej pięciu.

— Myśli pan? — spytałem zaskoczony.

— Tak. Jeśli ująć pana akcję w kategoriach eksperymentu ścisłego, to albo nie wypełnił pan warunków wyjściowych, albo brzegowych. Albo panu czegoś zabrakło, albo pana środowisku. Jeśli panu, to należałoby wziąć ludzi w takim przedziale zmienności cech, jaką wykazywały ofiary.

— Jak pan to ujmuje! — wyrwało mi się prawie. Uśmiechnął się.

— Przywykł pan do innego języka, co? Bo znalazł się pan wśród ludzi myślących stylem policyjnym. To styl dobrze wypracowany dla ścigania przestępców, ale nie dla rozstrzygania kwestii, czy przestępca w ogóle istnieje. Przypuszczam, że gdyby pan wszedł w niebezpieczeństwo, to niepostrzeżenie dla samego siebie. Oczywiście do czasu. Widziałby pan później okoliczności towarzyszące, ale nie

mechanizm przyczynowy.

— Czy jedno nie może być drugim?

— Może, ale nie musi.

— Ale przecież byłem na to z góry przygotowany, w przeciwieństwie do tamtych. Miałem notować każdy podejrzany szczegół.

— I co pan zanotował? Uśmiechnąłem się zmieszany.

— Nic. Miałem parę razy ochotę, ale uznałem w końcu, że to od zbytniego natężenia samoobserwacji.

— Był pan kiedyś pod wpływem halucynogenów?

— Tak. W Stanach, przed tą akcją. SLD, psylocybina, meskalina — pod kontrolą lekarską.

— Rozumiem. Zaprawa. A można wiedzieć, na co pan liczył, występując w tej roli? Pan sam.

— Czego się spodziewałem? Byłem umiarkowanym optymistą. Liczyłem na to, że ustalimy przynajmniej, czy to zbrodnia, czy traf.

— To wielkim był pan optymistą! Pułapka neapolitańska istnieje — to mi się wydaje niezbite. Ale nie jest mechanizmem zegarowym, raczej loterią.

Objawy odznaczają się fluktuacjami, kapryśnością, mogą przystawać albo nawet cofać się. Prawda?

— Bezsprzecznie.

— No więc. Modelem może być teren pod obstrzałem. Może pan zostać zabity albo jako wzięty na muszkę, albo na skutek gęstości obstrzału. Lecz przecież tak czy owak jest ktoś, po drugiej stronie, komu zależy na trupach!

— Ach — tak pan to widzi? Ślepy traf nie wyklucza zbrodni?

— Rozumie się. A wyście tak nie uważali?

— Raczej nie. Kiedyś padła taka sugestia, ale usłyszałem na to, że gdyby tak miało być, to skoryguje się wtedy odpowiednio dochodzenia...

— Ba, ba! Zły człowiek albo zła fortuna! Ale przecież nawet w języku utrwalilo się porzekadło *corriger la fortune!* Prawda. Dlaczego nie zastosowaliście dwustronnej łączności?

— Byłaby zbyt kłopotliwa. Nie mogłem chodzić obładowany elektroniką. Był jeszcze taki szkopuł, który wyni- • ka z przypadku Swifta. Tego, któremu przyniósł ocalenie znajomy, bo stanął w tym samym

hotelu. Swift tak sugestywnie prezentował swe urojenia, że prawie tamtego przekonał.

— Aha. Folie en deux? Szło o to, żeby pan nie mógł nawrócić swego anioła stróża na swoje majaki, gdyby do nich przyszło?

— Właśnie.

— Proszę mnie poprawić, jeśli się myłę: z jedenastu ludzi dwu wyszło z życiem, a jeden zginął. Nazywał się Brigg. Tak?

— Tak, ale Brigg byłby już dwunasty. Nie włączyliśmy go definitywnie do serii.

— Zbyt mało danych, tak? A teraz — kolejność w czasie. Pana relacja jest pod tym względem źle zbudowana, bo myląca. Podaje wypadki w kolejności ich wykrywania, co jest zupełnie akcydentalne, a nie w kolejności zachodzenia. Ile było sezonów? Dwa?

— Tak. Titz, Coburn i Osborn przed dwoma laty. Wtedy też zginął Brigg. Wszyscy inni to historia zeszłoroczna.

— A w tym roku?

— Jeśli zdarzyło się coś, dowiemy się o tym nie prędzej niż na jesieni. Tym bardziej że śledztwo

zakładające serię jako pewną całość zostało umorzone.

— Jeśli czesaliście dokładnie, wygląda to na serię rosnącą: w pierwszym rzucie trzy ofiary, w drugim osiem. No tak. Pan nie tylko w Neapolu był wabikiem, ale i tu, w Paryżu...

— Jak pan to rozumie?

— Podłożył mi pan przynętę. Przyznaję: to wciąga! W pana relacji sprawa zdaje się tak wyraźna! Jej prawidłowość wprost się narzuca. Ale z tego, że wszyscy połamali sobie na niej zęby, wnoszę, iż jest perfidna. Perfidna, chociaż przekonanie, że idzie o jakąś postać obłędu, którego nikt umyślnie nie spowodował, narasta z każdym następnym zajściem. Czy i pan jest tego zdania?

— Ależ tak. To zdanie powszechne. Inaczej nie umorzono by śledztwa.

— A więc skąd wątpliwości, że to nie zbrodnia?

— Jak by powiedzieć... to jak z fotografią. Mam na myśli siatkową reprodukcję zdjęcia. Gołym okiem widać ogólny zarys postaci, lecz nie szczegóły. Ogląda się ją przez lupę — coś się rysuje jakby lepiej, ale

jakby i rozplywa. Bierzemy wtedy najsilniejsze szkła i obraz znika, bo rozsypuje się na poszczególne kropki. Każda jest osobna, razem nie znaczą już nic.

— Pan chce powiedzieć, że przyjmując hipotezę przypadkowej serii zatruć, obala się ją tym skuteczniej, im dokładniejsze są badania?

— Żeby pan wiedział.

— A kiedy przechodzi się do hipotezy sprawców, to samo?

— To samo. Wyniki są mniej więcej takie: nikt nikogo nie truł i nikt nie miał się czym otruć. Niemniej... Wzruszyłem ramionami.

— Więc czemu upieraliście się przy tej właśnie alternatywie — zbrodnia lub wypadek?

— A co pozostaje innego?

— Choćby to — wskazał "France Soir" na biurku. — Czytał pan dzisiejsze gazety?

Pokazał mi wielkie nagłówki "Bomba w Labiryncie", "Rzeź na schodach", "Tajemniczy zbawca podlotka".

— Tak — powiedziałem. — Wiem, co się stało.

— A więc proszę. Klasyczny wypadek zbrodni

naszych czasów, zarazem premedytowanej i losowej. Zginął ten, kto się znalazł w jej kręgu.

— Ależ to coś zupełnie innego?

— To nie jest to samo. Zapewne. Pewne cechy osobowe predestynowały do śmierci w Neapolu, ale nie na rzymskim lotnisku. Rozumie się! Ale przecież już ten człowiek, Adams, pisał do żony o zbrodni bezadresowej, użył obrazu gwoździ fozsypanych na drodze. To zbyt prosty model rzecz jasna. Ale tak samo jasne jest, że jeśli ktoś stoi za tymi śmierciami, to na niczym bardziej mu nie zależy, jak na tym, aby stworzyć wrażenie, że w ogóle go nie ma!

Milczałem, a Barth spojrział na mnie szybko, wstał, przeszedł się po pokoju, wrócił na swoje miejsce i spytał:

— A co pan sądzi o tym wszystkim?

— Mogę tylko powiedzieć, co mnie najbardziej uderza. Jeśli się dopuszcza truciznę, oczekuje się zawsze tych samych objawów.

— A nie były zawsze takie same? Rozumiałem, że tak. Kadencja dość typowa, faza podniecenia i agresywności, faza urojeń, najczęściej

prześladowczych, faza zejścia: jako ucieczki z Neapolu albo i z życia. Uciekali, jak kto mógł, autem, samolotem, nawet, pieszo, albo było szkło, brzytwa, sznur, strzał w usta, jodyna...

Miałem wrażenie, że chce się popisać swoją pamięcią.

— Tak, te objawy były podobne, ale kiedy zaczyna się uważnie badać życiorys każdej ofiary, powstaje zaskoczenie...

— No, no?

— Na ogół rodzaj śmierci nie zależy od charakteru umierającego. Nie zależy przecież od charakteru, czy umiera się na zapalenie płuc, na raka czy w wypadku samochodowym. Są wyjątki, na przykład profesjonalna śmierć oblatywaczy samolotów... ale w normie nie ma korelacji między sposobem życia i umierania.

— Jednym słowem śmierć jest nieswoista względem indywidualności. Powiedzmy. I co dalej?

— Tu jest swoista.

— Mój panie, pan mnie demonologią częstuje!
Jak mam to rozumieć?

— Dosłownie. Znakomity pływak utonął. Alpinista zginął w upadku. Automaniak w czołowym zderzeniu na drodze.

— Czekałże pan! Ten automaniak to Titz?

— Tak. Miał trzy auta. Dwa sportowe. Zabił się w porsche. Idę dalej: Człowiek bojaźliwy zginął uciekając... . — Który to był?

— Osborn. Zginął, kiedy porzucił auto udając robotnika drogowego.

— Nie mówił pan nic o jego tchórzostwie!

— Przepraszam. Ten skrótowy wariant, który panu przedstawiłem, wiele pomija. Osborn pracował w ubezpieczeniach, sam ubezpieczony, miał opinię człowieka uchylającego się przed wszelkim ryzykiem. Gdy poczuł się zagrożony, siadł pisać policji, ale zląkł się, spalił list i uciekł. Adams, człowiek ekscentryczny, zginął jak żył — niezwykle. Odważny reporter trzymał się do końca, aż skończył strzałem...

— A to nie była ucieczka?

— Nie sądzę. Kazano mu lecieć do Londynu. Załamał się chwilowo, podciął sobie żyły, ale sam się opatrzył i poleciał wykonać zadanie. Zastrzelił się, bo

nie mógł go wykonać. Musiał mieć wiele dumy. Nie wiem, jaki mógł być koniec Swifta, ale w młodości był to typowy słaby charakter, syn marnotrawny, zamki na lodzie, ekscesy, potrzebował zawsze kogoś silniejszego. Żony. przyjaciela. Wszystko, to powtórzyło się w Neapolu.

Barth, namarszczony, dotykał palcem podbródka, patrząc przed siebie nie widzącymi oczyma.

— No, to w zasadzie wytłumaczalne. Regresja... cofnięcie się do wcześniejszego okresu życia, nie jestem specjalistą, ale halucynogeny wywołują chyba... a co mówią toksykologowie? Psychiatrzy?

— Pewne analogie objawowe z LSD, ale LSD nie jest tak swoisty względem osobowości. Farmakologia nie zna środków tak swoistych. Kiedy zapoznawałem się z życiem tych ludzi, odnosiłem wrażenie, że żaden nie zwichnął się w swojej naturze, przeciwnie, objawił ją w jakimś karykaturalnym wyolbrzymieniu. Oszczędny stawał się dusigroszem, pedant... ten antykwariusz cały dzień ciął walizę papierów na cienkie paski... to istna kopalnia, jeżeli mogę zostawić

panu akta, sam się pan przekona.

— Ależ proszę o to. Ten czynnik X byłby zatem “trucizną osobowości”? To, istotnie... ale od tej strony chyba się nie dojdzie do rozwiązania. Sondaż psychologiczny może pokazać, jak działa ten czynnik, ale nie jak wchodzi w ofiarę.

Siedział pochylony do przodu z opuszczoną głową, patrząc na ręce, którymi oplótł kolano i naraz spojrział mi w oczy.

— Zadam panu pytanie osobiste... czy mogę? Przytaknąłem.

— Co się z panem działo podczas symulacji? Jak się pan czuł? Cały czas pewnie?

— Nie. Na ogół było to przykre — inaczej niż wyglądało z Ameryki. Nie przez to nawet, że używałem rzeczy zmarłego, do tego prędko przywykłem. Uważano, że jestem szczególnie predestynowany do tej operacji ze względu na moją profesję...

— Tak? — podniósł brwi.

— Publiczności przedstawia się ją jako fascynującą, ale to rutyna, nuda, jeszcze raz rutyna i

krótkie momenty ekscytacji.

— Aha! prawie to samo, co w Neapolu, tak?

— Tak, zwłaszcza że jesteśmy trenowani do samoobserwacji. Wskazania przyrządów mogą zawieść, wtedy ostatnim indykatorem jest człowiek.

— A zatem nuda i rutyna. A skąd ekscytacja w Neapolu? Kiedy i gdzie?

— Kiedy się bałem.

— Pan się bał?

— Owszem, co najmniej dwa razy. Sprawilo mi to pewną satysfakcję.

Mówilem z trudnością, takie to było niepochwytne. Nie spuszczał ze mnie oczu.

— Pan lubi się bać?

— Nie mogę powiedzieć ani tak, ani nie. Dobrze, jeśli to, co człowiek może, pokrywa się z tym, na czym mu zależy. Mnie zależało zwykle na tym, czego nie mogłem. Istnieje ' niezliczona ilość postaci ryzyka, ale nie pociąga mnie ryzyko banalne, powiedzmy takie jak rosyjska ruletka. To byłby strach bezpłodny... natomiast to, co nie daje się określić, przewidzieć, ograniczyć, zawsze mnie pociągało.

— Czy dlatego postanowił pan zostać astronautą?

— Nie wiem. Może. Uważa się nas za zmyślne szympansy, zdalnie sterowane ziemskim komputerem. Program i plan. Najwyższy porządek jako stygmat cywilizacji, której przeciwnym biegunem jest to — wskazałem na gazetę z pierwszostronicową fotografią rzymskich schodów. — Nie sądzę, żeby tak było. Ale jeżeli nawet tak jest, na Marsie mieliśmy być już sami. Wiedziałem od początku, że mój mankament fizyczny będzie wisiał nade mną jak miecz Damoklesa, bo przez sześć tygodni w roku, kiedy kwitną trawy, jestem do niczego. Co prawda liczyłem na to, że na Marsie nie ma trawy... to jest zupełnie pewne i moi przełożeni też tak myśleli, w końcu jednak ten katar zepchnął mnie na rezerwową pozycję, na której nie miałem luz szans.

— Polecieć na Marsa?

— Tak.

— Ale pozostał pan w rezerwie?

— Nie.

— Aut Caesar, aut nihil?

— Jeśli pan chce.

Rozplótl ręce i zagłębił się w swoim karle. Z wpółopuszczonymi powiekami zdawał się przetrawiać moje słowa. Poruszył brwiami, uśmiechnął się nieznacznie.

— Wróćmy na Ziemię! Czy wszyscy ci ludzie byli alergikami?

— Prawie na pewno wszyscy. W jednym przypadku nie dało się tego udowodnić. Uczulenia były rozmaite — przeważnie na pyłki traw, no i astma...

— A można wiedzieć, kiedy pan się bał? Wspomniał pan przed chwilą...

— Przypominam sobie dwa takie momenty. Raz w restauracji hotelowej, kiedy wywołano do telefonu Adamsa. To pospolite nazwisko, szło o innego człowieka, lecz przez chwilę zdawało mi się, że to nie przypadek.

— Wydało się panu, że wywołują do telefonu zmarłego?

— Nie, skąd. Myślałem, że coś się zaczyna. Że to

jest hasło skierowane do mnie tak, ażeby nikt z obecnych nie mógł o tym wiedzieć.

— Nie pomyślał pan, że to ktoś z pańskiej ekipy?

— Nie. To nie wchodziło w rachubę. Pod żadnym pozorem nie wolno im się było ze mną kontaktować. Gdyby zaszło coś likwidującego naszą akcję, powiedzmy wybuch wojny, przyszedłby do mnie Randy — kierownik operacji. Ale tylko wtedy.

— Przepraszam, że tak wypytuję, ale to ważne dla mnie. Więc wywołano Adamsa. Ale jeśli wywołujący miał pana na oku, znaczyłoby to, że przejrzał pańską grę i daje panu o tym znać, bo nie występował pan przecież jako Adams!

— Ależ tak. Chyba dlatego właśnie się zląkłem. Chciałem podejść do telefonu.

— Po co?

— Żeby dostać pierwszy kontakt z tymi — z tą drugą stroną. Taki byłby lepszy niż żaden.

— Rozumiem. Ale nie podszedł pan?

— Nie, bo znalazł się autentyczny Adams.

— A drugi raz?

— To było już w Rzymie, w nocy, w hotelu.

Miałem ten sam pokój, w którym Adams umarł we śnie. Cóż, powiem panu i to. Rozważano rozmaite role. Nie musiałem koniecznie kłaść nóg w ślady tego człowieka, mówiło się o innych, ale uczestniczyłem w naradach i przeważyłem szalę na rzecz Adamsa... — Urwałem, widząc jak zabłysły mu oczy. .

— Domyślam się. Ani obłęd, ani morze, ani autostrada — po prostu pewny, zamknięty apartament — samotność, komfort i śmierć. Czy tak?

— Być może, ale nie myślałem o tym wtedy. Sądzono, zdaje się, że wybrałem jego marszrutę, licząc na odnalezienie tych rewelacji, które miał zdobyć i ukryć gdzieś, ale tak nie było. Ten człowiek był mi jakoś sympatyczny.

Chociaż dotknął mnie przed chwilą swoim “Aut Caesar, aut nihil”, nadal okazywałem się bardziej wylewny niż w normie, bo tak mi na nim zależało. Nie umiem określić, kiedy ta sprawa stała się moją obsesją. Zrazu traktowałem impersonację jako rutynę, do której musiałem się nagiąć, bo była stawką gry. Sam nie wiem, kiedy wciągnęła mnie całego, żeby odtrącić. Uwierzyłem w obiecaną grozę,

miałem wszak dowody, że nie była zmyśleniem, prawie już dostałem się w jej krąg i to właśnie okazało się iluzją. Nie zostałem dopuszczony. Odegrałem Adamsa, jak umiałem, ale nie dotarłem do jego losu, nie przeżyłem nic i dlatego nic nie wiedziałem. Być może słowa Bartha tak mnie poruszyły, bo dotknęły prawdy. Kerr, kolega Pitzpatricka, który był freudystą, powiedziałby pewno, że chciałem postawić wszystko na jedną kartę, bo wolałem zginąć niż przegrać, a właściwie zginąć, ponieważ przegrywałem, mój wybór Adamsa całą akcją włożyłby we freudowski schemat popędu Thanatosa. Z pewnością by tak powiedział. Wszystko jedno. Pomoc tego Francuza była jak złamanie kodeksu wspinaczki, ustępowałem miejsca, żeby dać się wciągnąć pierwszemu na linie, ale wolałem to od całkowitego fiaska. Nie chciałem, nie mogłem tak tego stracić jak wyrzucony za drzwi.

— Porozprawiajmy o metodzie — ocknął mnie głos Bartha. — Pierwsze jest zamknięcie zbioru ofiar. Wyodrębnienie serii. Postępowaliście w tym nader arbitralnie.

— Sądzi pan? Na jakiej podstawie?

— Na tej, że to nie wypadki same się porozdzielały, tylko wyście je porozdzielali na istotne i nieistotne. Za wyróżnik istotnych uznaliście obłąd i śmierć, co najmniej obłąd, jeśli nie doprowadził nawet do śmierci. Ale proszę porównać zachowanie Swifta i Adamsa. Swift oszalał, by tak rzec, z jawnym rozmachem, o tym natomiast, że Adamsa dręczyły halucynacje, dowiedzieliście się dopiero z jego listów do żony. Ileż mogło być wypadków, w których zabrakło wam takiej wskazówki!

— Wybacz pan — powiedziałem — ale na to nie ma rady. To, co pan nam zarzuca, jest klasycznym dylematem badania nieznanego zjawiska. Po to, żeby je porządnie odgraniczyć, trzeba znać mechanizm przyczynowy, a po to, żeby znać mechanizm przyczynowy, trzeba zjawiska dobrze odgraniczyć.

Spojrzał na mnie z nie ukrywaną przychylnością.

— A, to pan też zna ten język. Ale chyba nie od detektywów, co?

Nie odpowiedziałem. Tarł podbródek.

— Tak, to istotnie klasyczny dylemat indukcji.

Porozmawiajmy więc o faktach odrzuconych. O tropach, które uznaliście za fałszywe. Czy były dłuższe obiecujące ślady, które wreszcie się urywały? Było coś takiego?

Teraz ja spojrzałem na niego z uznaniem.

— Tak. Jeden był ciekawy. Spodziewaliśmy się po nim wiele. Wszyscy Amerykanie spośród ofiar przeszli przed wyjazdem do Włoch przez jedną z klinik doktora Stelli. Słyszał pan może o nim?

— Nie.

— Rozmaicie o nim mówią, że to świetny lekarz albo że szarlatan. Pacjentów z dolegliwościami reumatycznymi kierował na kąpiele siarczane do Neapolu.

— Proszę!

— Ja też podskoczyłem, kiedy to usłyszałem, ale to mylny trop. Uważał, że takie kąpiele w pobliżu Wezuwiusza są lepsze od wszystkich innych, a przecież mamy dość podobnych źródeł w Stanach. Ci z jego chorych, którzy dawali się namówić na taką podróż, stanowili jednak mniejszość, bo to nieprawda, że Amerykanie są rozrzutni. Kiedy

pacjent twierdził, że nie stać go na Wezuwiusza, Stella kierował go do amerykańskiego kąpieliska. Wyszukaliśmy tych ludzi. Było ich prawie stu. Wszyscy zdrowi i cali, to znaczy niektórzy pokręcani reumatyzmem akurat tak, jak przed tą terapią, w każdym razie nie trafiliśmy na żaden zgon włoskiego typu. Tym pacjentom Stelli nie zdarzało się nic nadzwyczajnego. Umierali zwykle w łóżku na serce, na raka.

— Może mieli żony, rodziny — rzekł z zamyśleniem Barth.

Uśmiechnąłem się mimo woli.

— Doktorze, już i pan zaczyna mówić tym zwariowanym żargonem, tymi zwrotami, którymi miele się w agencji tę sprawę... owszem, na ogół mieli rodziny, ale nie brakło wdowców, starych kawalerów, a zresztą czy żona, dzieci to panaceum? Antidotum? Ale przeciw czemu właściwie?

— Tylko przez morze głupstw dochodzi się prawdy — sentencjonalnie, ale z wesołymi oczami, rzekł Barth.

— No, a czy pan wie, ilu pacjentów wysłał ten

Stella do Neapolu?

— Wiem. I to jest jedno z najdziwniejszych miejsc w tej historii, kiedy o tym myślę, to zawsze z takim uczuciem, jakbym był o cal od sedna sprawy. Wysłał takich reumatyków dwudziestu dziewięciu. Z nich właśnie pochodzi pięciu naszych Amerykanów: Osborn, Brunner, Coburn, Heyne i Swift.

— Na siedmiu Amerykanów?

— Tak. Ani Emmings, ani Adams nie leczyli się u Stelli. Brigg też nie, ale nie zaliczyliśmy go, jak pan wie, do ofiar.

— Wysoka istotność! A pozostali kuracjusze? Tamtych dwudziestu czterech pacjentów Stelli?

— Tę statystykę znam na pamięć... Szesnastu wysłał w latach, w których nie było jeszcze tych naszych zajęć. Wszyscy wrócili cało do Stanów. W ubiegłym roku wysłał trzynastu. Z nich właśnie rekrutowało się pięć ofiar.

— Pięciu na trzynastu? A czy wśród tych ośmiu, którym nic się nie stało, występował "typ ofiary"?

— Owszem. Aż trzykrotnie: samotni, zamożni, pod pięćdziesiątkę. Wszyscy wrócili. Żyją.

— Sami mężczyźni? Stella nie leczył kobiet?
Dlaczego?

— Ależ leczył. Przed tymi śmierciami wysłał do Neapolu cztery kobiety, a w zeszłym roku dwie. W tym roku żadnej.

— Skąd ta dysproporcja płci?

— Kliniki Stelli wylansowały się jako leczące przede wszystkim mężczyzn. Zaburzenia potencji, łysienie, potem zostało to tuszowane, ale już utrwalił się obraz — to co nazywamy “image” — że Stella jest lekarzem mężczyzn. Dysproporcja tłumaczy się zupełnie naturalnie.

— Tak pan sądzi... a przecież ani jedna kobieta nie zginęła, a samotnych starszych dam nie brak i w Europie. Czy Stella ma w Europie jakąś klinikę?

— Nie. Ofiary z Europy nie miały z nim nic wspólnego. To dało się wykluczyć. Żaden z tych Europejczyków nie był w ciągu ostatnich pięciu lat w Stanach.

— Czy wzięliście pod uwagę to, że mogą działać dwa niezależne mechanizmy — jeden dla Amerykanów, drugi dla Europejczyków?

— Tak. Porównywaliśmy te grupy wewnątrz serii, ale nic z tego nie wynikło.

— A dlaczego właściwie ten Stella kierował wszystkich do Neapolu?

— To proste. Jest Włochem, naturalizowanym w drugim pokoleniu, jego rodzina pochodzi spod Neapolu, i bodaj miał z tego profit, bo kontaktował się z włoskimi balneologami, z doktorem Giono na przykład. Do korespondencji nie dało się dotrzeć, tajemnica lekarska, ale to całkiem naturalna rzecz, kiedy lekarz zza oceanu poleca swoich pacjentów włoskim kolegom. W każdym razie nie wykryliśmy w tym złączu nic podejrzanego. Przypuszczam, że dostawał od każdego skierowanego jakiś procent.

— Jak pan tłumaczy ów zagadkowy pusty list, który przyszedł do Mittelhorna po jego śmierci?

— Myślę, że wysłał go ktoś z rodziny, kto znał kulisy jego zgonu i podobnie jak pani Barbour życzył sobie kontynuacji śledztwa, ale nie chciał lub nie mógł interweniować tak jawnie, jak ona. Ktoś przekonany o kryminalnym tle sprawy, dlatego chciał ożywić podejrzenia, a tym samym zmusić policję do dalszych

badań. Mittelhorn miał w Szwajcarii krewnych, a list przyszedł właśnie stamtąd...

— Czy między pacjentami Stelli byli narkomani?

— Tak. Było dwóch, ale nie były to przypadki ciężkiego nałogu. Obaj starsi panowie — wdowiec i stary kawaler, przyjechali na przełomie maja i czerwca w zeszłym roku, kąpali się, opalali, więc podług statystyki wystawili się na maksymalne zagrożenie, ale obaj wrócili bez szwanku, a jeszcze panu powiem, że jeden był uczulony na pyłki traw, a drugi na poziomki!

— To fatalne! — zakrzyknął Barth, lecz nie było nam do śmiechu.

— Liczył pan na alergię, co? Ja też.

— A co zażywali ci dwaj?

— Poziomkowy marihuanę, a ten z katarem siennym LSD, zresztą tylko okazjonalnie. Zapas skończył mu się przed powrotem do Stanów, być może przez to właśnie wyjechał wcześniej, bo przerwał kąpiele, uważa pan? Wyjechał, bo nie udało mu się nic zdobyć w Neapolu. Akurat policja rozbiła duży krąg bliskowschodni z włoskim przyczółkiem,

przemyt urwał się, a nie aresztowani dostawcy siedzieli jak myszy pod miotłą...

— Poziomkowy... — mruknął Barth. — No tak. A choroby umysłowe?

— Dane wyłącznie negatywne. Wie pan, jak to jest — zawsze prawie można coś znaleźć wśród przodków, ale to już zbyt dalekie strzały. W grupie ofiar i w grupie “ocalonych” pacjentów Stelli panowało umysłowe zdrowie... Jakaś nerwica wegetatywna, zaburzenia snu, to wszystko. To znaczy — wśród mężczyzn. Co do kobiet, były trzy przypadki — melancholia, depresja klimakteryczna, usiłowane samobójstwo.

— Jakże, samobójstwo? A więc?

— Typowo histeryczne, tak zwany krzyk o pomoc, trwała się w okolicznościach gwarantujących ratunek. W serii było zawsze na odwrót: nikt się tam nie afiszował manią suicydalną. Typowa była bezwzględna determinacja, widoczna w powtarzaniu zamachu, jeśli się pierwszy nie udał.

— Dlaczego tylko Neapol? — spytał Barth. — A Messyna? Etna? Nic?

— Nic. Rozumie pan chyba, że nie moglibyśmy uwzględnić wszystkich siarkowych źródeł świata, ale włoskie przebadala specjalna grupa. Zupełnie nic. Kogoś rekin pożarł, ktoś utonął...

— Coburn też utonął.

— Tak, ale w obłędzie.

— To jest pewne?

— Prawie. O nim dowiedzieliśmy się stosunkowo 'najmniej. Właściwie tylko tyle, że nie zjadł przyniesionego śniadania, ale ukrył grzanki, masło, jajka w pustym pudełku po cygarach, a część wyłożył przed wyjściem z hotelu na parapet okna.

— Więc to tak było! Podejrzewał truciznę i chciał, żeby ptaki...

— Oczywiście, a z pudełkiem chciał może udać się do toksykologa, ale utonął.

— Jak wypadły ekspertyzy?

— Dwa grube tomy maszynopisów. Stosowaliśmy nawet metodę delficką, głosowanie rzeczoznawców.

— I?

— Większość była za niewiadomą trucizną

psychotropową, po części zbliżoną w działaniu do LSD, co nie znaczy wcale, żeby musiała mieć zbliżoną budowę chemiczną.

— Nieznany narkotyk? Dziwne orzeczenie.

— Może niekoniecznie aż nieznany. To mogła być podług nich mieszanka substancji doskonale znanych, bo objawy synergii bywają często niesprawdzalne do działania poszczególnych składników.

— A głos mniejszości?

— Ostra psychoza o nie wyjaśnionym etiologicznie podłożu. Wie pan pewno, jak wiele potrafią mówić fachowcy, lekarze, kiedy zupełnie nic nie wiedzą?

— Wiem bardzo dobrze. Czy nie zechciałby pan teraz powtórzyć mi całość sprowadzoną do typologii zgonów?

— Proszę. Coburn utonął mimo woli lub z rozmysłu. Brunner wyskoczył z okna, ale nie zabił się.

— Przepraszam, a co jest z nim teraz?

— Jest w Stanach, schorowany, ale żyje. Z grubsza pamięta wypadki, ale nie chce do nich

wracać. Wziął kelnera za człowieka Mafii, czuł się prześladowany. Nic więcej nie umiał powiedzieć. Czy mogę mówić dalej?

— Ależ tak.

— Osborn został przejechany. Sprawcy wypadku nie wykryto. Uciekł autem. Emmings dwukrotnie usiłował się zabić. Zastrzelił się. Leyge, Szwed, dojechał do Rzymu i spadł z Colosseum. Schimmelreiter umarł śmiercią naturalną w szpitalu, od obrzęku płuc, po ostrym ataku szału. Heyne tonął, w szpitalu przeciął sobie żyły. Odratowano go. Umarł na zachłystowe zapalenie płuc. Swift ocalał. Mittelhorn też dwukrotnie próbował się zabić, środkiem nasennym, potem jodyną. Zmarł od oparzeń żołądka. Titz zginął w zderzeniu na autostradzie. I wreszcie Adams w Hiltonie rzymskim, we śnie, jak uduszony, z nie wyjaśnionej przyczyny. O Brigggu nic nie wiadomo.

— Dziękuję. Czy ci, którzy wyszli z życiem, zapamiętali jakieś pierwsze objawy?

— Tak. Drżenie rąk i zmianę smaku potraw. Tego dowiedzieliśmy się od Swifta. Brunner jednak

upierał się, że jedzenie “naprawdę zmieniło smak”, a co do drżenia rąk, nic takiego sobie nie przypominał. Prawdopodobnie u Brunnera pozostał tak zwany rezidualny defekt psychiczny po tych przejściach, stąd jego twierdzenie. Taka była opinia lekarzy.

— Rozrzut na schemacie zgonów jest znaczny, a samobójcy sięgali po środki dostępne — po to, co się nawinęło. Jak wypadły badania podług zasady cui prodest?

— Poszukiwanie zainteresowanych materialnie? I co z tego, że są spadkobiercy, kiedy brak wszelkiej łączności między nimi a każdą z tych śmierci.

— Prasa?

— Całkowite zablokowanie informacji. Oczywiście lokalna prasa podawała wzmianki o każdej zaszłej śmierci, ale tonęły w zwykłych rubrykach wypadków. Chodziło o to, żeby nie utrudniać śledztwa. Tylko jakaś gazeta w Stanach, zapomniałem jaka, spekulowała na temat fatalnego losu pacjentów Stelli. On utrzymywał, że to robota złośliwej konkurencji. Niemniej w tym roku nie wysłał już żadnego reumatyka do Neapolu.

— Proszę, przestał! Czy to nie podejrzane?

— Nie bardzo, bo jeszcze jeden taki wypadek i taki artykuł mógł przynieść mu więcej strat,-niż miał zysków z tej imprezy. Musiały to być w końcu niewielkie prowizje.

— Proponuję teraz następującą grę — powiedział Barth. — Będzie się nazywała “Jak zginąć tajemniczo w Neapolu?” Chodzi o to, jakie cechy trzeba po to posiadać. J?an mi w tym pomoże. Dobrze?

— Chętnie. Lista tych cech obejmuje płeć, wiek, budowę ciała, przypadłości, stan materialny i pewne rzeczy inne, które postaram się wyliczyć. Więc trzeba być mężczyzną pod pięćdziesiątkę, raczej rosłym, o pyknicznej lub atletycznej budowie, kawalerem bądź wdowcem, w każdym razie — człowiekiem w Neapolu samotnym. Ze względu na wypadek Schimmelreitera należy uznać, że zamożność nie stanowi warunku koniecznego. Natomiast nie należy znać języka włoskiego albo wcale, albo prawie.

— Żadna z ofiar nie władała biegle włoskim?

— Żadna. Przechodzą do cech osobliwszych.

Żeby zginąć, nie należy mieć cukrzycy.

— Co pan mówi?

— Ani jeden człowiek w serii nie był cukrzykiem. Natomiast było ich pięciu wśród reumatyków, których Stella wysłał do Neapolu, i którzy wrócili cało do domu.

— A jakże to wyjaśniali wasi rzeczoznawcy?

— Nie bardzo wiem, co powinienem panu powiedzieć. Mówili coś o przemianie materii, o ciałach acetonowych, które mogą być antidotum, ale fachowcy nie tyle może doskonalsi, ile uczciwsi (ale to tylko moje wrażenie) zaprzeczali temu. Ciała acetonowe występują we krwi dopiero, gdy brak insuliny daje się w organizmie silnie we znaki, a wszak dziś każdy cukrzyk dba o regularne zażywanie odpowiednich leków. Następnie potrzebną cechą jest alergia. Uczulenie na trawy, katar sienny, astma. Ale byli ludzie, którzy dokładnie spełniali te wszystkie warunki i nic im się nie stało. Ten pacjent Stelli, którego nazwałem "poziomkowym", i drugi — z katarzem.

— Zamożni, samotni, starsi kąpali się w siarce,

atletyczni, uczuleni, nie znali włoskiego?

— Tak. Zażywali te same leki przeciwalergiczne co tamci, plimasinę też.

— Co to jest?

— Preparat antyhistaminowy z domieszką ritaliny. Ritalina to chlorowodorek zacetylowanego fenyloalfapiperydylu. Pierwsza substancja plimasiny, pyribenzamina, znosi objawy reakcji uczuleniowej, lecz wywołuje senność, spowalnia odruchy, więc kierowcy muszą ją zażywać z dodatkiem ritaliny, która należy do ciał bodźczych.

— Toż z pana chemik!

— Sam to zażywam od lat. Każdy alergik jest po trosze własnym doktorem. W Stanach zażywałem tamtejszy odpowiednik, bo plimasina to szwajcarski preparat. Tak więc ten z katarem, Charles Decker, też ją zażywał, a jednak włos nie spadł mu z głowy... czekajże pan.

Siedziałem z nie domkniętymi ustami jak idiota. Barth patrzył na mnie w milczeniu.

— Oni wszyscy łysieli... — powiedziałem wreszcie.

— Łysina?

— Początki. Czekałże pan. Tak. Decker też miał już tonsurkę na ciemieniu, a jednak — nic.

— Za to pan nie łysieje — zauważył Barth.

— Proszę? A tak, nie łysieję. To mankament? Ale skoro Deckerowi nic się nie stało, mimo że łysiał... zresztą jaki może zachodzić związek między łysieniem i ostrym szalem?

— A jaki między tym szalem a cukrzycą?

— Ma pan słuszność, doktorze, to pytanie zakazane.

— Czyżbyście w całości pominęli sprawą łysienia?

— No, wie pan, to jest tak. Różnicowaliśmy zbiór tych, co zginali, względem zbioru tych, co wrócili z Neapolu cało. Ta cecha wypłynęła oczywiście. Kłopot był najpierw ten, że łysienie można było stwierdzić pewnie tylko u denata, bo niektórzy z ocalałych mogli się nie przyznawać do noszenia peruki. Ambicja ludzka bywa na tym punkcie niesamowicie drażliwa, a trudno było ciągnąć ich za włosy i oglądać je z bliska, skoro sobie tego nie życzyli. Diagnoza

wymagałaby odnalezienia zakładu kalotechnicznego, w którym dany człowiek dał sobie zrobić peruką albo i przeszczep włosów, a na tośmy po prostu nie mieli już ani czasu, ani ludzi.

— Czy uważaliście to za istotne aż tak bardzo?

— Zdania były podzielone. Niektórzy sądzili, że to jest bez znaczenia, tym bardziej, skoro idzie o ustalenie, czy pośród kilku ocalałych pacjentów Stelli są ludzie ukrywający łysienie, a jakież to może mieć związek z tragicznymi wypadkami innych reumatyków?

— No dobrze, ale jeżeli wzięliście pod uwagę i stan uwłosienia, czemu był pan taki zaskoczony przed chwilą?

— Niestety, korelacją ujemną. Tym, że ^aden ze zmarłych nie ukrywał swojej łysiny. Żaden nie nosił peruki, nie miał przeszczepu ani włosów wkłuwanych w skalp... jest taka operacja.

— Wiem o tym. I co?

— Nic więcej, prócz tego, że wszystkie ofiary łysiały i nie kryły się z tym, natomiast wśród ocalałych byli zarówno łysi jak i ludzie z normalnymi

czuprynymi. Uświadomiłem sobie, że Decker miał właśnie łysinkę, nic ponadto. Wydało mi się, że poczułem “gorący trop”. Takie wrażenie nachodziło mnie już nieraz. Proszę zrozumieć, że tkwię w tym od dawna i widzę już miraże. Duchy...'

— O, to ma posmak historii o nawiedzeniu, o tajemniczej klątwie, o duchach... a może coś w tym jest?

— Pan wierzy w duchy? — wytrzeszczyłem na niego oczy.

— Może wystarczyłoby, żeby oni wierzyli. Uważa pan? Powiedzmy, że w Neapolu działa jakiś wróżbita, który poluje na bogatych cudzoziemców...

— Dobrze, powiedzmy! — poruszyłem się w fotelu. — I co dalej?

— Można sobie z grubsza wyobrazić, jak przy pomocy różnych tricków, seansów stara się pozyskać ich zaufanie, jak daje im bezpłatnie próbki cudownego eliksiru prosto z Tybetu, który jest jakimś narkotycznym dekoktem, ma wywołać ich zupełną zależność od niego, albo też ma leczyć wszechmożliwe cierpienia — i oto, wśród setki, powiedzmy, takich

ludzi, dziesięciu czy jedenastu z lekkomyślności, zażywszy zbyt wielką dawkę na raz...

— Aha! — powiedziałem. — No tak, ale Włosi by o kimś takim wiedzieli. Ich policja. Zresztą ruchy niektórych ofiar odtworzyliśmy tak, że wiadomo, o której godzinie gość wychodził z hotelu, jak był wtedy ubrany, w którym kiosku kupował sobie gazety i jakie, w której kabinie rozbierał się na plaży, gdzie i co jadał, na czym był w operze, więc mogliśmy pominąć takiego znachora czy “guru” w jednym, drugim przypadku, ale nie we wszystkich. Nie, nikogo takiego nie było. A poza tym to i mało prawdopodobne. Włoskiego tak jakby nie znali, a czyż zresztą Szwed z wyższym wykształceniem, antykwariusz, poważny przedsiębiorca chodziliby do włoskiej wróżki? Wreszcie, oni nie mieli na to czasu...

— Jako przekonany, ale nie pokonany, będę strzelał jeszcze raz! — podniósł się Barth ze swego kręła. — Jeśli szli na jakiś haczyk, który ich delikatnie pociągał, był to haczyk nie pozostawiający śladów! Zgoda?

— Zgoda.

— A zatem "TO" brało ich sposobem prywatnym, intymnym, osobistym, a jednocześnie ulotnym. Seks!?! Zwlekałem z odpowiedzią.

— Nie. Zapewne, niektórym zdarzały się przelotne kontakty erotyczne, ale to nie to. Zaglądaliśmy w ich życie z taką dokładnością, że coś tak "dużego" jak kobiety, ekscesy, dom schadzek nie mogło nam ujść. To_ by musiało być coś po prostu zupełnie błahego...

Sam się zdziwiłem trochę tymi ostatnimi słowami, bo właśnie tak dotąd nie myślałem. Ale była to woda na młyn Bartha.

— Śmiertelna blahostka? Czemu nie! Coś takiego, czemu się folguje za tajonym pociągiem, starannie ukrywanym przed światem... A przy tym to może być rzecz, której byśmy się z panem nie wstydzili. Może tylko dla pewnej kategorii ludzi stanowiłoby ujawnienie tego feblika katastrofalny blamaż...

— Koło się zamknęło — zauważyłem — bo pan wrócił teraz na teren, z którego mnie pan poprzednio wyganiał: psychologii...

Za oknem rozległo się trąbienie. Doktor wstał — wydał mi się niespodziewanie młody — spojrział w dół i pogroził palcem. Sygnał ucichł. Ze zdziwieniem zauważyłem, że zmierzcha, spojrziałem na zegarek i zrobiło mi się głupio — siedziałem u niego czwartą godzinę! Wstałem, żeby się pożegnać, ale nie chciał o tym słyszeć.

— O nie, mój panie. Po pierwsze, zostanie pan u nas na kolacji, po wtóre, niczegośmy nie ustalili, a po trzecie, czy raczej przedpierwsze, chcę pana przeprosić. Odwróciłem role! Wziąłem się do pana jak sędzia śledczy! Nie ukrywam, że miałem w tym pewien cel, niegodny roli gospodarza... Chciałem dowiedzieć się czegoś takiego o panu i przez pana, czego nie dowiem się z akt. Aurę sprawy może przekazać tylko człowiek, to moje przekonanie. A nadto próbowałem pana troszkę rozruszać, nawet ukłuciami, i muszę powiedzieć, że pan to dobrze zniósł, jakkolwiek nie ma pan takiej pokerowej twarzy, jak pan sobie może wystawia... Jeśli coś mnie usprawiedliwi w pana oczach, to dobra intencja, bo jestem gotów zaprzęgnąć się do tego... Ale siadajmy.

Jeszcze nie podano do stołu. U nas się dzwoni...

Usiedliśmy na powrót. Czulem niemalą ulgę.

— Zajmę się tym — ciągnął — chociaż nie widzę dużych szans... Można spytać, jak pan sobie właściwie wyobrażał mój udział..?

— Ta sprawa pozwala chyba na zastosowanie wieloczynnikowej analizy... — zacząłem ostrożnie, wążąc słowa. — Nie znam pana programu, ale znam pewną ilość programów typu GPS i myślę, że śledczy powinien być trochę podobny. To zagadka nie tyle kryminalna, ile poznawcza. Komputer nie wskaże oczywiście sprawcy, ale sprawcę można jako niewiadomą spokojnie usunąć z równań. Rozwiązać rzecz znaczyłoby stworzyć teorię umierania tych ludzi. Prawo, które ich zabiło...

Doktor Barth patrzył na mnie jakby ze współczuciem. Ale może mi się tylko wydawało, bo siedział pod sufitową lampą i przy najmniejszym ruchu chodziły mu po twarzy cienie.

— Drogi panie, mówiąc, że spróbujemy, miałem na myśli zaprzęg z ludzi, nie z elektronów. Mam znakomity zespół interdyscyplinarny, sporo

najlepszych głów Francji i pewien jestem, że pójdą na to jak charty na lisa. Natomiast program... Owszem, ułożyliśmy go, wykazał się niezgorzej w paru doświadczeniach, ale taka historia, nie, nie — powtarzał, trzęsąc głową.

— Dlaczego?

— To całkiem proste. Komputer nie robi nic bez kwantyfikacji, a tu — rozłożył ręce — cóż będziemy kwantyfikowali? Dajmy na to, że w Neapolu działa nowy krąg handlarzy narkotykami i że hotel jest jedną z rozdzielni, że nabywcom dostarcza się towaru zastępując nim sól w określonej solniczce, czy od czasu do czasu nie mogłoby dojść do zamiany solniczek na stołach w jadalni? I czy nie byłiby wtedy narażeni na zatrucie tylko ludzie lubiący jeść słono? I jakim sposobem, pytam pana, mógłby tego dojść komputer, jeśli we wprowadzonym materiale nie będzie ani jednego bita o tych solniczkach, o narkotyku i o gustach kulinarnych ofiar?

Popatrzyłem na niego z uznaniem. Jak łatwo przychodziło mu brać takie koncepty z powietrza!

Dobiegł nas dźwięk dzwonka, coraz głośniejszy, wreszcie przeraźliwy, aż urwał się i usłyszałem kobiecy głos, strofujący dziecko. Barth wstał.

— Pora na nas... Jemy zawsze o tej samej porze.

W jadalni paliły się na stole długim szeregiem różowe świece. Jeszcze na schodach Barth szepnął mi, że jada z nimi jego babka, osoba pięćdziesięcioletnia, lecz w pełni sprawna pod każdym względem, trochę może ekscentryczna. Zrozumiałem to jako pouczenie, by się niczemu nie dziwić, ale nic już nie odpowiedziałem, bo przyszło zapoznać się z domownikami. Oprócz trojga dzieci, które już znałem, i pani Barth za stołem, na rzeźbionym karle, takim samym jak to, które stało na górze w gabinecie, zobaczyłem staruszkę w iście biskupich fioletach. Na piersi skrzył się jej brylancikami staroświecki lorgnon, a jej małe, czarne oczy wwierciły się we mnie jak błyszczące kamyki. Podala mi rękę tak wysoko i energicznie, że pocałowałem ją, czego nigdy nie robię, i głosem niespodziewanie silnym, męskim, jakby należał do innej osoby, niczym na błędnie dubbingowanym

filmie, powiedziała:

— A więc pan jest astronautą? Nie widziałam jeszcze nigdy żadnego przy stole.

Nawet doktor był zdziwiony. Jego żona wtrąciła, że dzieci zapowiedziały mnie babce. Stara pani poleciła mi siąść przy sobie i mówić głośno, bo nie dosłyszcy. Przy jej nakryciu leżał podobny do połówki bobu aparacik słuchowy, którego nigdy nie używała.

— Będzie mnie pan bawił rozmową. Nie sądzę, bym rychło miała podobną okazję. Proszę — niech mi pan powie, jak naprawdę wygląda Ziemia stamtąd — z góry? Nie wierzę fotografiom!

— I słusznie — powiedziałem, podając jej półmisek z sałatą, rozbawiony wewnątrz, że tak obcesowo się do mnie wzięła — żadne fotografie nie mogą tego oddać, zwłaszcza gdy orbita jest ciasna, bo wtedy Ziemia zastępuje niebo! Staje się niebem. Nie zasłania go, ale jest nim. Takie ma się wrażenie.

— Czy rzeczywiście to takie piękne? — w głosie jej było powątpiewanie.

— Mnie się podobało. Największe wrażenie zrobiła na mnie bezludność Ziemi. Ani śladu miast,

dróg, portów — nic, tylko oceany, lądy i chmury. Zresztą oceany i lądy są mniej więcej takie, jakich uczyliśmy się w szkole na lekcjach geografii. Za to chmury... wydały mi się najdziwniejsze, może właśnie dlatego, że takie niepodobne do chmur.

— A do czego podobne?

— To zależy od wysokości orbity. Z największego dystansu wyglądały jak bardzo stara, zmarszczona skóra nosorożca, taka sinawoszara, z pęknięciami. A gdy się zbliżyć, wyglądają jak owcze runo, z owiec różnej maści, rozczesane grzebieniami.

— A czy był pan na Księżycu?

— Niestety nie.

Przygotowałem się na dalszą indagację kosmologiczną, lecz niespodziewanie zmieniła temat.

— Mówi pan po francusku zupełnie biegle, choć jakoś dziwnie. Używa pan innych słów... Czy nie pochodzi pan z Kanady?

— Moja rodzina jest stamtąd. Urodziłem się już w Stanach.

— A widzi pan. Pana matka jest Francuzką?

— Była nią.

Widziałem, jak oboje państwo Barth spoglądali ku starej damie przez stół jakby usiłując przytłumić jej ciekawość, lecz nic sobie z tego nie robiła.

— I matka mówiła do pana po francusku?

— Tak.

— Na imię ma pan John. Ale mówiła panu niechybnie Jean?

— Tak.

— To i ja tak będę mówić. Proszę odsunąć ode mnie te szparagi. Nie wolno mi ich jeść. Starość, panie Jean, polega na tym, że już się zdobyło doświadczenie, którego nie można wykorzystać. Toteż oni — wskazała resztę rodziny — mają słuszość, nie uważając na mnie. Pan o tym nic nie wie, ale między siedemdziesiątym a dziewięćdziesiątym rokiem życia jest bardzo wielka różnica. Zasadnicza — podkreśliła i zamilkła, bo zaczęła jeść. Ożywiła się dopiero podczas zmiany talerzy.

— Ile razy przebywał pan w kosmosie?

— Dwa razy. Ale nieznacznie oddaliłem się od Ziemi, gdyby ją przyrównać do jabłka, to na tyle, ile wynosi grubość jego skórki.

— Pan jest skromny?

— Raczej nie.

Była to dość dziwna i nie mogę nawet powiedzieć, żeby przykra rozmowa, bo stara dama miała jakiś szczególny wdzięk. Nie przejąłem się więc dalszym przesłuchaniem.

— Czy uważa pan, że kobiety powinny latać w kosmos?

— Jakoś nie myślałem o tym — odparłem zgodnie z prawdą. — Gdyby im na tym zależało, to czemu nie?

— Wy tam macie w Stanach ognisko tego obłąkanego ruchu — womens liberation. Dziecinne to, niesmaczne, ale przynajmniej wygodne.

— Tak pani uważa? Dlaczego wygodne?

— Wygodnie wiedzieć, kto jest wszystkiemu winien. Podług tych pań — mężczyźni. One dopiero urządzają świat. Chcą zająć wasze miejsca. Więc choć to nonsens, ale mają przynajmniej wyraźny cel, a wy nic nie macie.

Po deserze, którym był ogromny placek pieczonego rabarbaru z cukrem, dzieci umknęły z

jadalnego, a ja począłem zbierać się do' drogi. Dowiedziawszy się, że mieszkam w Orły, doktor Barth jął nactawać, żebym przeniósł się do niego. Nie chciałem go aż tak wykorzystywać, ale pokusa była znaczna. Mówiąc brutalnie, miałem mu siedzieć na karku.

Pani Barth przyłączyła się do męża, pokazując mi pustą jeszcze księgę gości: co za omen, jeśli pierwszy wpisze się do niej astronauta. Fechtowaliśmy się na grzeczności, aż uległem. Stało na tym, że sprowadzę się do nich nazajutrz. Doktor odprowadził mnie do auta i gdy wsiadałem, powiedział, że jego babka wyraźnie upodobała sobie we mnie, a to nie byle wyróżnienie. Stał w otwartej bramie, kiedy ruszyłem, by dać nurka w nocny Paryż.

Aby uniknąć tłoku, okrążyłem centrum, kierując się na bulwary nadsekwańskie, gdzie robiło się przestronniej — dochodziła północ. Byłem dość zmęczony, ale rad. Rozmowa z Barthem napelniła mnie nieokreśloną nadzieją. Jechałem wolno, bo wypilem sporo białego wina. Przede mną pojawił się mały 2 CV, włókł się jakby z nadmierną ostrożnością

przy krawężniku. Zresztą droga była pusta i ponad barierami przy rzece widziałem wielkie magazyny domów towarowych, mającące na przeciwległym brzegu Sekwany. Widziałem je bezwiednie, bo myślami byłem daleko, gdy jak dwa słońca rozbłysły w lusterku światła samochodu za mną. Właśnie brałem się do wyprzedzania małego 2 CV i nazbyt odbiłem w lewo, więc żeby dać więcej miejsca nocnemu wyścigowcowi, chciałem wrócić za wlokące się autko, lecz nie zdążyłem. Światła z tyłu zalały całe wnętrze auta i splaszczony kształt śmignął z rykiem luką pomiędzy mną a małym autkiem. Nim poprawiłem się na siedzeniu peugeota, pchniętego falą powietrzną, tamten już znikł: Coś brakowało mi na prawym błotniku. Po lusterku został tylko trzonek. Ściał mi je. Potoczyłem się dalej, myśląc, że gdybym nie wypił tyle wina, leżałbym w zgruchotanym aucie, bo zdążyłbym zagrozić lukę, w którą tamten uderzył. Wypadek ten dałby Randy'emu sporo do myślenia! Jak by się wpasowała moja śmierć w schemat neapolitański! Jaki pewny byłby Randy, że wiąże się z akcją symulacyjną. Widać nie było mi

sądzone zostać dwunastym: do hotelu dojechałem już bez przygód.

* * *

Barth chciał nadać przyjęciu sprawy przez swój zespół akcent bezpośredniości, a może i błysnąć nowym domem, dość "że w czwartym dniu mojej gościny, w niedzielę, odbyło się przyjęcie zapoznawcze. Przyjechać miało ponad dwadzieścia osób. Nie przygotowany na oficjalne występy, zamierzałem pojechać w sobotę do Paryża za odpowiednim strojem, ale Barth wybił mi to z głowy. Stałem więc z nim i z jego żoną u wejścia w sfatygowanych teksasach i starganym swetrze, bo co miałem lepszego, zniszczyła włoska policja. Ściany pokoi na parterze rozsunięto i dół domu obrócił się w przestronny salon. Wieczór był dość osobliwy. Czulem się wśród brodatych młodzieńców i sawantek w perukach trochę jak zabłąkany gość, a trochę jak gospodarz, bo byłem rezydentem Barthów i po trosze pełniłem honory domu. Musiałem się im przedstawiać, ostrzyżony i wygolony, niczym stary skaut. Nie było ani ceremonialnej sztywności, ani jej

gorszego przeciwieństwa, światoburczej bufonady intelektualistów. Zresztą od ostatnich zajęć w Chinach maoiści jakoś znikli. Staralem się udzielać wszystkim, boż przyjechali, żeby poznać zakatarzonego astronautę, a zarazem komiwożera — detektywa ad interim. Niefrasobliwa rozmowa skierowała się zrazu na męki świata. Nie była to zresztą niefrasobliwość, raczej wyzucie z odpowiedzialności, bo wiekowe posłannictwo Europy przeminęło, a ci dyplomaci Nanterres i Ecole Superieure pojmowali to lepiej od swych ziomków. Europa wyszła z kryzysu tylko ekonomicznie. Prosperity wróciła bez dobrego samopoczucia. To nie był strach operowanego na raka przed przerzutami, to była wiedza, że duch dziejów odszedł sobie i jeśli wróci, to już nie tutaj. Francja nic nie mogła, dlatego oni mogli swobodnie zajmować się mękami świata, bo przeszli ze sceny na widownię. Proroctwa MacLuhana spełniają się, ale na opak, jak to zwykle bywa z proroctwami. Powstaje ta jego globalna wioska, tyle że rozpołowiona. Biedniejsza połowa się męczy, a bogatsza importuje te męki telewizją i

współczuje im zdalnie. Już wiadomo nawet, że tak dłużej nie może być, ale jakoś wciąż jest. Nikt mnie nie pytał, co myślę o nowej doktrynie departamentu stanu, doktrynie “przeczekiwania” wewnątrz sanitarnych kordonów ekonomicznych, więc milczałem. Po mękach świata przyszła kolej na jego szaleństwa. Dowiedziałem się, że znany reżyser francuski postanowił zrobić film o rzeźni na schodach. Rolę tajemniczego bohatera miał objąć Belmondo, a uratowanej przez niego dziewczyny — zamiast dziecka, bo z dzieckiem nie można się przespać — słynna aktorka angielska. Gwiazda ta wychodziła właśnie za mąż i zaprosiła na modną obecnie publiczną noc poślubną wielu prominentów, żeby wokół małżeńskiego łóża urządzić kwestę na rzecz rzymskich ofiar. Odkąd usłyszałem o tych belgijskich mniszkach, które postanowiły praktykowaniem dobroczynnej prostytucji odkupić faryzeuszostwo kościołów, nie odczuwam nawet niesmaku, kiedy słyszę takie rzeczy. Mówiło się i o polityce. Nowiną dnia było zdemaskowanie argentyńskiego ruchu obrońców ojczyzny jako rządowych najemników.

Wyrażono obawy, że czegoś takiego nie da się na dalszą metę wykluczyć i we Francji. Faszyzm się przeżył, prymitywne dyktatury też, przynajmniej w Europie, ale na ekstremistyczny terror nie ma skuteczniejszego środka ponad prewencyjne likwidowanie aktywistów. Na profilaktyczny mord wprost demokracja sobie nie pozwoli, może jednak przymknąć oczy na prorządowe skrytobójstwo z ograniczoną odpowiedzialnością pod dyskretnie upośrednionym nadzorem. To już nie stary mord kapturowy, represja firmowana przez państwo, lecz konstruktywny terror per procura. Posłyszałem o filozofie, który proponuje totalną legalizację gwałtu. Jeszcze de Sade określił taki stan jako pełnię prawdziwej wolności. Zagwarantuje się konstytucyjnie wszelkie wystąpienia antypaństwowe na równi z zachowawczymi, a ponieważ więcej jest sił zainteresowanych w utrzymaniu status quo niż państwoburczych, ład wyjdzie cało ze starcia obu ekstremizmów, nawet gdyby doszło do czegoś w rodzaju wojny do-?, mowej.

Koło jedenastej Barth zaczął oprowadzać

ciekawych po całym domu, na dole zrobiło się pustawo i przyłączyłem się do trzech gości u drzwi otwartych na taras. Dwaj byli matematykami z nieprzyjaznych obozów, bo Saussure, krewny Lagrange'a, zajmował się analizą, więc matematyką czystą, a drugi — stosowaną jako programista, z wykształcenia — statystyk. Zabawnie kontrastowali wyglądem. Saussure, chuderfawy, kruczy, z kościstą twarzą w okolu bokobrodów, w złotych binoklach na tasie, jakby zszedł z dagerotypu, nosił na szyi japońskie tranzystorowe liczydło niczym komandorię. Miał to być pewno żart. Statystyk był złotowłosey, masywny, kędzierzawy, wyglądał jak ciężki boche z francuskich pocztówek czasu pierwszej wojny światowej i rzeczywiście pochodził z niemieckiej rodziny. Nazywał się Mayer, a nie Malleux, jak myślałem najpierw, bo tak wymawiał swoje nazwisko. Matematycy nie kwapili się do rozmowy, zagadnął mnie trzeci z obecnych, farmakolog, doktor Lapidus. Ten wyglądał, jakby wrócił z wyspy bezludnej, bo zapuszczał brodę. Spytał, czy śledztwo nie dotarło do przypadków

poronnych, to znaczy takich, w których objawy obłądu wystąpiły, aby się samoistnie cofnąć. Powiedziałem, że mikrofilmy zawierają całość akt i jeśli nie traktować przypadku Swifta jako poronnego, to takich właściwie nie było.

— To zdumiewające! — rzekł.

— Dlaczego aż zdumiewające?

— Objawy pojawiły się w niejednakowym nasileniu, a kiedy kogoś hospitalizowano, jak tego, co wyskoczył przez okno, cofały się. Przy założeniu chemicznie wywołanej psychozy oznaczałoby to niezrozumiałe narastanie przyjmowanej dawki. Czy nikt nie zwrócił na to uwagi?

— Nie bardzo wiem, o co panu idzie.

— Nie istnieje psychotropowy związek, który działałby z takim opóźnieniem, żeby zażyty, powiedzmy, w poniedziałek dał pierwsze objawy we wtorek, halucynacje we środę, a maksimum efektów w sobotę. Zapewne, można stworzyć w organizmie depot, wszczepiając dajmy na to pod skórę związek tak spreparowany, żeby się wchłaniał nawet tygodniami, ale to jest jednak zabieg pozostawiający

ślady w powłokach. Sekcja zwłok powinna by je wykryć — ale w aktach nic o tym nie znalazłem.

— Nie znalazł pan, bo niczego takiego nie stwierdzono.

— I to mnie właśnie zaskakuje!

— Ale przecież mogli przyjmować ten preparat kilkakrotnie, tak że się kumulował... Kręcił głową z niesmakiem.

— W jaki sposób? Od wejścia w nowy tryb życia do wystąpienia objawów mijało zawsze kilka dni, sześć do ośmiu, nawet do dziesięciu. Nie ma środka o takim opóźnieniu działania ani takiej kumulacji. Jeśli uznać, że zaczynali ten związek przyjmować od pierwszego albo drugiego dnia po przyjeździe, to objawy powinny by wystąpić do czterdziestu ośmiu godzin. Gdyby ci ludzie chorowali na nerki, na wątrobę, można by dyskutować, ale takich tam nie było!

— Więc co pan sądzi?

— Podług tego obrazu byli podtruwani systematycznie, stopniowo i w sposób ciągły.

— Przyjmuje pan rozmyślnie trucicielstwo!?

Uśmiechnął się złotymi zębami.

— Nie. Nie wiem, może to były krasnoludki, może muchy przylatywały akurat prosto z jakiejś pracowni farmakologicznej i siadały im na grzankach, a przedtem spacerowały po aromatycznych pochodnych lyzerginy, tych nowszych, ale wiem, że stężenie tego związku narastało we krwi ofiar powoli.

— Ale jeżeli to jest jakiś związek nie znany...

— Nam?

Tak to powiedział, że się uśmiechnąłem.

— Tak. Warn. Chemii. Czy to niemożliwe?

Krzywił się, błyskając złotem z ust.

— Nieznanych związków jest więcej niż gwiazd na nie[^]bie. Ale nie może być takich, co są równocześnie odporne i nieodporne na metabolizm tkankowy. Istnieje nieskończenie wiele kół, ale nie ma kół kwadratowych.

— Nie rozumiem.

— To całkiem proste. Związki, dające objawy gwałtowne, tworzą w ustroju połączenia trwałe, takie jak czad albo cjanki z hemoglobina. Takie związki

zawsze można wykryć w autopsji. Zwłaszcza kiedy stosuje się mikrometody — na przykład chromatografię. Stosowano ją, ale nic nie wykryła! Jeżeli tak, to ten związek łatwo się rozpada. Jeżeli rozpada się łatwo, musi się go podawać często małymi dawkami albo jednorazowo, w dawce masywnej! Ale jeśliby go podano w jednej dawce, to symptomy wybuchłyby po godzinach, a nie po dniach. Rozumie pan?

— Tak. Rozumiem — i nie ma, według pana, żadnej alternatywy?

— Owszem, jest. Gdyby to był związek w chwili przyjęcia zupełnie nieszkodliwy, taki, który nabiera własności psychotropowych, dopiero kiedy ulega rozłożeniu we krwi albo tkankach. Na przykład w wątrobie. Usiłując usunąć z organizmu związek nieszkodliwy, wątroba przetwarzałaby go w truciznę. Byłaby to ciekawa pułapka biochemiczna, ale i czysta fantazja, bo nic takiego nie ma i nie sędzę, żeby mogło być.

— Skąd taka pewność?

— Stąd, że takiej trucizny, takiego “konia

trojańskiego", farmakologia nie zna w żadnej postaci, a jeśli coś nigdy się nie zdarzyło, to jest bardzo mało prawdopodobne, żeby mogło się zdarzyć.

— A więc?

— Nie wiem.

— Tylko to chciał mi pan powiedzieć?

Byłem niegrzeczny, ale ten Lapidus drażnił mnie. Zresztą nie poczuł się dotknięty.

— Nie, jeszcze coś. To — ten efekt — mógł być wypadkową.

— Podawania rozmaitych substancji? Trucizn?

— Ale to by już poza wszelkimi wątpliwościami wskazywało na rozmyślne zamachy?

Zamiast chemika odezwał się niespodziewanie Saussure.

— Pewna dziewczyna z Lombardii służyła u paryskiego lekarza, który mieszkał przy ulicy Świętego Piotra pod numerem czterdziestym ósmym na drugim piętrze. Siostra, przyjechawszy do niej w odwiedzin, zapomniała nazwę ulicy, ze Świętego Piotra zrobił się Święty Michał. Poszła na Boulevard Saint Michel, odnalazła czterdziesty ósmy numer

domu, weszła na drugie piętro, znalazła tabliczkę lekarza, zadzwoniła i spytała o Marię Duval, swoją siostrę. Otóż tak się złożyło, że na innej ulicy, u zupełnie innego lekarza, służyła dziewczyna, która też nazywała się Duval i nawet imię miała takie samo — Maria, jak siostra przybyłej, lecz była zupełnie inną osobą. I teraz pytanie, jakie było a priori prawdopodobieństwo tego zdarzenia, w ogóle nie można udzielić sensownej, to znaczy matematycznie wierzytelnej odpowiedzi. Rzecz zdaje się błahostką, ale powiadam panu — to jest otchłań! Jediną dziedziną modelową teorii prawdopodobieństwa jest świat podług Gibbsa, świat przebiegów powtarzalnych. Zdarzenia unikalne, jako niepodległe statystyce, bo jednorazowe, zachodzą, nie można jednak mówić o ich prawdopodobieństwie.

— Nie ma zdarzeń unikalnych — wtrącił Mayer, który wypychał sobie do tej pory policzek językiem, robiąc miny.

— Są — odparł Saussure.

— Ale nie jako serie.

— Ty jesteś unikalną serią zdarzeń. Każdy jest.

— Dystrybutywnie czy kolektywnie? Zapowiadał się pojedynek na abstrakcje, ale Lapidus położył każdemu z nich rękę na kolanie, mówiąc:

— Panowie!

Obaj uśmiechnęli się, Mayer znów wypchał sobie policzek językiem, a Saussure podjął:

— Można sporządzić częstościowy rozkład nazwiska Duval, mieszkań paryskich lekarzy, owszem, ale jak się ma zmiana świętego Piotra na świętego Michała do częstości występowania tych imion jako nazw ulic we Francji? I jaką wartość liczbową należałoby przypisać wypadkowi, w którym ta dziewczyna trafiłaby wprawdzie do domu, gdzie mieszka jakaś Duval, ale na trzecim, a nie na drugim piętrze? Jednym słowem, gdzie się zamyka zbiór odniesienia?

— Na pewno nie w nieskończoności — dorzucił swoje Mayer.

— Mogę udowodnić, że jest nie tylko nieskończony klasycznie, ale transfinałnie.

— Przepraszam — wtrąciłem się, ciągnąc do swego — doktorze Saussure, pan chyba mówił to 4

propos — ale w jakim sensie?

Mayer popatrzył na mnie ze współczuciem i wyszedł na taras. Saussure wyglądał na zdziwionego moją niedomyślnością.

— Był pan tu może w ogrodzie za altaną, tam gdzie poziomki?

— Owszem.

— Stoi tam drewniany stół, okrągły, nabijany na obwodzie miedzianymi ćwiekami. Zauważył go pan?

— Tak.

— Czy uważa pan za możliwe puścić na ten stół pipetką z wysoka tyle kropel wody, ile jest gwoździ, tak żeby każda kropla trafiła lepek?

— No... jeśli się dobrze przymierzyć, to czemu nie...

— A gdyby kapać na oślep to już nie?

— Oczywiście, że nie.

— Ale przecież wystarczy, proszę pana, żeby przez pięć minut padał deszcz, a każdy gwóźdź na pewno dostanie swoją kroplę wody...

— Jak to... — dopiero teraz zacząłem pojmować, do czego zmierzał.

— Tak, tak, tak! Mój pogląd jest radykalny. Zagadki nie ma w ogóle. O tym, co możliwe, decyduje moc zbioru zdarzeń. Im silniejszy zbiór, tym mniej prawdopodobne zajścia mogą w nim zachodzić.

— Nie ma serii ofiar...?

— Ofiary są. Wywołał je mechanizm losowy. Z otchłani nieprzeliczalności, o której wspominałem, opowiadając panu anegdotę, wyluskaliście sobie pewną szczególną frakcję, odznaczającą się wieloczynnikowym podobieństwem. Uważacie ją za całą serię i stąd jej zagadkowość.

— Więc pan uważa, tak samo jak pan Lapidus, że trzeba szukać przypadków poronnych?

— Nie. Nie uważam, bo ich nie znajdziecie. Zbiór żołnierzy frontowych zawiera podzbiór zabitych i rannych. Można go łatwo wyosobnić, ale nie wyosobni pan zbioru żołnierzy, chybionych przez kule o włos, bo nie różnią się niczym od tych, których kule mijały o kilometr. Dlatego nie dowiecie się w tej waszej sprawie niczego inaczej, jak przez przypadek. Przeciwnika uprawiającego strategią losową można pokonać tylko taką samą strategią.

— Co tu panu opowiada znowu doktor Saussure!
— rozległo się z tyłu. To był Barth ze szpakowatym chudym mężczyzną. Przedstawił mi go, ale nie dosłyszałem nazwiska. Barth traktował Saussure'a nie jak członka swej grupy, ale jak okaz. Dowiedziałem się, że matematyk pracował przed rokiem w Futuribles, skąd przeszedł do francuskiego zespołu CETI, zajmującego się cywilizacjami kosmicznymi, lecz nigdzie nie zagrzał miejsca. Spytałem go, co sądzi o tych cywilizacjach. Czy uważa, że ich też nie ma?

— To już nie takie proste — powiedział, wstając.
— Inne cywilizacje istnieją, jakkolwiek nie istnieją.

— Jak należy to rozumieć?

— Nie istnieją jako odpowiedniki naszych wyobrażeń o nich, więc tym samym tego, co stanowi cywilizację, człowiek nie byłby w stanie określić jako cywilizację.

— Być może — zgodziłem się — ale w ich zbiorze powinno być też do określenia nasze miejsce, nieprawdaż? Albo jesteśmy szarą przeciętnością kosmosu, albo odchyleniem, może i skrajnym.

Przysłuchujący się nam wybuchnęli śmiechem. Zdziwiony usłyszałem, że właśnie ten rodzaj argumentacji skłonił Saussure'a do wyjścia z CETI. On jeden się nie uśmiechnął. Milczał, poruszając swoim liczydłem jak brelokiem. Pociągnąłem go przez krąg otaczających w stronę stołu, podałem mu kieliszek wina, sam wziąłem drugi i wypilem za jego obraz tych cywilizacji, prosząc, żeby wtajemniczył mnie w swoją koncepcję.

Jest to najlepsza taktyka, nauczyłem się jej od Fitzpatricka: sposób bycia nie do rozróżnienia między powagą a jej karykaturą. Saussure zaczął mi tłumaczyć, że cały postęp wiedzy to nic ponad stopniowe rezygnowanie z p r o s t o t y świata. Człowiek chce, by wszystko było proste, nawet jeśli zarazem miałyby być tajemnicze. Jeden typ Boga, i to w liczbie pojedynczej; jeden typ praw natury; jeden typ powstawania rozumu w Universum i tak dalej. Weźmy astronomię. Utrzymywała, że wszystko, co istnieje, to gwiazdy w czasie teraźniejszym, przeszłym i przyszłym, plus ich rupiecie jako planety. Musiała jednak zgodzić się z tym, że mnóstwo zjawisk

Kosmosu nie mieści się w tym schemacie. Ludzkie łaknienie prostoty umożliwiło karierę brzytwy Ockhama, zabraniającej mnożenia bytów, a więc komórek klasyfikacyjnych, ponad konieczność. Jednak różnorodność, której nie chcieliśmy przyjąć do wiadomości, zwycięża nasze uprzedzenia. Dziś fizycy stawiają już porzekadło Ockhama na głowie, utrzymując, że możliwe jest wszystko, co nie jest zakazane. Wszystko w fizyce. A różnorodność cywilizacji jest większa od fizycznej.

Chętnie bym go jeszcze słuchał, ale zostałem wprowadzony przez Lapidusa do lekarzy i biologów. Ich opinia była jednolita: niedostaje danych! Należy zbadać hipotezę serii zgonów jako skutku wrodzonych cech ustroju uczulonego na jakiś składnik mikrobiosfery Neapolu. Należy wziąć dwie grupy ludzi, mniej więcej czterdziestoosobowe, samych pięćdziesięciolatków o pyknicznej budowie, wybranych losowaniem, moczyć ich trzeba w siarce, grzać na słońcu, masować, dawać na poty, przypiekać lampami kwarcowymi, trochę straszyć filmami grozy, trochę ekscytować eksponatami porno i czekać, aż

któryś oszaleje. Wtedy należy wziąć się do analizy ich dziedziczności badaniem drzewa genealogicznego, poszukiwaniem nagłych a nie wyjaśnionych śmierci w liniach wstępujących, i tu komputer odda na pewno ogromne usługi! Jedni mówili do mnie, inni między sobą o składzie wody kąpielowej, powietrza, o adrenochromach, chemogennej schizofrenii urojeniowej na podłożu metabolicznym, aż doktor Barth wybawił mnie, po to żeby wprowadzić między prawników. Niektórzy z nich głosowali za Mafią, inni stawiali na nie ujawnioną nowszą organizację, która nie spieszy się z dyskutowaniem tajemniczych zgonów. Motywy? A dla jakich motywów ten Japończyk pozabijał w Rzymie Serbów, Holendrów i Szwabów? Czy widziałem dzisiejsze gazety? Nowozelandzki turysta, chcąc zaprotestować przeciw porwaniu w Boliwii australijskiego dyplomaty, usiłował porwać w Helsinkach czarterową maszynę z pielgrzymami do Watykanu. Zasada pVawa rzymskiego id fecit cui prodest już nie jest ważna. Nie, raczej Mafia, wszak mafioso to może być każdy Włoch, przekupień, portier, kąpielowy,

kierowca, ostra psychozą przemawia za halucynogenami, niełatwo podać je w restauracji, ale gdzie człowiek najchętniej wypije haustem orzeźwiający napój, jeśli nie po gorącej wannie w zakładzie kąpielowym, kiedy się wypoci? Prawników otoczyli lekarze, których porzuciłem, i rozgorzał spór wokół łysiny, z którego nic jednak nie wynikło. Właściwie było to wcale zabawne. O pierwszej mniejsze oddzielne grupki zlały się w jedno burzliwe zgromadzenie i przy szampanie wynikł problem seksu. Lista leków, znalezionych przy ofiarach, musi być niepełna. Jakże, toż brak na niej nowożytnych lubczyków, afrodyzjaków! Starsi panowie z pewnością ich używali! Jest ich moc, Topcraft, Bios 6, Dulong, Antipraecox, Orkasfluid, Sex Tonicum, Sanurex Erecta, Elixire d'Egypte, Erectovite, Topform, Action Cream, to znawstwo oszołomiło mnie, a i zmieszało, bo wytknęli lukę w śledztwie — nikt nie badał psychotropii takich preparatów. Radzili mi się tym zająć. Nie znaleziono ich nigdzie, przy nikim? To jest właśnie szczególnie podejrzane! Młody człowiek nie kryłby się z czymś takim, lecz

starsi panowie, wiadomo, są zakłamani, pruderyjni, dbają o pozory. Zażywali i niszczyli opakowania...

Stał hałas, wszystkie okna były otwarte, strzelały korki, uśmiechnięty Barth zjawiał się to w jednych, to w drugich drzwiach, hiszpańskie dziewczęta krążyły z tacami, perłowożłota blondynka, zdaje się żona Lapidusa, przystojna w półcieniu, mówiła, że przypominam jej dawnego przyjaciela, przyjęcie udało się niewątpliwie, a mnie naszła melancholia łagodzona szampanem, bo czułem się zawiedziony. Żaden z tych sympatycznych zapaleńców nie miał tej iskry, tego żaru śledczego, któremu w sztuce odpowiada natchnienie. Zdolności wyjmowania rzeczy istotnych z natłoku faktów. Zamiast myśleć o rozwiązaniu zadania, pomnażali je stawianiem nowych. Randy miał ten dar, lecz brakło mu wiedzy, której pełen był dom Barthów, niestety nie umiała się zogniskować.

Trwałem w salonie do samego końca, ostatnich gość odprowadziliśmy z gospodarzami, auto odjeżdżało za autem, podjazdy zrobiły się puste, dom świecił wszystkimi oknami, a ja poszedłem na górę, z

uczuciem przegranej, niezadowolony bardziej z siebie niż z nich. Paryż gorzał za oknem poza ciemną strefą ogrodów i zabudowań podmiejskich, ale nie stłumił Marsa, świecącego w ascensji, jakby ktoś postawił żółtą kropkę nad wszystkim.

* * *

Nieraz ma się znajomego, z którym nie łączą ani zainteresowania, ani szczególne przeżycia, z którym się nie koresponduje, widzi się go rzadko i przypadkowo, niemniej to, że ten człowiek istnieje, ma ważne choć niejasne znaczenie. W Paryżu takim znajomym jest dla mnie wieża Eiffla, nie jako symbol miasta, bo Paryż ani mnie ziębi, ani grzeje. O tym, że mi na niej zależy, dowiedziałem się, kiedy przeczytałem notatkę gazetową o projekcie jej rozebrania i przestraszyłem się.

Ilekroć jestem w Paryżu, idę na nią popatrzeć. Tylko popatrzeć, nic więcej. Na zakończenie odwiedzin wchodzę pod jej podstawę, między cztery mostowe nogi, skąd widać łączące je łuki, kratownice na tle nieba i staroświeckie, wielkie koła poruszające windy. Tak było następnego dnia po zapoznawczym

przyjęciu. Wieża nie zmieniła się, choć otoczona została pudłami wysokościowców.

Dzień był piękny. Usiadłem na ławce i myślałem jak wycofać się ze wszystkiego, bo zbudziłem się rano z takim postanowieniem. Sprawa, której tyle poświęciłem wysiłku, stała mi się obca, zbędna i jak skłamana. To znaczy, skłamany był mój zapal dla niej. Jak gdybym nagle ocknął się czy zmądrzał, widziałem własną niedojrzałość, ten sam infantylizm, który stał za każdą z moich życiowych decyzji. Z narwania postanowiłem, osiemnastoletni, zostać komandosem i udało mi się zobaczyć przyczółek normandzki, ale z noszy, bo mój szybowiec rozbity w powietrzu przez Flak rzucił nas, trzydziestu ludzi, na niemieckie bunkry poza celem i po tej nocy z pękniętą kością ogonową dostałem się do angielskiego szpitala. Ale z Marsem było właściwie to samo. Gdybym z niego wrócił, nie rozpamiętywałbym go przecież do końca życia, raczej groziłoby mi to, co drugiemu na Księżycu, któremu nie wystarczyły oferowane fotele po radach nadzorczych wielkich firm, dlatego nosił się z samobójczymi myślami. Jeden z moich kolegów

został kierownikiem dystrybucji piwa na Florydzie, biorąc do ręki puszkę piwa widzę go wchodzącego do dźwigu w anielskobiałym skafandrze, rzuciłem się więc w tę aferę, żeby nie pójść jego śladem.

Rozumiałem to dobrze, patrząc na wieżę Eiffla. Fatalna profesja, przyciągająca obietnicą “wielkiego kroku ludzkości”, który, jak powiedział Armstrong, jest “małym krokiem człowieka”, a w istocie szczytowym punktem, apogeum nie tylko orbity, miejscem do stracenia, symbolicznym obrazem ludzkiego życia z jego zachłannością wszystkich nadziei i sił, skierowanych ku nieosiągalnemu. Tyle że temu, czym są dla każdego najlepsze lata, odpowiadają tu godziny. Aldrin wiedział, że ślady jego szerokich butów na Księżycu przetrwają nie tylko pamięć programu Apollo, ale bodaj ludzkość, bo zmiecie je dopiero za półtora miliarda lat ogień Słońca, rozdmajającego się poza orbitę Ziemi, ale jak może się zadowolić sprzedażą piwa człowiek, który był tak blisko wieczności? Wiedzieć, że wszystko ma się już za sobą, dowiedzieć się tego tak gwałtownie, tak nieodwracalnie, to więcej niż klęska, to drwina ze

szczytowania, które ją poprzedziło. Kiedy tak siedziałem patrząc na żelazny pomnik, wystawiony dziewiętnastemu wiekowi przez solidnego inżyniera, dziwiłem się coraz bardziej własnemu zaślepieniu, że przez tyle lat mu się poddawałem, i już tylko wstyd uniemożliwił mi pośpieszny powrót do Garges dla spakowania chyłkiem rzeczy. Wstyd i lojalność. Po południu przyszedł do mojej mansardy Barth. Zdawał mi się trochę nieswój. Miał nowinę. Inspektor Pingaud, łącznik Surete i jego zespołu, zapraszał nas obu do siebie. Szło o przypadek, w którym prowadził dochodzenia jeden z jego kolegów, komisarz Leclerc. Pingaud uważał, że powinniśmy poznać tę sprawę. Oczywiście zgodziłem się i pojechaliśmy razem do Paryża. Pingaud oczekiwał nas. Poznałem go, to on był szpakowatym milczkiem, którego zauważyłem u boku Bartha poprzedniego wieczoru. Był o wiele starszy, niż mi się wtedy wydało. Przyjął nas w małym skrzydłowym pokoju, wstając zza biurka, na którym stał magnetofon. Powiedział bez wstępów, że komisarz był u niego onegdaj; jest na emeryturze, ale niekiedy odwiedza starych znajomych. W rozmowie

wyplęła sprawa, której Leclerc nie może mi przedstawić osobiście, ale na prośbę inspektora opowiedział ją — i została nagrana. Poprosiwszy, byśmy się rozsiedli, bo to dłuższa historia, Pingaud opuścił nas, jakby z kurtuazji, nie chcąc przeszkadzać, ale dość mi się to wydało dziwne.

Zbyt wiele było faworów jak na obyczaje każdej policji, a już osobliwie — francuskiej. Zbyt wiele, ale i za mało. Nie wietrzyłem grubych kłamstw w tym, co powiedział Pingaud; nie mogło iść o dochodzenia sfingowane, o fikcyjną historię, komisarz na pewno był już emerytem, ale cóż mimo to łatwiejszego nad umówienie nas gdziekolwiek. Mogłem jeszcze pojąć, że nie chcieli okazać akt, to dla nich świętość, lecz nagranie sugerowało chęć udaremnienia wszelkiej dyskusji. Informacja miała się obyć bez komentarzy. Nie można o nic pytać taśmy magnetofonowej. Co się za tym kryło? Barth albo tak samo był zbity z tropu jak ja, albo chciał czy musiał zostawić wątpliwości dla siebie. Wszystko to przemknęło mi przez głowę, gdy z włączonego magnetofonu rozległ się niski, pewny siebie, nieco dychawiczny głos.

— Mój panie, aby nie było nieporozumień, opowiem panu to, co mogę opowiedzieć. Inspektor Pingaud ręczy za pana, ale są rzeczy, które przemilczę. Znam dossier, z którym pan tu przybył, poznałem je przed panem i powiem, co myślę: nie ma tam materiału dla śledztwa. Rozumie pan, co mam na myśli? Nie interesuje mnie zawodowo to, co nie podlega paragrafom kodeksu karnego. Na świecie jest milion niepojętych spraw, talerze latające, egzorcyzmy, faceci gną w telewizji widelce na odległość, ale nic mnie to jako policjanta nie obchodzi. Jako czytelnik "France Soir" mogę się tym zająć na pięć minut i powiedzieć "no proszą!" Więc jeśli mówię, że w tej włoskiej aferze nie ma nic dla śledztwa, to mogę się mylić, ale stoi za mną trzydzieści pięć lat pracy w policji. Zresztą może pan odrzucić moje zdanie. To pana rzecz. Inspektor Pingaud prosił, żebym przedstawił panu sprawę, którą prowadziłem dwa lata temu. Kiedy skończę, zrozumie pan, dlaczego nie dostała się do prasy. Od razu powiem panu niegrzecznie, że gdyby pan próbował ją wykorzystać jako materiał do publikacji,

to wszystko się zdementuje. Dlaczego, też pan zrozumie. Idzie o rację stanu, a ja jestem policjantem francuskim. Proszę się nie czuć dotkniętym — to tylko kwestia zawodowej lojalności. Wypowiedziałem zwyczajową formułę.

Ta sprawa poszła do akt. Pracowała nad nią policja, Surete, a na końcu kontrwywiad. Teczki spoczywają w archiwum, będzie tego dobrych kilka kilogramów. Zaczynam więc. Osobą główną jest Dieudonne Proque. Proque to niefran'cusko brzmiące nazwisko. Nazywał się uprzednio Procke, niemiecki Żyd, który z rodzicami wyemigrował jako chłopiec do Francji za Hitlera, w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku. Rodzice ze średniej warstwy mieszczańskiej, do czasu nazich niemieccy patrioci, mieli dalekich krewnych w Strasburgu, osiadłych we Francji od XVIII wieku. Daleko sięgam, bośmy to zgruntowali, jak zwykle w trudnej sprawie. Im sprawa mglistsza, tym głębsze musi być rozstawienie nagonki. Ojciec umierając nie zostawił mu nic. Wyuczył się na optyka. W czasie okupacji przebywał w Marsylii, w nie okupowanej strefie, u innych

krewnych, zresztą z wyjątkiem tych sześciu lat stale mieszkał w Paryżu, w moim arrondissement. Miał mały zakład optyczny przy rue Amelie. Powodziło mu się raczej marnie. Nie miał środków, nie mógł konkurować skutecznie z poważniejszymi firmami. Niewiele sprzedawał, raczej reperował, zmieniał szkła w okularach, czasem naprawiał jakieś zabawki, nie tylko optyczne. Optyk ludzi oszczędnych i ubogich. Jego matka przeżyła go, mieszkał razem z nią. Doszła prawie dziewięćdziesiątki. On, stary kawaler, miał, gdy zaszło to, co opowiem, sześćdziesiąt jeden lat. Sądowno nie karany, u nas nie notowany, jakkolwiek wiedzieliśmy, że pracownia fotograficzna, którą urządził sobie na zapleczu zakładu optycznego, to nie takie niewinne hobby, jak utrzymywał. Są ludzie, którzy robią drastyczne zdjęcia, niekoniecznie pornograficzne, sami nie umieją albo nie chcą ich wywoływać i potrzebują zaufanego, który by się tym zajmował. Musi to być człowiek solidny, taki, co nie robi ekstra odbitek dla siebie albo i nie tylko dla siebie. No, ale to jest do pewnej granicy niekaralne. Są ludzie, którzy wprowadzają innych w drażliwe

sytuacje i robią im chyłkiem zdjęcia, żeby ich potem szantażować. ' Na ogół mamy ich w kartotekach i nie jest dla nich zdrowo mieć własną ciemnię, aparaturę ani fotografa, który był już karany. Proque zajmował się tym, ale robił to z umiarem. Wiedzieliśmy, że wywołuje takie zdjęcia, brał się do tego zwykle, gdy było z nim finansowo całkiem źle. Nie było jednak podstaw do wkroczenia. Nie tylko takie rzeczy wymykają się dziś policji. Brak etatów, brak środków, brak ludzi. Zresztą Proque niewiele zarabiał na tym procederze. Nigdy by nie ośmielił się wysuwać wobec swoich klientów jakichś roszczeń w oparciu o to, co dla nich robił. Był ostrożny, bo z natury był tchórzliwy. Zupełnie zdominowany przez matkę. Żyli jak w zegarku. Co roku wyjeżdżali, zawsze w lipcu, zawsze do Normandii, nad zakładem trzypokojowe mieszkanie pełne gratów, stara kamienica, lokatorzy ci sami, znajdujący się od lat, jeszcze sprzed wojny. Muszę panu opisać tego Proque'a, bo to ma pewne znaczenie, zwłaszcza dla pana. Niski, chudy, przedwcześnie zgarbiony, z tikiem w lewym oku, powieka mu opadała, na ludziach, którzy go nie znali,

robił, zwłaszcza w godzinach południowych, wrażenie głuchawego, przygłupiego albo dystrakta. Był całkiem normalny umysłowo, miał tylko napady senności, najczęściej koło południa, wywoływane spadkiem ciśnienia. Dlatego trzymał zawsze na stole w pracowni termos z kawą i ratował się nią, kiedy zaczynał zasypiać nad robotą. Z upływem lat te napady senności, ziewania, uczucie, że robi mu się słabo, że zaraz się przewróci, dokuczały mu coraz mocniej. Wreszcie matka kazała mu iść do lekarza. Był u dwóch, zapisywali mu niewinne środki pobudzające, które na krótko skutkowały. To, co panu mówię, wiedział każdy lokator w tym domu, każdy mógł to panu opowiedzieć. Bodajże wiadano nawet o tych jego niewyraźnych interesach w ciemni. Był to człowiek zupełnie przeźroczysty. Te zdjęcia to w końcu dzieciństwo w porównaniu z tym, co jest naszym codziennym chlebem. Zresztą jestem z kryminalnej, moeurs, obyczajówka to osobny świat. Po tym, co zaszło, wciągnęliśmy ich do śledztwa, ale bez rezultatu. Czym by tu jeszcze wzbogacić portret? Zbierał stare pocztówki, uskarżał się na bardzo

delikatną skórę, nie mógł się opalać, zaraz występowały jakieś podrażnienia, zresztą nie był to człowiek, któremu mogło zależeć na opaleniznie. Ale jesienią zaprzeszłego roku zaczął wyraźnie ciemnieć na twarzy, jego cera nabrała miedzianego odcienia, jaki wywołuje sztuczne słońce, no i starzy klienci, znajomi, pytali, co tam, panie Proque, do solarium pan chodzi, a on rumieniąc się jak panienka tłumaczył każdemu, że nie, że okropna bieda nań spadła, czyraki w pewnym fatalnym miejscu, i to się tak ciągnie, lekarz zlecił naświetlanie całego ciała. Lampę kwarcową poza witaminami i maścią. I to mu jakoś w końcu pomogło. Był październik, dość w tym roku przykry, dżdżysty, chłodny, optyk szczególnie jesienią ulegał tym swoim zapaściom, napadom słabości, i to w samo południe, znowu poszedł do lekarza, znów ten mu przepisał jakieś pobudzające pigułki. Pod koniec miesiąca powiedział matce podczas obiadu, dość podekscytowany, zadowolony, że dostał dobrze płatną robotę, spora seria zdjęć do wywołania i powiększenia, kolor, liczne odbitki, duży format. Liczył na tysiąc sześćset franków zysku, była to dla

niego spora sumka. Po siódmej wieczór opuścił roletę i zamknął się w ciemni zapowiadawszy matce, że wróci późno, bo to pilne. Matką zbudził koło pierwszej jakiś hałas. Dobiegał z jego pokoju. Siedział na podłodze i płakał “tak strasznie jak żaden człowiek jeszcze nie płakał” — to jej słowa z zeznań. Krzyczał, szlochając, że zmarnował życie, że musi się zabić. Podarł kolekcję swoich ukochanych pocztówek, przewracał meble, staruszka nie mogła mu dać rady — tak zwykle posłuszny, nie zwracał na jej obecność najmniejszej uwagi. Dreptała za nim po pokoju, ciągnęła go za ubranie, a on, jak w wiejskim melodramacie, szukał najpierw sznura — odciął go od firanki, ale był za słaby, matka mu go zresztą wyrwała, potem w kuchni dobierał się do zastawy, za nożem, na koniec chciał zejść na dół po truciznę jakąś. Miał w ciemni dość odczynników, ale jak gdyby osłabł, usiadł na podłodze, wreszcie zachrapał, płacząc jeszcze przez sen. Spał tak do rana, bo nie miała siły przenieść go na łóżko, nie chciała wzywać sąsiadów, więc tylko poduszkę podłożyła mu pod głowę. Następnego dnia był właściwie normalny,

jakkolwiek mocno przybity. Uskarżał się na silny ból głowy, mówił, że ma takie uczucie, jakby całą noc pił, a nie pił nigdy więcej niż ćwiartkę białego do obiadu — stołowy cienkusz. Nałykawszy się prószków, poszedł do zakładu. Dzień spędził jak zawsze. Klientów miał jako optyk niewielu, przeważnie zakład stał pusty, bo przesiadywał na zapleczu, szlifując szkła albo wywołując w ciemni zdjęcia. W tym dniu miał tylko czterech klientów. Prowadził książkę, w której zapisywał każdą zleconą pracę, nawet najbliższą, wykonywaną na poczekaniu. Jeśli nie znał klienta, to zapisywał rodzaj zlecenia. Oczywiście nie dotyczyło to spraw fotograficznych. Także dwa następne dni przeszły bez wydarzeń. W trzecim dostał część należności za powiększenie i za odbitki. Tych wpływów też nie notował, taki głupi nie był. Kolację mieli z matką wystawniejszą, przynajmniej jak na nich. Droższe wino, ryba, już tego tak dokładnie nie pamiętam, wie pan, ale wtedy umiałem na pamięć nawet to, ile było rodzajów sera. Następnego dnia dostał nową partię filmów od tego samego klienta. Przy obiedzie był w wyśmienitym humorze, mówił

matce, że jeszcze zbudują sobie dom, wieczorem znów zamknął się w ciemni i stamtąd doszedł matkę po północy przeraźliwy hałas. Zeszła na dół, pukała w sionce do tylnych drzwi ciemni, jest tam przepierzenie z dykty, słyszała, jak niezrozumiale zawodził, łomotał, przewracał wszystko, tłukł szkło, więc przerażona zawezwała sąsiada, rytownika, który ma zakład na tej samej ulicy. Sąsiad, spokojny, starszy wdowiec, podważył dłutem rygielek w przepierzeniu. W środku było ciemno i prawie cicho. Na podłodze leżał Proque w na pół wywołanych, posklejanych razem negatywach zdjęć pornograficznych, tułały się po wszystkich kątach, częściowo porozdzierane, linoleum zalane było chemikaliami, bo potłukł wszystkie słoje, w których trzymał odczynniki, zrzucił na ziemię powiększalnik, poparzył sobie kwasem rękę, dziury wypalił w ubraniu, z kurka lała się strumieniem woda, a on był mokry od stóp do głów. Kiedy zrobiło mu się źle, próbował się ratować, chlustał sobie wodą na głowę, wreszcie wsadził ją pod kran. Bodaj chciał się otruć, ale zamiast cyjanku zażył bromku i dlatego leżał

zupelnie otumaniony. Dał się zaprowadzić do mieszkania, sąsiad go prawie zaniósł, matka mówiła, że już po jego odejściu Proque próbował szaleć, ale wyzuł się całkiem z sił i znów patrzyło to na marną komedię — leżąc na łóżku, przebierał rękami, nogami, chciał podrzeć prześcieradło, żeby się na nim powiesić, pchał sobie powłóczkę w usta, chrypiał, płakał, klął, a kiedy spróbował zerwać się na równe nogi, upadł jak kloc i znów, jak za pierwszym razem, zasnął na podłodze.

Nazajutrz zbudził się późno, jak z krzyża zdjęty. Rozpaczał, ale już dorzecznie, nad szkodami, które sam sobie wyrządził. Całe przedpołudnie zbierał, płukał, ratował, jak mógł, pozlepiane negatywy, sprzątał i czyścił ciemnię, wyszedł w południe o lasce, bo mu się w głowie kręciło, al« musiał kupić nowych odczynników — na miejsce poniszczonych. Wieczorem skarżył się przed matką, że to chyba choroba umysłowa, wypytywał ją o wypadki obląkania w rodzinie, nie chciał uwierzyć, że o żadnych nie wiedziała. Po tym, jak się do niej zwracał, jak jej zadawał kłam, poznała, że nie wrócił jeszcze ze

wszystkim do normalnego stanu, bo nigdy nie śmiał nawet głosu na nią podnieść. Nigdy nie był taki agresywny, ale cóż, można pojąć podniecenie i strach człowieka, który niespodziewanie dla siebie podlega w kilkudniowych odstępach czasu atakom szału. Każdy myślałby chyba o zwiastunach obłądu. Powiedział matce, że jeśli coś takiego choć raz się jeszcze powtórzy, pójdzie do psychiatry. Tak energicznie podejmowane decyzje nie były w jego naturze, dawniej tygodnie mijały, nim zdecydował się pójść do skórnika, porządnie się wprzód namęczył tymi swoimi wrzodami i to wcale nie ze skąpstwa, był zresztą ubezpieczony, po prostu najmniejsza zmiana porządku dnia zdawała mu się czymś nie do zniesienia.

Z klientem, który powierzył mu film, doszło do scysji, bo tamten nie mógł się dorachować kilku zdjęć. Co tam zaszło między nimi, do końca nie wiemy — jest to jedyny rzeczowy punkt, nie wyświetlony w tej sprawie.

Potem przez cały tydzień nic nie zaszło. Progue uspokoił się, nie wracał już w rozmowach z matką do

podejrzeń o chorobę umysłową. W niedzielę poszedł z nią do kina. A w poniedziałek zwariował. Tak to wyglądało. O jedenastej przed południem wyszedł z zakładu, zostawiając otwarte drzwi, nie odpowiedział jak zawsze na pozdrowienie znajomego cukiernika, który ma na rogu małą cukierenkę; ten człowiek, Włoch, odezwał się do niego pierwszy, bo stał przed sklepem. Proque wydał mu się "jakiś dziwny", ale wszedł do środka, kupił słodyczy, powiedział, że zapłaci wracając, bo będzie miał wtedy "moc pieniędzy" — to także nie było w jego stylu — "wsiadł na postoju do taksówki — a nie jeździł taksówką bodaj od dziesięciu lat — i podał kierowcy adres na rue de l'Opera. Kazał mu czekać, po kwadransie wrócił, wykrzykując głośno do siebie, wymachując rękami, w jednej miał kopertę pełną banknotów. Pomstując na łajdaka, który usiłował wydrzeć mu zarobek, kazał się wieźć w stronę Notre Dame. Tam, na wyspie, dał za kurs sto franków, nie żądając reszty — taksówkarz zauważył wtedy, że miał w kopercie same setki, i nim taksówka odejchała, zaczął przelazić przez balustradę mostu.

Jakiś przechodzień złapał go za nogę, zaczęli się mocować, na ten widok taksówkarz wyskoczył z auta, ale i we dwóch nie mogli dać rady optykowi. Zjawił się policjant, we trzech wpakowali Proque'a do taksówki, a on wciąż szalał, na bruku leżały stufrankowe banknoty, policjant przykuł go na koniec do siebie i pojechali do szpitala. Po drodze udała się optykowi rzecz dość niezwykła. Gdy auto ruszyło, zapadł się jakby w siebie i leżał obok policjanta bezwładnie jak szmata, aż zerwał się i nim policjant ściągnął go na miejsce, wyrwał taksówkarzowi kierownicę. Ruch był duży i doszło do zderzenia. Taksówka uderzyła citroena w przednie drzwi tak, że tamtemu kierowcy zaklinowało rękę między kierownicą a drzwiami. Miał złamany nadgarstek. Policjant dowiózł wreszcie Proque'a inną taksówką do szpitala, gdzie od niedopatrzenia nie potraktowano go zbyt poważnie, tym bardziej że wpadł w stupor, chwilami popłakiwał, nie odpowiadał na pytania, zresztą zachowywał się spokojnie. Przyjęto go na obserwację, a przy wieczornej wizycie prymariusza okazało się, że znikł. Leżał pod łóżkiem,

owinięty w koc, który wyciągnął spod prześcieradła, a przycisnął się w nim do ściany, więc nieprędko go zauważono. Stracił przytomność od skrwawienia, bo kawałkiem żyłki, który przemycił z ubrania do szpitalnej pidżamy, przeciął sobie żyły na rękach. Uratowano go jednak trzema transfuzjami. Przyplątały się potem komplikacje, bo i tak miał marne serce.

Sprawę tę dostałem nazajutrz po wypadku na Wyspie Świętego Ludwika. Właściwie nie było w niej z pozoru nic dla Surete, lecz właściciel desy miał radcę prawnego, który uznał, że nastęcza się doskonała okazja, by podoić policję. Adwokat wystąpił z wersją, opiewającą na karygodne niedbalstwo działań funkcjonariusza policji, który wioząc przestępcę w szale, dopuścił do tego, by ów wjechał w auto jego klienta, wywołując oprócz szkody cielesnej i materialnej ciężki szok psychiczny. Policja winna zatem odpowiadać, zapewne zajdzie konieczność wypłacenia renty — ze szkatuły ministerialnej oczywiście, boż winny zajścia policjant był na służbie.

Chcąc mieć lepszy start, adwokat w tym duchu poinformował prasę. Przez to sprawa przeskoczyła z poziomu banalnych incydentów o kilka oczek w górę, bo już w grę wchodził prestiż Surete, a właściwie police judiciaire, i szef zlecił mi zbadanie tego wypadku.

Wstępna diagnoza lekarska mówiła o ostrym szale w obrazie późno rozpoczynającej się schizofrenii, lecz im dłużej go tam badali, już po samobójczym zamachu, tym mniej zostawało z tej diagnozy. Po sześciu dniach był to złamany, ledwie żywy, gwałtownie zestarzały, lecz poza tym właściwie normalny człowiek. W siódmym dniu pobytu szpitalnego złożył zeznanie. Oświadczył, że wiadomy klient wypłacił mu był zamiast umówionych tysiąca pięciuset ledwie sto pięćdziesiąt franków za to, że nie dostarczył wszystkich odbitek. W poniedziałek, kiedy dopasowywał szkła do okularów, naszła go przy szlifierce taka złość na tego klienta, że rzucił wszystko i jak stał wybiegł z zakładu, "żeby się z nim porachować". O tym, że zaszedł do cukierni, w ogóle nie pamiętał. Nie przypominał sobie też nic z tego, co

zaszło na moście, wiedział tylko, że urządził klientowi w mieszkaniu awanturę i tamten wypłacił mu resztę pieniędzy. W nocy po złożeniu zeznań stan jego nagle się pogorszył. Umarł nad ranem od sercowej zapaści. Lekarze zgodzili się między sobą na psychozę reaktywną. Jakkolwiek śmierć Proque'a stała tylko w pośrednim związku z jego poniedziałkowym szalem, przecież sprawa znów przybrała na wadze. Trup to zawsze karta atutowa. Udałem się do matki Proque'a w przeddzień jego śmierci. Jak na niewiastę w tak podeszłym wieku dość była grzeczna. Wziąłem ze sobą na rue Amelie aspiranta z wydziału narkotyków, żeby obejrzał ciemnię i znajdujące się w niej preparaty. Długo siedziałem u pani Proque, bo myślenie takiej starej damy jest jak deska — gdy raz weszła w kwestię, musiałem cierpliwie słuchać. Pod koniec wizyty wydało mi się, że słyszę dzwonek do drzwi zakładu na dole — bo okno było uchylone. Zastąłem mego człowieka, jak przeglądał za kontuarem książkę zapisów.

— Znalazł pan coś? — spytałem.

— Nie, nic.

Ale wydawał się jakiś niepewny.

— Ktoś tu był?

— Tak. Skąd pan wie?

— Słyszałem dzwonek.

— Tak — powtórzył i opowiedział mi, co zaszło.

Usłyszał dzwonek, ale ponieważ stał na krześle, bo pootwierał puszki elektrycznych złączy, aby je przeszukać, nie mógł od razu pójść do sklepu. Przybyły słyszał odgłosy majstrowania i przekonany, że to Proque, rzekł głośno:

— I cóż tam? Jak się pan dzisiaj czuje, mój dobry Dieudonne? Na to wszedł do sklepu mój aspirant i ujrzał mężczyznę w średnim wieku, bez kapelusza, który na jego widok drgnął, jakby się chciał cofnąć ku drzwiom. Zagrał tu przypadek. Zazwyczaj ludzie brygady narkotyków chodzą w cywilu, lecz akurat w tym dniu miała się odbyć mała uroczystość w związku z odznaczeniem jednego z brygadierów, więc wszyscy mieli przyjść w mundurach, żeby go uhonorować. A ponieważ zaczynało się to o czwartej, mój człowiek poszedł już ze mną w mundurze, by zaoszczędzić sobie przebierania w

domu.

Tak więc ów przybysz skonsternował się widząc mundur policyjny. Powiedział, że chce odebrać okulary, oddane do naprawy. Okazał kwit z numerem. Agent odparł, że właściciel zakładu zaniemógł i dlatego tamten nie będzie mógł niestety otrzymać swych szkieł. W ten sposób zostało powiedziane wszystko, co było do powiedzenia, lecz przybyły nie ruszał się z miejsca. Na koniec zniżając głos, spytał, czy Proque zachorował nagle. Agent odparł, że tak.

— Poważnie?

— Dostyc poważnie.

— Ja... bardzo potrzebuję tych okularów — rzekł obcy ni w pięć, ni w dziewięć, mówiąc najwyraźniej tylko dlatego, bo nie mógł się zdobyć na właściwe pytanie.

— Czy on... żyje? — spytał znienacka.

To się już całkiem nie spodobało memu człowiekowi.

Nie odpowiedział, położył za to rękę na desce zamykającej przejście w kontuarze, bo nabrał chęci

wylegitymowania tamtego. Lecz ów obrócił się na pięcie i wyszedł. Nim agent odpiął deskę z haczyka, nim podniósł ją i wybiegł na ulicę, po przybyłym nie zostało śladu. Dochodziła czwarta, ludzie wracali z pracy, mżył drobny kapuśniaczek, na chodnikach było aż gęsto.

Zgniewało mnie trochę, że tak dał mu odejść, ale odłożyłem reprimendę na potem. Mieliśmy jednak książkę zleceń. Spytałem agenta, czy zapamiętał numer kwitu, który pokazał mu ten mężczyzna. Nie zwrócił nań uwagi. W książce było sporo zapisów za ostatnie dni, naznaczonych tylko inicjałami klientów. Nie wyglądało to więc korzystnie. To, na czym mogłem się oprzeć, było mgliste jak obłoczek — zachowanie się przybyłego. Musiał dobrze znać Proque'a skoro mówił mu po imieniu. Zacząłem sobie wreszcie wypisywać ostatnie pozycje z książki, choć bez większej nadziei. Czyż kwit na okulary nie mógł stanowić tylko dogodnego pretekstu? Narkotyki mogły tkwić w skrytce, której nie odszuka się w ciągu jednego dnia, jeśli ją zakładali fachowcy. Numerek mógł być fikcyjny. Co sobie myślałem wtedy o

Proque'u? Właściwie sam nie wiem. Jeśli jednak myliłem się nawet dotąd co do osoby optyka i zakład był punktem przerzutu, to już najmniej sensowne zdawało się, żeby Proque, otrzymawszy partię towaru, częstował się nim jako pierwszy, i od tego doznał zatrucia. Towar mógł być sfalszowany, to się zdarza, ale nie zdarza się, żeby handlarze czy pośrednicy sami używali narkotyków: zbyt dobrze znają ich skutki, by się skusić. Nie wiedziałem więc, co myśleć, aż agent pomógł mi, bo przypomniał sobie, że choć padał deszcz, przybyły nie miał parasola ani kapelusza, a jego płaszcz, włochaty redincoat, był prawie suchy. Autem nie przyjechał, bo ulica była zamknięta w związku z robotami. A zatem ten człowiek najprawdopodobniej mieszkał w pobliżu. Znaleźliśmy go na piąty dzień. Jak? Wcale łatwo. Za wskazaniem aspiranta sporządziło się portret roboczy poszukiwanego, i detektywi obeszlili z nim konsjerżki na rue Amelie. Nie był to byle kto, lecz uczonego, doktor chemii, nazwiskiem Dunant. Jerdme Dunant. Przejrzałem wtedy księgę zapisów i spostrzegłem dziwną rzecz: inicjały J. D. figurowały we

wszystkich trzech dniach poprzedzających ataki Proque'a. Doktor mieszkał kilka domów wyżej po przeciwnej stronie ulicy. Poszedłem do niego wczesnym popołudniem. Sam otworzył mi drzwi. Poznałem go natychmiast ze szkicu naszych specjalistów.

— Aha — rzekł — proszę wejść...

— Pan się spodziewał takiej wizyty? — powiedziałem, idąc za nim.

— Tak. Czy Proque żyje?

— Wybacz pan, ale to ja chciałem zadać panu kilka pytań, a nie udzielać odpowiedzi na pańskie. Na jakiej podstawie sądzi pan, że Proque może nie żyć?

— Teraz ja panu z kolei nie odpowiem. Najważniejsza rzecz, komisarzu, w tym, żeby ta rzecz nie nabrała rozgłosu. Proszę jej strzec przed prasą. Mogłoby to być fatalne.

— Dla pana?

— Nie, dla Francji.

Puściłem te słowa mimo uszu. Ale nie wydobyłem z niego nic.

— Niestety — rzekł — jeśli będę mówił, to

jedynie z pana szefem w Surete, a i to dopiero, kiedy uzyskam upoważnienie od moich przełożonych. — Nic już więcej nie powiedział. Bał się, że należą do policjantów zasilających prasę sensacjami. Później się w tym zorientowałem. Mieliśmy z nim sporo kłopotu. W końcu stało się tak, jak chciał. Mój szef skontaktował się z jego zwierzchnością, a zgody na jego zeznania musiały udzielić dwa ministerstwa.

Jak wiadomo, wszystkie państwa miłują pokój i wszystkie przygotowują się do wojny. Francja nie może być wyjątkiem. O broniach chemicznych wszyscy mówią z moralnym oburzeniem. Ale i nad nimi wszyscy pracują. On właśnie, doktor Dunant, zajmował się poszukiwaniem preparatów, zwanych psychotropowymi depresorami, które w postaci gazów lub pyłów porażają morale i wolę żywej siły nieprzyjaciela. Czegośmy się na koniec dowiedzieli? Pod pieczęcią dochowania tajemnicy dowiedzieliśmy się, że doktor Dunant już od czterech lat z górami pracował nad syntezą takiego depresora. Wyszedłszy z pewnego związku chemicznego, uzyskał sporą ilość pochodnych. Jedna z tych pochodnych wykazywała

poszukiwane działanie na mózg. Ale wykazywała je w olbrzymich dopiero dawkach. Trzeba ją było spożywać łyżkami, żeby wystąpiły typowe objawy: najpierw faza podniecenia i agresywności, potem depresji, przechodzącej w ostrą manię samobójczą. Na właściwą drogę nieraz naprowadza w takich okolicznościach przypadek. Podstawia się różne grupy chemiczne w związku wyjściowym i bada się farmakologiczne właściwości pochodnych. Można tak pracować latami albo można też uzyskać związek o pożądanym cechach od razu.

Pierwsza ewentualność jest oczywiście znacznie bardziej prawdopodobna. Doktor Dunant, który jako silny krótkowidz stale nosił szkła, był w ciągu ostatnich lat niejednokrotnie klientem Proque'a. Ponieważ nie mógł się poruszać bez okularów, miał ich trzy pary. Jedną nosił, drugą jako zapasową miał przy sobie, a trzecią przechowywał w domu. Taki przezorny stał się dopiero, gdy szkła, które nosił, rozbiły mu się raz w laboratorium i musiał przerwać pracę. Właśnie niezbyt dawno, bo przed trzema tygodniami, znów przytrafił mu się taki wypadek.

Dunant pracował w instytucie o najwyższym stopniu izolacji. Przed wejściem do laboratorium przebierał się od stóp do głów — nawet buciki i bieliznę miał tam specjalne, a wszystkie osobiste rzeczy na czas zajęć pozostawiał w szatni, odseparowanej od miejsca pracy komorą ciśnieniową. Pracował mając na głowie rodzaj przezroczystego kaptura z plastyku. Powietrze doprowadzał mu specjalny giętki przewód. Ani jego ciało, ani okulary nie stykały się z substancjami, które badał. Aby umknąć kłopotu, który już raz miał, Dunant kładł teraz przed rozpoczęciem pracy zapasowe szkła na dość wysoko umieszczonej półce z odczynnikami. Sięgając tam, strącił szkła, które upadły. Jedna soczewka pękła — a jeszcze uszkodził oprawę, bo nastąpił na nią nogą. Zaniósł więc te okulary do Proque'a. Gdy przyszedł po nie za dwa dni, zaledwie poznał optyka. Zmizerowany, wyglądał jak -po ciężkiej chorobie. Opowiedział Dunantowi, że chyba się czymś zatrul, bo okropnie czuł się w nocy, miał dziwny atak — jeszcze teraz chce mi się płakać nie wiadomo czemu! — zakończył opowiadanie. Dunant nie zwrócił na te słowa większej uwagi. Nie

był jednak zadowolony z naprawy, jedno ramiączko okularów ugniatało go, a też nowo wprowadzona soczewka chybotwała na ijlonowej żyłce i w samej rzeczy wypadła po kilku dniach, a ponieważ stało się to znów w laboratorium, gdzie wykładzina podłogi jest ceramiczna, szkło prysło. Doktor ponownie zaniósł okulary do optyka. Odbierał je w następnym dniu i Proque znów wyglądał jak Łazarz — jak gdyby w ciągu jednej doby postarzał się o lata. Dunant począł go od niechcienia wypytywać o szczegóły ponownego “ataku”. Opis przypominał ostrą depresję w toku indukowanej chemicznie psychozy, nader podobną do objawów, jakie dawał preparat X, nad którym Dunant od dawna się mozolił. Jednakowoż tak gwałtowne objawy powodowała dawka rzędu dziesięciu gramów suchej substancji — jakież więc mógł być związek tego faktu z oddawaniem okularów do naprawy? Dwukrotnie zaniósł do optyka zapasowe szkła, które leżały zwykle na półce, nad bunsenowskim palnikiem. Zaczął więc przypuszczać, że być może substancja X, parując, unosiła się w powietrzu i w mikroskopijnych ilościach osiadała na

rezerwowych okularach. Postanowił to sprawdzić. Poddal szkła analizie chemicznej i przekonał się, że istotnie na soczewkach i metalowych zgięciach oprawki można wykryć ślady związku X. Lecz były to ilości rzędu gamma, to znaczy tysięcznych części jednego miligrama. Wśród chemików znana jest anegdotyczna historia, jak doszło do odkrycia LSD. Chemik, który pracował z tą substancją, nie podejrzewał jej, podobnie jak nikt podówczas, o działanie halucynogenne. Wróciwszy do domu, doznał typowego "wzlotu", ze zwidami i aurą psychotyczną, chociaż jak zawsze dokładnie mył ręce przed opuszczeniem pracowni. Pod paznokciami pozostała mu jednak znikoma ilość LSD, dostateczna dla wywołania zatrucia, gdy przygotował sobie kolację.

Doktor Dunant zaczął rozważać, co właściwie robi optyk, gdy zakłada do oprawki nowe szkła i prostuje ramiączka? Dla wyprostowania sporządzonych z masy plastycznej przesuwają nimi szybko nad płomieniem gazowym. Czyżby związek X ulegał od podgrzania zmianom potęgującym milion razy jego działanie? Dunant podgrzewał próbki tego

związku na wszystkie możliwe sposoby palnikami, lampką spirytusową, płomieniem świecy, lecz bez rezultatu. Postanowił więc wykonać tak zwane doświadczenie krzyżowe. Umyślnie zgiął ramiączko okularów, następnie pokrył je roztworem preparatu X tak rozcieńczonym, że po wyschnięciu rozpuszczalnika pozostała na oprawce ilość śladowa, około jednej milionowej części grama. Szklą tę po raz trzeci zaniósł optykowi. Gdy przyszedł je odebrać, ujrzał za kontuarem policjanta. To jest cała moja historia, mój panie. Historia bez rozwiązania i tym samym bez zakończenia. Doktor Dunant przypuszczał, że jakiś czynnik obecny w zakładzie optyka powodował zmianę preparatu X. Że dochodziło do reakcji katalitycznej, potęgującej działanie tego preparatu prawie milion razy. Nic takiego nie udało się jednak wykryć. Umyliśmy ręce od sprawy, gdyż nie było podstaw do kontynuacji śledztwa, skoro winnych należało szukać nie wśród ludzi, lecz wśród atomów. Nie doszło do przestępstwa, skoro ta ilość związku X, jaką Dunant pokrył szklą, gdy dał je optykowi, nie może zabić nawet muchy. O

ile wiem, całą zawartość ciemni nabył Dunant czy też ktoś w jego imieniu od pani Proque i po kolei wypróbował działanie wszystkich wziętych stamtąd odczynników na preparat X, lecz daremnie.

Pani Proque zmarła przed Bożym Narodzeniem tego roku. Słyszałem od moich ludzi, lecz tylko w formie pogłosek, że po jej śmierci Dunant przeniósł się na jakiś czas do opuszczonego zakładu i brał stamtąd próbki wszelkich substancji, włącznie z dyktą przepierzenia, pyłem kamienia szlifierskiego, lakierem ze ścian, kurzem podłogi, bodaj przez całą zimę, a jednak niczego nie doszedł. Opowiedziałem to panu, nieprawdaż, na prośbę inspektora Pingaud. Zdaje mi się, że pańska sprawa jest z tej samej parafii. Takie rzeczy zdarzają się już na naszym świecie, odkąd został naukowo udoskonalony. To wszystko.

Wracaliśmy do Garges godzinę przez korki, mało co mówiąc. Poznałem obłąd, któremu uległ Porque, jak się poznaje znajomą twarz. Brakowało w nim fazy halucynacji, ale kto mógł wiedzieć, co się zwidywało temu biedakowi? Dziwna rzecz — tamte

ofiary traktowałem jak elementy łamigłówki, a Proque'a było mi żal — przez Dunanta. Rozumiałem, że nie wystarczyły mu myszy. Nie doprowadziłby ich do samobójstwa. Potrzebny mu był człowiek. Nic nie ryzykował: kiedy zobaczył w drzwiach policjanta, przykrył się Francją. I to mogłem zrozumieć.

Ale od jego słów **JAK SIĘ PAN DZIŚ CZUJE MÓJ DOBRY DIEUDONNE** brała mnie złość. Jeżeli . Japończyk z Rzymu był zbrodniarzem, to kim był Dunant? Nazwisko musiało być chyba zmienione. Zastanawiałem się, czemu inspektor Pingaud dał mi wysłuchać tej historii, bo przecież nie z sympatii. Co się za tym kryło? Zakończenie też mogło być sfingowane. Jeśli tak, mogła to być próba skorzystania z okazji, by pod niewinnym pozorem przekazać Pentagonowi informację o nowej broni chemicznej. Kiedy się temu w myśli przyjrzałem, rzecz wyglądała dosyć prawdopodobnie. Był to atut pokazany tak zręcznie, że w razie potrzeby dałoby się wyprzeć jego demonstracji — usłyszałem przecież, że **NIC** nie wykryto i nie mogłem mieć pewności, że jest inaczej. Gdybym był zwykłym detektywem

prywatnym, pewno ominąłby mnie ten seans, lecz astronauta, nawet na drugorzędnej pozycji, kojarzył się z NASA, a NASA z Pentagonem. Jeśli zdecydowano o tym wysoko, Pingaud był tylko wykonawcą polecenia i konfuzja, w jaką musiał wpaść od tego Barth, nie miała znaczenia. Sytuacja Bartha stała się delikatniejsza od mojej. Niechybnie domyślał się tchnienia wielkiej polityki w niespodziewanym akcie “pomocy” — ale nie chciał o tym ze mną mówić — zwłaszcza że to i jego musiało zaskoczyć. Tego, że nie został uprzedzony, byłem pewien, bo znam jako tako reguły gry na tym terenie. Nie mogli wziąć go na bok i rzec “pokażemy temu Ami z dala pewną ważną kartę, a on to poda dalej”. Tak się po prostu nie robi. Gdyby tylko mnie wtajemniczyli, wyglądałoby to dziko — nie mogli tak postąpić, wiedząc, że Barth przyrzekł mi już pomoc swojego zespołu. Nie mogli go ani pominąć, ani wprowadzić w kulisy sprawy, wybrali więc wariant najrozsądniejszy: usłyszał po prostu to co ja i sam się miał biedzić nad pytaniem, co dalej. Może żałował już skwapliwości, z jaką wyszedł mi naprzeciw. Z kolei

obejrzałem sobie skutki tej historii dla śledztwa. Przedstawiały się nieróżowo. Z włoskiej serii wykstrahowaliśmy jako cechy predestynujące do wypadku kąpiele siarkowe, wiek pod pięćdziesiątkę, ciężką budowę ciała, samotność, słońce i alergię, a tu mieliśmy człowieka po sześćdziesiątym roku życia, chuderlawego, niealergika, mieszkającego z matką, który nie kąpał się w siarce, unikał słońca i nie ruszał się z domu. Trudno o więcej różnic! W przypiływie wielkoduszności powiedziałem Barthowi, że powinniśmy przetrwać wysłuchaną nowość oddzielnie, aby się nawzajem nie sugerować — a wnioski skonfrontujemy wieczorem. Chętnie się zgodził. O trzeciej poszedłem do ogrodu, gdzie za altaną czekał na mnie Piotruś. Była to nasza tajemnica. Pokazał mi materiały do rakiety. Pierwszym stopniem miała być balia. Nie ma osób drażliwszych od dzieci, nie powiedziałem mu więc, że balia nie nadaje się na booster, ale rysowałem mu na piasku człony Saturna V i IX. O piątej jposzedłem do biblioteki, jakeśmy się umówili z Barthem. Zaskoczył mnie. Zaczął od tego, że skoro nad czynnikiem X

pracowano we Francji, to zapewne i w innych krajach. Tego rodzaju prace będą zazwyczaj równoległe. A więc i Włosi... Być może, trzeba się sprawie przyjrzeć w zupełnie nowy sposób. Preparat nie musiał powstać w laboratoriach rządowych, ale na przykład w jakiejś prywatnej firmie. Mógł go stworzyć jakiś chemik, pozostający w kontakcie z ekstremistami, albo, co nawet bardziej prawdopodobne, pewną ilość tego związku po prostu skradziono. Ludzie, którzy nim dysponują, sami nie wiedzą, jak można by go użyć z maksymalnym efektem. Cóż więc robią? Eksperymenty... Ale czemu ofiary są cudzoziemcami w określonym wieku, reumatykami i tak dalej? ^ I na to miał odpowiedź.

— Niechże się pan postawi w sytuacji kierującego takim ugrupowaniem. Słyszał pan, że ten preparat ma potężne działanie, ale jakie, dokładnie nie wiadomo. Moralnych powściągów nie ma pan żadnych — trzeba to wypróbować na ludziach, ale na jakich? Przecież nie na swoich. A więc? Na byle kim? Byle kto jest Włochem, otoczonym rodziną. Pierwsze objawy rzucają się w oczy jako zmiana usposobienia,

więc Włoch tak potraktowany wnet znalazłby się u lekarza albo na klinice. Natomiast człowiek samotny może wyczyniać Bóg wie co, nim zainteresuje się tym otoczenie, a już specjalnie w hotelu, bo tam najbardziej dbają o poszanowanie dziwactw gości. Im lepszy hotel, tym większa izolacja. W trzeciorzędnym pensjonacie patronka wściubia nos w każde poruszenie rezydentów, za to w Hiltonie można na rękach chodzić, nie zwracając niczyjej uwagi. Zarząd i służba okiem nie mrugną, dopóki nie dojdzie do kryminalnego deliktu. Obcojęzyczność jest dodatkowym czynnikiem izolacji. Nieprawdaż?

— A wiek? alergia? Reumatyzm? siarka?

— Wynik prób będzie tym wyrazistszy, im większa różnica między zachowaniem przed i po podaniu preparatu. Młody człowiek nie zagrzeje miejsca, dziś jest w Neapolu, jutro na Sycylii, natomiast starszy pan to obiekt wprost idealny, a już zwłaszcza kuracjusz, bo będzie się poruszał jak w zegarku — od lekarza do zakładu kąpielowego, z solarium do hotelu, toteż wpływ zatrucia objawi się jak na dłoni...

— A pleć?

— Także nieprzypadkowa. Dlaczego wyłącznie mężczyźni? Czy nie dlatego, ponieważ tylko mężczyźni zamierzają porazić tym nowym sposobem? To mi się wydaje bodajże kluczowe, wskazywałoby bowiem na par excellence polityczne tło sprawy. Skoro chcą osiągnąć znamienitych polityków — a zatem mężczyzn — uważa pan?

— Coś w tym jest... — przyznałem zdziwiony. — Myśli pan więc, że mając ludzi po hotelach, wytypowali sobie pewną kategorię gości — może nawet wiekiem odpowiadających tym politykom, których chcą jednego dnia porazić — planując zamach stanu? Tak? o tym pan myślał?

— Tego bym wolał już nie przesądzać! Lepiej nie zwięzać nazbyt apretury obserwacyjnej... Cóż, piętnaście czy dwadzieścia lat temu trąciłby cały ten koncept sensacyjnym nonsensem rodem z powieści, ale obecnie — pojmuje pan...

Pojmowałem i westchnąłem, bo nie uśmiechała mi się perspektywa odnowy śledztwa. Rozważałem chwilę wszystkie za i przeciw.

— Przyznaję, że zastrzelił mnie pan... ale pozostaje jeszcze sporo niezrozumiałości. Dlaczego tylko alergicy? Co z tym łysieniem? No i pora — styk maja i czerwca... czy i to pan wyjaśni?

— Nie. A przynajmniej nie od razu. Należałoby, jak sądzę, popatrzeć na całość z drugiego końca: typując kandydatów na ofiary już nie “eksperymentalne”, lecz te — właściwe. Rozejrzeć się wśród włoskiej elity politycznej.

Gdyby się okazało, że chodzi w paru istotnych przypadkach o alergików...

— Ach tak! Rozumiem. No cóż, jednym słowem wysyła mnie pan do Rzymu. Obawiam się, że będę musiał pojechać, to może być naprawdę gorący trop...

— Chciałby pan pojechać? Ale chyba nie od razu...

— Jutro, najdalej pojutrze, bo to nie są rzeczy do relacjonowania przez telefon...

Na tym rozstaliśmy się. Kiedy rozważałem w mojej mansardzie koncept Bartha, uznałem go za mistrzowski. Za jednym zamachem wysunął wiarygodną hipotezę i wywikłał się z matni, bo rzecz

naturalnym sposobem wracała do Włoch i tym samym wymijała pytanie o francuskie dzieje czynnika X. To, czy Dunant odtworzył go w ciemni na rue Amelie, przestawało być ważne. Im dłużej nad tym myślałem, tym bardziej utwierdzałem się w przeświadczeniu, że strzał Bartha może być celny. Preparat X istniał i działał. Nie mogłem w to wątpić. Jak i w to, że taka metoda eliminacji kluczowych postaci politycznych wywołałaby nieobliczalny w skutkach wstrząs — może nie tylko we Włoszech.

Efekt byłby gwałtowniejszy niż przy “klasycznym” zamachu stanu. Zarazem patrzałem na sprawę jedenastu z niechęcią podobną do obrzydzenia. Tam, gdzie świeża dotąd niepojęta zagadka, zarysowały się kontury tyleż trywialnej, co krwawej walki o władzę. Niezwykłe pozory skrywały mord polityczny.

Nazajutrz pojechałem na rue Amelie. Nie wiem, czemu to zrobiłem. Powiadam, że pojechałem tam, bo koło jedenastej szedłem chodnikiem, przystając przed witrynami sklepów, ale jeszcze wyjeżdżając z Garges nie byłem pewien, czy się nie rozmyślę w ostatniej

chwili i nie pojedę w stronę wieży Eiffla, żeby pożegnać Paryż. Ale ta szansa zgasła, kiedy wjechałem na bulwary. Było trochę kłopotu z odnalezieniem rue Amelie, nie znałem tej dzielnicy, nie od razu udało się też zaparkować. Dom, w którym mieszkał Dieudonne Proque, poznałem, nim jeszcze mogłem odczytać jego numer. Wyglądał prawie tak, jak go sobie wyobraziłem. Stara, skazana na wyburzenie kamienica z zamkniętymi oknami, z tym staroświeckim wystrojem szczytowym, którym zeszłowieczni architekci nadawali indywidualność swoim budynkom. Zakład optyczny już nie istniał, spuszczone żaluzje były zamknięte na kłódkę. Wracając, zatrzymałem się przy sklepie z zabawkami. Była pora na sprawunki, bo nie zamierzałem uczestniczyć we wznowionym śledztwie. Postanowiłem przekazać Randy'emu informację pochodzącą od Bartha i wrócić do Stanów. Wszedłem więc kupić coś dla chłopców siostry — zakup stawał się rozsądnym usprawiedliwieniem eskapady. Z półek świeciła pomniejszona nasza kolorowa cywilizacja. Szukałem zabawek pamiętanych z własnego

dzieciństwa, ale była tylko elektronika, wyrzutnie, mali supermeni w pozycjach ataku judo i karate. Głupiś, powiedziałem sobie, komu właściwie kupujesz zabawki?

Zdecydowałem się na paradne hełmy gwardii francuskiej z pióropuszcami i kukielkową Marianne, bo tego nie było w Detroit. Obladowany poszedłem w stronę auta i zauważyłem na rogu cukierenkę o białych firankach. W oknie wystawowym brązował usypany z palonych migdałów Wezuwiusz. Przypomniał mi przekupnia mijanego w drodze z hotelu na plażę. Nie byłem pewien, czy gorzkie migdałki będą smakować chłopcom, ale wszedłem i kupiłem kilka torebek. Ciekawe, pomyślałem, że właśnie tu pożegnał mnie Neapol. Szedłem do auta z ociąganiem, jakbym jeszcze nie zrezygnował — z czego właściwie? Sam nie wiem, może z czystości, którą przypisywałem dotąd zagadce, nie zdając sobie z tego sprawy. Cisnąłem paczki na tylne siedzenie i stojąc, z ręką na uchylonych drzwiach, pożegnałem rue Amelie. Czy mogłem jeszcze powątpiewać w słowa Leclerca, w hipotezę Bartha? Jakież

fantastyczne, niewyraźne kombinacje gasły mi w głowie, ale czy w ogóle wierzyłem choć przez chwilę, że zaświta mi tu coś niebywalego, że połączę szczegóły, których nikt nie połączył, i dojdę w tym przeblysku nikomu nie znanej prawdy? Było tu jeszcze trochę dawnego Paryża i miało zniknąć starte pochodem molochów jak Defense. Już i na wieżę Eiffla straciłem ochotę. O tej godzinie doktor Dunant niechybnie pracował w swoich porcelanowych i niklowych laboratoriach. Wydało mi się, że widzę go zakutanego w celofanowy zawój, z oczami błyszczącymi nad szkłem destylatorów, ciągnącego za plastikowym kokonem pierścienny wąż, którym tłoczą mu powietrze. Znałem to, mieliśmy w Houston wspanialsze laboratoria, sterylne nawy kościołów raketowych.

Odechciało mi się tak stać i patrzeć na otoczenie jak przed startem, kiedy wszystko ma za sekundę runąć w dół. Taki wziął mnie żal, że pędkiem siadłem za kierownicą, ale zanim zapaliłem motor, zakręciło mnie w nosie. Przez chwilę wstrzymywałem ze złością oddech, aż zacząłem kichać. Nad dachami toczył się

grzmot, ciemniało, ulewa wisiała w powietrzu, wycierałem nos i kichałem, teraz już śmiejąc się nad sobą. Pozostawione we Włoszech kwitnienie traw przybyło za mną do Paryża, a przed burzą zawsze jest najgorzej. Sięgnąłem do schowka, tabletki plimasy stały mi gorzkimi okruchami w gardle, w braku czego lepszego rozerwałem pakiecik migdałów i żując je, ruszyłem do Garges w ulewnym deszczu. Nie spieszyłem się zbytnio, lubię taką jazdę, na autostradzie deszcz brudnym srebrem dymił w reflektorach, burza była gwałtowna i krótka. Kiedy wysiadałem przed domem, już nie padało. Nie było mi sądzone odjechać w tym dniu. Schodząc do jadalni pośliznąłem się na schodach wywoskowanych przez hiszpańskie dziewczę i zjechałem na dół. Zgięło mnie we dwoje, kość ogonowa dała o sobie znać. Próbowałem to bagatelizować przy stole, konwersując ze starą damą. Oświadczyła, że to na pewno dysk i że nie ma na to nic lepszego nad kwiat siarczany, uniwersalny środek przeciw stawowym dolegliwościom, byle wsypać go za koszulę. Podziękowałem za siarkę i widząc, że w takim stanie nie

mogę lecieć do Rzymu, przyjąłem pomoc Bartha, który oferował się zawieźć mnie do słynnego chiropraktyka paryskiego; nazywają ich we Francji kręgarzami.

Pożegnany powszechnym współczuciem jakoś dowlokłem się na górę i jak kaleka -wgramoliłem się do łóżka. Kiedy znalazłem pozycję, w której ból zelżał, zasnąłem, lecz zbudziło mnie kichanie. Wciągnąłem w nozdrza chmurę gryzącego pyłu — wydobywał się z poduszki. Wyskoczyłem z łóżka i jęknąłem, bo zapomniałem o krzyżu. Myślałem, że to jakiś insektycyd, wsypany przez Hiszpankę ze zbędnej gorliwości do pościeli, ale był to niezawodny środek na łamanie w kościach, którym zacny Piotruś uraczył mnie po kryjomu, kiedy siedziałem przy stole. Wytrzepałem pościel z żółtego mialu, naciągnąłem koldrę na głowę i zasnąłem przy monotonnym stukaniu kropel o dach. Na śniadanie opuszczałem się po schodach, jakby to był zalodzony trap wielorybnika, walczącego ze sztormem arktycznym — spóźniona ostrożność. Chiropraktyk, do którego zawiózł mnie Barth, okazał się amerykańskim

Murzynem. Po prześwietleniu i wstawieniu zdjęć w uchwyty nad stołem zabiegowym, wziął się do mnie, a garści miał jak łopaty. Ból był przejmujący, lecz krótki i o własnych siłach zlazłem z tego stołu, żeby się przekonać, że doprawdy jest mi o wiele lepiej. Musiałem jeszcze poleżeć u niego pół godziny, po czym w najbliższej filii Air France kupiłem bilet na wieczorny samolot. Spróbowałem połączyć się z Randym, a że nie było go w hotelu, zostawiłem dla niego wiadomość. W Garges uświadomiłem sobie, że nie mam nic dla Piotrusia, przyrzekłem mu więc przysłać ze Stanów mój hełm, pożegnałem się z całą rodziną i pojechałem do Orly. Wstąpiłem tam do Fleuropu, by posłać kwiaty pani Barth, i zasiadłem w poczekalni obłożwszy się amerykańskimi gazetami. Siedziałem tak i siedziałem, a pasażerów jakoś nie wzywano do samolotu. Na sprawę patrzyłem, jakby należała już do zamkniętej przeszłości. Nie wiedziałem, co z sobą pocznę, i próbowałem nadać tej niewiedzy trochę uroku, bez większego powodzenia. Tymczasem pora startu minęła, a z głośnika rozlegały się tylko jakieś

niewyraźne ubolewania. Z biur wyszła stewardesa, by zakomunikować z żalem, że Rzym nie przyjmuje. Zaczęła się gorączkowa bieganina, telefony, aż wyszło na to, że Rzym wprawdzie przyjmuje, ale tylko maszyny amerykańskie, Alitalii oraz BEA, natomiast Swissair, SAS i mój Air France wstrzymują odloty. Była to zdaje się jakaś wybiórcza forma naziemnego strajku, zresztą nie samo ustalenie przyczyny strajku było ważne, lecz to, że wszyscy rzucili się do kas wymieniać rezerwacje i bilety na te inne linie, których maszyny mogły lądować w Rzymie. Nim się dopchnąłem do okienka, wszystkie miejsca zostały wykupione przez lepiej zorientowanych. Najwcześniejszy następny samolot British European Airways miałem dopiero nazajutrz o potwornej porze — za dwadzieścia szósta rano. Cóż było robić. Przepisałem bilet na tę maszynę BEA, włożyłem walizki na wózek i potoczyłem go do hotelu Air France, w którym nocowałem po przybyciu z Rzymu. Tam czekała następna niespodzianka. Hotel był do ostatniego łóżka zapchany pasażerami, którzy zostali na lodzie jak ja.

Zarysowała się perspektywa nocowania w Paryżu i zrywania się przed czwartą rano, żeby zdążyć na samolot. Powrót do Garges też by nic nie pomógł, bo Garges leży na północy, a Orły na południu Paryża. Przepchałem się przez tłum zawiedzionych do wyjścia, żeby rozważyć, co dalej. Mogłem w końcu przełożyć wyjazd o jeden dzień, ale okrutnie mi się nie chciało. Nie ma nic gorszego nad takie odwlekanie. Biłem się z myślami, kiedy kioskarz wyszedł z paczką pism i zaczął je ustawiać na stendzie przed kioskiem. Wpadł mi w oko nowy "Paris Match". Z czarnej okładki patrzył na mnie mężczyzna zawisły w powietrzu jak gimnastyk przesadzający poprzeczkę. Spodnie miał na szelkach, pierś zakrywało mu dziecko z włosami rozmazanymi pędem, lecące głową w tył, jakby razem robili cyrkowe salto. Nie wierząc własnym oczom podszedłem do kiosku. To byłem ja z Annabellą. Kupiłem "Paris Match", otworzył mi się na ekskluzywnym reportażu z Rzymu. Nad zdjęciem zmiążdżonego eskalatora pełnego ciał ludzkich biegł przez całą szerokość strony wielki napis LUBIMY

UMIERAĆ PRZODEM. Przeleciałem oczyma tekst. Znaleźli Annabelle. Zobaczyłem jej zdjęcie z rodzicami na następnej stronie, ale mego nazwiska nie było. Fotografie pochodziły z magnetowidu, który rejestruje przejazd każdej grupy pasażerów przez Labirynt. Nie pomyślałem o tym — zresztą gwarantowano mi przecież dyskrecję. Jeszcze raz przejrzałem tekst. Był tam rysunek, przedstawiający eskalator, miejsce wybuchu, zbiornik denotacyjny, strzałki pokazywały skąd i jak skoczyłem, był powiększony fragment zdjęcia z okładki, między moimi nogawkami a parapetem widniał kraciasty rękaw. Podpis głosił, że to “oderwana ręka zamachowca”. Chętnie porozmawiałbym z dziennikarzem, który to napisał. Co go powstrzymywało od wymienienia mego nazwiska? Zidentyfikowali mnie, skoro figurowałem w reportażu jako astronauta, podali nazwisko Annabelli, “uroczego podlotka”, który czeka na list od swego zbawcy. Nie było wprawdzie powiedziane wprost, ale można było wyczytać między wierszami aluzję do romansowych uczuć, zrodzonych w tragedii.

Ogarnęła mnie zimna pasja. Zawróciłem na pięcie, przedarłem się brutalnie przez tłum w hallu, wtargnąłem do dyrekcji i tam, w gabinecie pełnym gadających naraz ludzi, przekrzyczałem wszystkich. Zdyskontowałem moje bohaterstwo, rzucając dyrektorowi na biurko "Paris Match". Jeszcze dziś robi mi się gorąco ze wstydu, kiedy przypomnę sobie tę scenę. Dopiąłem swego. Dyrektor, nieprzywykły do tak bohaterskich astronautów, załamał się i oddał do mojej dyspozycji jedyny pokój, jaki jeszcze miał — zaklinał się, że to już naprawdę ostatni, bo obecni natarli na niego jak sfora spuszczonego z łańcucha. Chciałem iść po walizki, ale zakomunikowano mi, że pokój będzie wolny od jedenastej, a była dopiero ósma. Zostawiłem bagaż w recepcji i stałem się panem trzech godzin w Orły. Żałowałem już mego postępkę, a że mógł mieć konsekwencje, gdyby wśród pasażerów znalazł się ktoś z prasy, postanowiłem trzymać się do jedenastej możliwie daleko od hotelu. Do kina iść mi się nie chciało, na kolację też nie, zrobiłem więc głupstwo, o którym myślałem już raz w Quebecu, kiedy przez blizzard nie można było

wystartować. Udałem się na drugi koniec dworca, do fryzjera, by zażądać wszystkiego, na co go stać. Fryzjer był Gaskończykiem, niewiele rozumiałem z tego, co do mnie mówił, ale zgodnie z postanowieniem odpowiadałem "tak" na każdą kolejną propozycję, bo inaczej zostałbym wyproszony z fotela. Strzyżenie i mycie głowy jeszcze jakoś poszło, potem dopiero wziął rozpęd. Wyszukał w tranzystorze między lustrami rock and roila, nagłośnił go, zakasał rękawy i przytupując do taktu, jakby stepował, zaczął mnie tarmosić. Bił mnie po twarzy, ciągnął za policzki, szczypał w podbródek, chlastał mi w oczy parującymi kompresami, robiąc od czasu do czasu w tych wściekle gorących kneblach małą dziurkę, żebym się nie udusił przedwcześnie, pytał o coś, czego nie słyszałem, bo nie wyjął mi z uszu waty, którą włożył tam przed strzyżeniem. Odpowiadałem "ca va bien", a wtedy rzucał się do szafek po nowe flakony i maści. Siedziałem u niego bitą godzinę. Pod koniec wyczesał mi brwi, wyrównał je, odstąpił namarszczony o krok, przyjrzał się swemu dziełu, zmienił fartuch, z osobnej skrytki wyjął złoty flakon, zademonstrował mi go jak

flaskę szlachetnego wina, chlasnął na palce zieloną galaretą i zaczął wcierać mi ją w skalp. Cały czas mówił przy tym z oszalamiającą szybkością, zapewniając, że teraz mogę już być spokojny: na pewno nie wyłysięję. Wyszczotkowawszy mi włosy energicznymi razami, porwał wszystkie ręczniki, kompresy, wyjął mi watę z uszu, dmuchnął w każde sposobem jednocześnie delikatnym i intymnym, otoczył mnie obłokiem pudru, strzelił mi serwetą przed nosem i skłonił się z godnością. Rad był z siebie. Skóra zbiegła mi się na głowie, policzki paliły, wstałem otumaniony, dałem mu dziesięć franków napiwku i wyszedłem. Jeszcze półtorej godziny zostało do objęcia pokoju. Wybrałem się na taras dla odprowadzających, by popatrzeć na nocną pracę lotniska, ale zmyliłem drogę. Na dworcu trwały jakieś roboty, część eskalatorów zagrodzono sznurami, w studniach pod nirni tłukli się monterzy i zablądziwszy wpadłem w tłum śpieszących do odprawy — egzotycznych wojskowych, zakonnic w krochmalonych kornetach, szczudłonogich Murzynów, pewno drużynę koszykówki. Na końcu

tego pochodu stewardesa toczyła inwalidzki wózek, siedział na nim starzec w ciemnych okularach, z kosmatym zawiniątkiem, które zeskokczyło mu z kolan i poraczkowało ku mnie. Małpka w zielonym spencerku, z myką na głowie. Patrzyła na mnie z dołu żwawymi czarnymi oczkami, a ja na nią, aż pognąła w podskokach za oddalającym się wózkiem. Uczepiła się mnie melodia rock and roila z fryzjerskiego zakładu tak natrętnie, że słyszałem ją w szumie kroków i głosów ludzkich. U ściany stał pod neonami elektroniczny automat do gry, wrzuciłem monetę i przez parę chwil odbijałem świetlną plamkę skaczącą po ekranie w roli piłeczki, ale razila oczy, więc odszedłem nie kończąc partii. Znowu szli pasażerowie do odprawy, zobaczyłem między nimi pawia — stał spokojnie ze zwieszonym ogonem, choć go prawie potrącali, a on przekrzywiał głowę jakby niepewny, kogo dziobnąć w nogę. Najpierw małpka, teraz paw. Może ktoś go zgubił? Nie mogąc przepchać się przez ciżbę, obszedłem to miejsce stroną, ale już nie znalazłem pawia. Wspomniałem taras, rozejrzałem się za drogą, tymczasem obrany korytarz

sprowadził mnie na dół, w labirynt złotników, kuśnierzy, kantorków, małych sklepów, przystając bezmyślnie przed wystawami doznałem wrażenia głębin pod płytami, na których stałem, jakbym stał na zamarzniętej tafli jeziora. Zupełnie jakby dworzec miał pod sobą swój głuchy, ciemny negatyw. Właściwie mówiąc, niczego nie widziałem i nie czułem, ale wiedziałem o tej głębi. Pojechałem na górę, ale do innego skrzydła, bo do hali pełnej pojazdów. Ciasnymi rzędami czekały załadunku — wózki do golfa, buggies, plażowe autka, łąziłem przejściami w masie spiętrzonych karoserii, bawiąc się blaskiem, co ściekał z ich lśniących blach niby fluoresceina. Przypisałem ten efekt oświetleniu i nowej emalii. Stałem przed złotym buggy, złoto miał oblane jakimś szkliwem, dostrzegłem w nim własne odbicie. Drgałem tam żółty jak Chińczyk z twarzą to wyciąganą w strunę, to puchnącą, ale przy pewnym położeniu głowy oczy zmieniały mi się tam w brązowe doły, z których wypelzały metalowe skarabeusze, a kiedy się pochylałem, za moim odbiciem zciemniało inne, większe. Obejrzałem się, nie było

nikogo, ale w lustrzanym złocie znów dostrzegłem tę postać, ciekawe złudzenie optyczne. Hala kończyła się zasuwanymi na rolkach wrotami, były zamknięte, wróciłem więc, jak przyszedłem, przedrzeźniany zewsząd rojem odbić każdego poruszenia, niczym w galerii krzywych luster. To powielenie było jakoś niepokojące. Zrozumiałem czemu: odbicia powtarzały mnie z drobnym opóźnieniem, chociaż to nie mogło być. Żeby pokonać tłukący się w głowie motyw rock and roila, zagwizdałem *John Brown's body*, na taras nie mogłem jakoś trafić, więc bocznym wyjściem wydostałem się na dwór. Mimo niedalekich lamp panował iście afrykański mrok o takiej konsystencji, jakby go można było ścisnąć w rękę. Przemknęło mi przez myśl, czy to nie początki kurzej ślepoty, czy z moją rodopsyną wszystko w porządku, ale widziałem już lepiej. Musiałem być po prostu oślepiiony marszem przez złocistą galerię — moje starawe oczy nie adaptowały się jak dawniej do zmian oświetlenia. Za parkingami stała w łunie wielka budowa. Pełzły tam między masztami reflektorów buldożery, pchając piasek aż mrowiącą we wzroku

zółcią. Nad tą nocną Saharą wisiała jak galaktyka płaska chmura rtęciowych ogni, a czarny przestwór poza nią raz za razem szyły zwolnione błyskawice — światła aut, zjeżdżających z autostrady w stronę dworca. Ten zwyczajny widok wydał mi się tajemniczo urokliwy. Bodaj wtedy dworcowa wędrownica nabrała wagi oczekiwania. Nie na pokój, choć o nim pamiętałem — ale na coś ważniejszego, jakbym sobie uświadomił, że zbliża się doniosła chwila. Była to właściwie pewność, a tylko jak człowiek niezdolny przypomnieć sobie nazwiska, które ma na końcu języka, nie potrafiłem dojść tego, na co czekam. Wmieszałem się w tłum u głównego wejścia, czy raczej on wciągnął mnie do środka. Z powrotem w hali uznałem, że pora coś przekąsić na stojąco, parówki okazały się jednak mdłe jak z papieru. Cisnąłem nie dojedzone z tacką do kosza i wszedłem do kafejki pod rozłożystym pawiem. Siedział nad wejściem, nadnaturalnie duży, nie mógł więc być wypchany. Byłem już raz pod tym pawiem, z Annabellą, przed tygodniem, nim znalazł nas jej ojciec. W środku siedziało kilka osób. Siadłem z kawą

w kącie plecami do ściany, bo poczułem przy barze czyjeś spojrzenie z tyłu, uporczywy wzrok, który schował się, bo nikt teraz na mnie nie patrzył. Jakaś ostentacja tkwiła w owej nieuwadze. W oddalonym świetle silników, który dobiegł tu jak z ważniejszego innego świata, rozdziobywałem łyżeczką twarde cukier na dnie filiżanki. Obok leżał na stoliku magazyn z czerwonym pasem przez czarną okładkę, chyba "Paris Match", ale kobieta, która siedziała tam z brudnawym amantem, zasłoniła nazwę pisma torebką. Umyślnie? Kto mnie rozpoznał — łowca autografów czy przypadkowy reporter? Niby nie chcący straciłem miedzianą popielniczkę. Mimo hałasu nikt się nie obejrzał. Utwierdziło mnie to w podejrzaniach. Nie chcąc być nagabywanym, wychyliłem jednym haustem kawę i wyszedłem z baru. Czuję się dość marnie. Nogi ruszały się jak puste rury, a kość ogonowa ukłuciami przypominała o swych niedawnych przejściach. Dość miałem waleśniania się. Wzdłuż filujących i migających witryn ruszyłem ku eskalatorowi we wielkie błękitne litery AIR FRANCE. Była to najkrótsza droga do hotelu.

Trzymałem się poręczy, jako że stalowe grzebienie stopni były wyślizgane, a woląłem nie ryzykować. W połowie kondygnacji zauważyłem, że przede mną stoi kobieta z psem na ręku. Drgnąłem od jej rozpuszczonych blond włosów, takich samych. Powoli zwróciłem głowę przez ramię, już wiedząc, kto stoi za mną. Sinawa od jarzeniówek twarz, płaska, w czarnych szklach. Prawie brutalnie przepchałem się obok blondynki w górę idących schodów, ale nie mogłem po prostu tak uciec. Stałem przy poręczy i wpatrywałem się w jadących, gdy eskalator wyrzucał ich miarowo na podest. Blondynka prześliznęła się po mnie spojrzeniem i przeszła. Na ręku miała zwinięty frędzlisty szal. Wziąłem te frędzle za ogon psa. Mężczyzna był otyły i blady. Nic z Mongoła. Esprit de l'escalier, pomyślałem — ale żeby aż z tygodniowym opóźnieniem? Źle ze mną, pora spać! Po drodze kupiłem schweppesa, wetknąłem butelkę do kieszeni i z ulgą odczytałem godzinę z zegara w recepcji. Pokój już czekał. Garson zaniósł przede mną bagaż, ustawił w przedpokoju mniejszą walizkę na większej, wziął pięć franków i poszedł. Hotel zalegała poufna cisza, w

której świst lądującej maszyny zabrzmiał jak przez omyłkę. Dobrze, że pamiętałem o schweppesie, chciało mi się pić, ale nie miałem czym zdjąć kapsli, wyrząłem więc na korytarz, mogła być gdzieś lodówka, a w niej otwieracz. Uderzyła mnie ciepła barwność korytarzowego chodnika i ścian, z uznaniem pomyślałem o dekoratorach francuskich wewnątrz. Znalazłem lodówkę, otworzyłem schweppesa i wracałem już, gdy zza zakrętu korytarza wyszła Annabella. Wyższa w ciemnej sukience niż ją pamiętałem, ale z tą samą wstążką we włosach i z tym samym uważnym wyrazem ciemnych oczu szła mi naprzeciw, huśtając lekko torebką przewieszoną przez ramię. Znałem i tę torebkę, ale kiedy widziałem ją po raz ostatni, była rozpruta. Stała przy drzwiach mego pokoju, uchylonych, bo nie zamknąłem ich wychodząc.

— Annabella, co ty tu robisz — chciałem powiedzieć tyleż zaskoczony, co uradowany, lecz tylko niewyraźne “A...” dobyło mi się z ust, bo weszła do pokoju, przyzywając mnie ruchem głowy i spojrzeniem tak znaczącym, że stanąłem jak wryty.

Wewnętrzne drzwi zostawiła nie domknięte. Skonsternowany pomyślałem, że może chce mi powierzyć jakąś swoją tajemnicę, kłopot, ale nim przekroczyłem próg, usłyszałem dwa wyraźne stuknięcia pantofelków strącanych na podłogę i skrzypnięcie łóżka. Z tym odgłosem w uszach, pełen sprawiedliwego oburzenia, wszedłem i za tchnąłem się: pokój był pusty.

— Annabella! — krzyknąłem. Pościel była nietknięta. — Annabella! — Milczenie. Łazienka? Otwarłem ją ciemną i czekałem u progu, aż z migocącym opóźnieniem zapłoną jarzeniówki. Wanna, bidet, ręczniki, umywalka, lustro, a w nim moja twarz. Wróciłem do pokoju, nie śmiać się już odezwać. Chociaż nie mogła mieć czasu, by ukryć się w szafie, otworzyłem ją. Była pusta. Z miękkimi kolanami siadłem na fotelu. Jeszcze teraz mogłem opisać z największą dokładnością, jak szła, co niosła, uzmysłowiłem sobie, że wydała mi się wyższa, bo miała na nogach pantofelki na wysokim obcasie, a w Rzymie chodziła w płaskich trepkach. Pamiętałem wyraz jej oczu, kiedy przestępowała próg, to, jak

spojrzała na mnie i jak się jej włosy przesypywały przez ramię od zwrotu głowy. Słyszałem jeszcze, jak stuknęły jej trzewiki, impertynencko strząśnięte z nóg, jak odezwała się siatka łóżka — te odgłosy kolnęły mnie wprost, i wszystko to było czystym przywidzeniem? Halucynacją?

Po kolei dotknąłem własnych kolan, piersi, twarzy, jakby w tym porządku należało rozpocząć dociekania, powiodłem obu rękami po szorstkim obiciu fotela, wstałem, przeszedłem przez pokój, uderzyłem pięścią w uchylone drzwi szafy, wszystko było solidne, nieruchome, martwe, wyraźne, a jednak niepewne. Zatrzymałem się przed telewizorem i w wypukłej matówce jego szyby ujrzałem pomniejszone odbicie łóżka i dwa dziewczęce pantofelki, porzucone niedbale na dywaniku. Odwróciłem się ze zgrozą.

Nie było tam nic. Przy telewizorze stał telefon. Podniosłem słuchawkę. Usłyszałem sygnał, ale nie wykręciłem ani jednej cyfry. Co miałem właściwie powiedzieć Barthowi — że w hotelu zwidziała mi się dziewczynka i dlatego boję się być sam? Odłożyłem słuchawkę, wyjąłem z walizki neseser i poszedłem do

łazienki, aby zastygnąć nagle nad umywalką.

Wszystko, co robiłem, od razu znajdowało znany odpowiednik. Chlustałem zimną wodą na twarz, jak Proque. Natarłem skronie wodą kolońską, jak Osborn. Wróciłem do pokoju, nie wiedząc, co począć. Nic się ze mną nie działo. Jedyną rozsądną rzeczą było jak najprędzej położyć się do łóżka i zasnąć. Zarazem bałem się rozebrać, jakby ubranie stanowiło osłonę — to było przynajmniej jasne. Poruszając się bezszelestnie, żeby nie zbudzić licha, zdjąłem spodnie, trzewiki, koszulę i wparłem głowę w poduszki, zgasiwszy duże światło. Niepokój szedł teraz z otoczenia — z majaczkowej domyślności sprzętów w mżeniu lampki nocnej. Wylączyłem ją. Naszło mnie odrętwienie. Nakazałem sobie powolne miarowe oddechy. Ktoś zapukał do drzwi. Nawet nie drgnąłem. Zapukał ponownie, potem uchylił je i wszedł do przedpokoju. Ciemna sylwetka na tle korytarzowej jasności zbliżyła się do łóżka.

— Monsieur...

Nie wydałem z siebie głosu. Postał nade mną, położył coś na stole i cicho się wycofał. Zamek

szczęknął, zostałem sam. Zwlokłem się z łóżka raczej rozbity niż odurzony i zaświeciłem kinkiet. Na stole spoczywał złożony blankiet telegraficzny. Z bijącym sercem, na niepewnych nogach, wziąłem do ręki depezę. Była adresowana do mnie, w hotelu Air France. Spojrzałem na podpis i mróz poszedł mi po kościach. Zacisnąłem mocno powieki, otwierałem je i jeszcze raz odczytałem nazwisko człowieka, który nie żył dostatecznie długo, by zgnić pod ziemią.

CZEKAM RZYM HILTON POKÓJ 303

ADAMS

Odczytałem tekst z dziesięć razy, przybliżając go do oczu, obracając depezę na wszystkie strony. Nadano ją w Rzymie o 10.40, a więc przed dobrą godziną. Może był to zwykły błąd? Randy mógł się przeprowadzić do Hiltona, w hoteliku koło Hiszpańskich Schodów stanął, bo nie znalazł niczego innego, a teraz przeniósł się i dawał mi o tym znać. Dostał moją wiadomość, nie doczekał się mego przybycia, usłyszał o wstrzymaniu lotów i wysłał telegram. Ale czemu właśnie tak przekręcono nazwisko? Usiadłem pod ścianą i rozważałem, czy to

nie może być jednak sen. Nade mną świecił kinkiet. Wszystko, na co patrzyłem, zmieniało się. Zasłona okienna, telewizor, zagięty róg dywanu, rysunek cieni stawały się zapowiedziami czegoś niepojętego. Zarazem całe otoczenie uzależniało się ode mnie. Istniało wyłącznie dzięki mej woli. Postanowiłem wyłączyć z niej szafę. Blask politory zaćmił się, kontur drzwi pociemniał, ściana pękła nieregularnym czarnym wyłomem pełnym śliskiego pełzania. Usiłowałem odtworzyć szafę, nadaremnie. Wnętrze pokoju tajało od półmrocznych kątów, mogłem ocalić to tylko, co trwało w świetle. Sięgnąłem po telefon. Słuchawka wygięta drwiącym kształtem ślizgała mi się w garści, telefon był szarym kamieniem o chropowatej powierzchni, z dziurą zamiast tarczy. Palce przeszły przez tę powierzchnię na wylot, dotknęły czegoś zimnego. Na stole leżał długopis. Wyteżając wszystkie siły, żeby był, napisałem w poprzek blankietu wielkimi kulfonami:

11,00 NAUSEA

11,50 ILUZJE I DELUZJE

Ale pisząc, puściłem otoczeniu wodze i już nie

mogłem go opanować. Czekałem na rozpad pokoju, tymczasem przyszło niespodziewane. Zauważyłem, że coś dzieje się w pobliżu. Poblize to było, jak się zorientowałem, moim ciałem. Stawało się większe. Nogi i ręce oddalały się ode mnie. W strachu, że uderzę głową o sufit, rzuciłem się na łóżko. Leżąc na wznak, oddychałem z trudem, pierś podnosiła mi się jak kopuła Świętego Piotra, w każdą garść mogłem wziąć parę sprzętów, co tam, cały pokój by się w niej zmieścił. To koszmar — powiedziałem sobie. Nie trzeba nań zważać! Powiększyłem się już do tego stopnia, że brzegi ciała uszły w mrok. Błąkały się gdzieś, odbiegłe na mile. Traciłem w nich czucie. Zostało tylko wewnątrz. Było ogromne. Obszar labiryntowy, przepaść między moim myśleniem a światem. Zresztą nie było już świata. Pochylałem się bez tchu nad tą swoją czeluścią. Tam, gdzie miałem przedtem płuca, wnętrzości, żyły, teraz spoczywały tylko myśli. To one były takie olbrzymie. Zobaczyłem w nich moje życie. Było rosochate, pozgniatane, żarzyło się, zwęglalo i popielilo. Rozsypało się w ognisty kurz, w czarną Saharę. Ona była moim

życiem. Pokój, w którym leżałem jak ryba na dnie, też skurczył się w ziarenko. Też był we mnie. A ponieważ nie ustający rozrost poza granicami ciała trwał, poczułem lęk. Niszczyła mnie straszna potęga mojej przestrzeni rozsadzonej, która pochłaniała wszystko łapczywym rozbiegiem. Jęknąłem z rozpaczą, wsysany w głąb, i zacząłem się dźwigać na łokciach, jakby opierały się o materac gdzieś w środku Ziemi. Bałem się, że poruszeniem ręki strzaskam mur. Mówiłem sobie jeszcze, że to nie może być, ale zarazem każdym włóknem i nerwem czułem, że tak jest. W bezrozumnej próbie ucieczki zwlokłem się z łóżka, upadłem na kolana,, dotarłem po ścianie do kontaktu.' Światło zalało pokój białością tnącą jak nóż. Zobaczyłem stół, ociekły tęczową mazią, telefon, wyprażony jak kość, daleko w lustrze własną twarzą świecącą od potu, poznałem ją, ale nic się nie zmieniło. Próbowałem pojąć, co się ze mną dzieje, co za potęga rozsadza mnie, szukając ujścia. Czy byłem nią? Tak i nie. Obrzmiała raka pozostaje moją ręką. Ale gdyby urosła w górę mięsa i przywalila mnie wrzącym masywem, czy mógłbym uznać, że to jest

wciąż jeszcze moja ręka, a nie moc, która ją rozsądziła? Ilekroć usiłowałem stawić opór metamorfozom, spóźniałem się, bo wszystko było już odmienione. Wzrok mój podnosił teraz strop, odsuwał go, każde miejsce pod moim spojrzeniem gięło się, kłęsało, zapadało, jak gdybym płonął i roztopiał oczami budowę z wosku. To majaki! — spróbowałem się odezwać. Słowa te doszły mnie jak echo ze studni. Odepchnąłem się od ściany, stanąłem na szeroko rozstawionych nogach, uchodzących w miękką masę parkietu, obróciłem głowę jak kopułę olbrzymiej wieży i dostrzegłem zegarek na nocnym stoliku. Jego tarcza była dnem świetlistego leja. Wskazówka sekundnika drobila po niej niesamowicie spowolnionym ruchem. Za wskazówką zostawał ślad, bielszy od emalii cyferblatu, który poszerzał się w widzialną z wysoka równinę z korowodami wojsk. Wapnisty grunt między maszerującymi rwały wybuchy, ich dym wykręcał się w twarze, w miękkie maski bezgłośnej agonii. Mrowie piechurów zeszkliło się, uchodząca z nich krew tworzyła okrągłe plamy czerwonego błota, szli dalej w miarowym werblu,

okryci kurzem i krwią. Bitwa zmaląła, kiedy odłożyłem zegarek, ale nie ustała. Pokój zachwiał się. Wykonał powolny obrót, odrzucając mnie na strop. Coś zatrzymało mnie w upadku. Osunąłem się na kolana i ręce. Leżałem obok łóżka, a pokój gnał coraz wolniej, wszystko łączyło się na powrót, aż zatrzymało. Z głową przy podłodze, jak pies, spojrzałem na zegarek, oparty o lampkę na stoliku. Pokazywał kwadrans przed pierwszą.

Nic się już tam nie działo, sekundnik szedł spokojnie jak mrówka. Usiadłem na posadzce, trzeźwiony jej chłodem. Pokój jawił mi się w białym świetle jak wypełniony litym kryształem, pełnym milczącego dźwięku, z zatopionymi świetlicie przedmiotami. Każdy sprzęt, każdy fałd zasłony okiennej, cienie padające od stołu trwały w tym przejaśnionym ośrodku z niewysłowioną doskonałością. Nie zwracałem najmniejszej uwagi na tę urodę, napięty jak strażak, który oczekując w amfiteatrze dymu, nie widzi piękna sceny. Słaby i lekki wstałem. Przemagając obcość palców, dopisałem na blankiecie:

12,50 ULGA PLIMASINA RANO ORŁY — FRYZJER

Tyle wiedziałem. Pochylony nad stołem, patrząc jeszcze na krzywe litery, wyczułem kolejną przemianę. Odbłyśki na powierzchni stołu zawachlowały skrzydłami ważek, wzbily się, stół załopotał mi w twarz szarymi na zebrowaniach skrzydłami nietoperzy, ich popłoch stłumił mleko nocnej lampki, krawędź stołu zwiotczała, chwycona, w garściach — nie mogłem ani ujść natłokowi przekształceń, ani nadażyć za nim, w tej następnej godzinie szybkość przeistoczeń stała się zawrotna, poczwarne, majestatyczne, szydliwe wiały przeze mnie jak wiatr, także przy zaciśniętych powiekach — oczy stały się zbędne. Pamiętam nieokreślony, bezustanny wysiłek, z którym wyrzucałem z siebie ten obcy żywioł, jakbym chciał go zwymiotować — to było daremne, ale bronilem się, coraz mniej było we mnie widza, stawałem się częstką rozmrowlonych widzeń, ich drgającą skazą. Po pierwszej jeszcze raz się wynurzyłem. Proces szedł falami, jak perystaltyka, ale każda faza, zdając się osta-

tecnością, zyskiwała w następnej na sile. Zwidy opuściły mnie między drugą a trzecią i to było najgorsze, bo otoczenie odzyskało swój normalny wygląd zewnętrzny, ale na innej jawie. Jak to wyrazić? Sprzęty i ściany stały zeskalone, zapiekłe, obwarowane w potwornym przejściu: czas zatrzymał się i dlatego tylko otoczenie, które szło na mnie zewsząd lawiną, przystanęło jak w rozciągniętym magnetycznym błysku. Cały pokój był jak bezdech między dwoma rykami, to, ku czemu zmierzał, z bezczelną złośliwością widniało w zbiegach wzoru tapety, w obrazie zamków Loary nad łóżkiem, w zielonych gazonach tych zamków. Ta zieleń była moim wyrokiem, patrzałem na nią klęcząc, w zrozumieniu, że muszę przegrać. Rzuciłem się wtedy na pokój, tak, na pokój — porozrywałem sznury od firanek i zasłon, zdarłem ich materiał z zaczepów, ściągnąłem z łóżka pościel, cisnąłem cały zabójczy kłęb do wanny, zamknąłem łazienkę, a klucz złamałem, wbijając go w otwór zatrzasku zewnętrznych drzwi, ale kiedy oparłem się zdyszany o framugę na pobojuwisku, pojąłem, że to nic nie

pomoże. Nie mogłem usunąć okien ani murów. Wyrzuciłem na podłogę rzeczy z walizek, dokopałem się płaskich obrączek z łączącym je metalowym króćcem — Randy wręczył mi je z uśmiechem w Neapolu, bym mógł zakuć mordercę, jeśli go będę miał. Miałem go. Spomiędzy koszul sypnęły się ciemne bryłki, migdały z rozerwanego opakowania — nie mogłem już o nich pisać, bałem się, że nie zdążę, rzuciłem tylko garść na blankiet depeszy, przywlokłem fotel do grzejnika, rozsiadłem się w nim, z grzbietem wpartym w obicie, nogami w podłogę i przykuty do grzejnej rury, napięty do ostatka czekałem na TO jak na start. Wystartowałem ani w górę, ani w dół, lecz w głąb — w gorącorudej mgle, wśród roztańczonych ścian, na uwięzi, więc chociaż rwałem się jak pies na łańcuchu, nie mogłem niczego dosięgnąć oprócz nogi łóżka. Udało mi się je przyciągnąć i jakby ogień dusił, wbijałem twarz w materac, dogryzłem się wypełniającej go gąbczastej masy, ale nie dusiła, porowata, więc złapałem się wolną ręką za gardło i zgmiotłem je, jęcząc z rozpaczy, że wciąż nie mogę z sobą skończyć.

Pamiętam, że nim straciłem przytomność, czułem w czasie eksplozje. Musiałem tłuc głową o rury. Pamiętam mały błysk ostatniej nadziei, że teraz może się uda. Potem nic więcej. Umarłem i nie wydawało mi się ani trochę dziwne, że o tym wiem. Płynąłem później czarnymi wodospadami niewiadomych grot w huku i szumie, jakby tylko jeszcze mój słuch nie ze wszystkim skończył. Słyszałem bicie dzwonów. Czerń stała się różowa. Otwarłem oczy i zobaczyłem wielką, obcą, bladą, nadludzko spokojną twarz, pochyloną nade mną. Była to twarz doktora Bartha. Poznałem go od razu i chciałem mu to powiedzieć, ale już w całkiem banalny sposób zemdląłem.

Znaleziono mnie o czwartej rano, przykutego do grzejnika, bo Włosi z sąsiedniego pokoju zaalarmowali służbę, a ponieważ wyglądało to na atak szału, dostałem zastrzyk uspokajający, nim przewieźli mnie do szpitala. Zaczny Barth, posłyszawszy nazajutrz o wstrzymaniu lotów, zatelefonował do Orły i dowiedziawszy się o moim losie, pojechał do szpitala, w którym leżałem wciąż jeszcze nieprzytomny. Obudziłem się na dobre

dopiero po trzydziestu godzinach. Miałem nadwreżone żebra, pogryziony język, w kilku miejscach zeszytą głowę, spuchnięty jak bania nadgarstek ręki, co tkwiła w kajdankach, bo tak się w nich rwałem. Szczęśliwie regulator, do którego się przykułem, był z żelaza — plastikowy na pewno by się rozkruszył, a wtedy wyskoczyłbym przez okno; na niczym w świecie nie zależało mi tak, jak właśnie na tym.

Pewien kanadyjski biolog zauważył, że ludzie, którzy nie łysieją, mają w tkance skórnej taki sam związek nukleinowy, jak również nie łysiejące małpy wąskonose. Substancja ta, nazwana "małpim hormonem", okazała skuteczność w zwalczaniu łysienia. W Europie maść hormonową zaczęła produkować przed trzema laty szwajcarska firma podług amerykańskiej licencji Pfizera.

Szwajcarzy zmienili budowę tego preparatu tak, że stał się bardziej skuteczny, ale i wrażliwszy na ciepło, od którego ulegał szybko rozkładowi.

Podczas nasłonecznienia skóry hormon zmienia budowę chemiczną i może się wtedy pod wpływem

ritaliny przekształcić w preparat X doktora Dunanta, depresor psychiczny, ale wywołuje zatrucie tylko podawany w dużych ilościach. Ritalina znajduje się we krwi osób, które ją zażywają, a hormon jest stosowany zewnętrznie, jako maść, zawiera ona jednak przymieszkę hialuronidazy, ułatwiającej przedostawanie się leku przez skórę do naczyń krwionośnych. Lecz po to, aby doszło wtedy do zatrucia z psychotycznym efektem, trzeba by wcierać w skórę bodaj 200 gramów maści na dobę i podawać równocześnie większe od maksymalnych dawki ritaliny.

Katalizatorem, milionkrotnie potęgującym działanie depresora, są związki cyjanków z siarką — rodanki. Trzy litery, symbole chemiczne, C N S, stanowią klucz zagadki. Siady cyjanku znajdują się w gorzkich migdałach. Nadają im charakterystyczną, piekącą goryczkę. W kilku neapolitańskich wytwórniach palonych migdałów panowała plaga karakonów. Jako dezynsektora używali cukiernicy preparatu zawierającego siarkę. Jej ślady dostawały się do emulsji, w której moczono migdały przed

włożeniem do pieca. Nie dawało to żadnych efektów, dopóki temperatura piekarnika była niska. Dopiero przy przekroczeniu temperatury karmelizacji cukru cyjanki migdałów łączyły się z siarką w rodan. Lecz i rodan, jeśli sam wprowadzony do organizmu, nie jest jeszcze skutecznym katalizatorem czynnika X. W roztworze reagujących ciał muszą znajdować się wolne jony siarkowe. Jony takie, w postaci siarczanów i siarczynów, pochodziły z leczniczych kąpeli. Tak więc ginął ten, kto stosował maść hormonową, zażywał ritalinę, brał siarkowe kąpiele i gustował w migdałach palonych po neapolitańsku w cukrze. Rodanki katalizowały reakcję w ilościach tak znikomych, że wykryć można je było tylko chromatografią. Warunkiem bezwiednej samozagłady było łakomstwo. Kto nie mógł jako cukrzyk jeść słodczy albo ich nie lubił, uchodził cało. Szwajcarska odmiana maści znajdowała się w sprzedaży w całej Europie, i to od dwóch lat — jakoż wcześniej nie zanotowano żadnych wypadków. W Ameryce nie było ich, bo tam miał na rynku wyłączność Pfizer, a jego hormon nie rozkładał się poza

lodówką tak łatwo jak europejski. Kobiety nie używały maści, przeznaczonej dla mężczyzn, toteż nie mogło ich być wśród ofiar.

Nieszczęsny Proque wszedł w potrzask inną drogą. Niełysiał, więc nie potrzebował hormonu, nie chodził na plażę, nie brał kąpieeli siarkowych, lecz jony siarki wsączyły mu w krew wdychane w ciemni pary siarczynowych wywoływaczy, ritalinę zażywał przeciw senności, a związek X podał mu doktor Dunant, gdy stłukł okulary. Uczony i cierpliwy doktor, rozcierając na miazgę każdy strzępek, każdą szczyptę kurzu z zakładu Proque'a, robiąc wyciągi z dykty przepierzenia i z- szlifierskiego prochu, nie wiedział, że tajemnicza substancja, której szuka, znajduje się cztery metry nad jego głową, jako paczka z cukrowymi migdałami w szufladzie starej komody.

Migdały, znalezione z moimi notatkami na stole, otwarły chemikom Bartna oczy na swoje znaczenie — brakującego ogniwa.

Może nieistotny, ale dość zabawny jest pewien anegdotyczny szczegół. Już w Stanach powiedział mi znajomy chemik, że kwiat siarczany, który mały

Piotruś wsypał mi do łóżka, nie mógł odegrać żadnej roli w zatruciu, ponieważ jako siarka w stanie stałym, obrócona sublimacją w pył, nie jest rozpuszczalny. Chemik ten stworzył ad hoc następującą hipotezę. Siady siarkowych jonów w mojej krwi pochodziły z siarkowanego wina. Jak to we Francji, pijałem je przy każdym posiłku, ale w domu Bartha, bo się poza nim nie stołowałem, a chemicy z CNRS Wiedząc o tym, przemilczeli tę ewentualność, aby nie wprowadzić w konfuzję własnego szefa domniemaniem, że podaje gościom lichego trunka.

Pytano mnie potem, czy te migdały były moim heureka. Najłatwiej byłoby przytaknąć lub zaprzeczyć, ale po prostu nie wiem. Już przedtem, niszcząc co mi wpadło w ręce, rzucając do wanny wszystko, co wydawało mi się zabójczo groźne, działałem w sposób szalony, choć była w tym szaleństwie iskra samozachowawczej metody, więc i z migdałami mogło być podobnie. Chciałem je, to wiem, dołączyć do notatek i gest ten mógł być jedynie skutkiem wieloletniej rutyny. Wdrażano mnie do protokołowania zajęć w warunkach maksymalnego

stresu, żądając realizacji niezależnej od mych domniemań, czy jakiś fakt jest istotny. Mógł to być też błysk intuicji, łączący w jedno ranną burzę, atak kichania, tabletkę ugrzęzła w przelyku, migdały, którymi ją przegryzłem i obraz Proque'a, jak wszedł po raz ostatni do cukierni na rogu rue Amelie. Wyczyn taki zdaje mi się zbyt piękny, aby był prawdziwy. Skojarzyłem migdały ze sprawą neapolitańską chyba przez to, że cukiernik usypał z nich podobiznę Wezuwiusza w oknie wystawowym. Ponieważ Wezuwiusz nie miał nic do rzeczy, okazał się złączem magicznym, choć zbliżył mnie do sedna. Co prawda, uważnie przepatrując moją relację można zauważyć, ile razy przychodziło podczas śledztwa do takich zbliżeń — ale nic z nich nie wynikło. Do sedna zbliżył się Barth, chociaż chybił domysłem o politycznym tle wypadków — ale słusznie kwestionował dokonany wybór “grupy jedenastu” i trafnie orzekł, czemu ofiarami padali tylko cudzoziemcy, i to samotni, jako izolowani od włoskiego otoczenia dubeltowo — nieznajomością języka i brakiem bliskich. Zwiastunami zatrucia były zmiany usposobienia, któ-

re dostrzec mógł wcześniej tylko ktoś pozostający z ofiarą w zażyłości. Udało się potem dotrzeć do kilku przypadków poronnych, gdy zatruciu ulegali Włosi lub obcokrajowcy przebywający w Neapolu z żonami. Przebieg był zwykle podobny. Żona, zaniepokoiwszy się dziwnymi postępkami męża, obserwowała go coraz baczniej, a kiedy przychodziły urojenia, wszystkimi siłami nakłaniała go do wyjazdu. Odruch ucieczki do domu zdawał się naturalną reakcją na niezrozumiałe zagrożenie. Natomiast Włosi już we wstępnej fazie zatrucia dostawali się pod opiekę psychiatryczną — najczęściej pod naciskiem rodziny — więc i wówczas dochodziło do całkowitej zmiany trybu życia, człowiek przestawał jeździć autem, zażywać plimasinę, przerywał kurację kąpielową, toteż objawy wnet ustępowały. Śledztwo nie dotarło do tych poronnych przypadków przez banalną okoliczność. Zawsze znalazł się wtedy ktoś z otoczenia zatrutego, kto wycofywał nadpłacony abonament, a księgi zakładów notowały salda finansowe, nie zaś same fakty poniechania kuracji, toteż po niedoszłych ofiarach nie zostało w nich żadnego śladu.

Zresztą więcej czynników postawiło śledztwu zapory. Nikt nie obnosi się z tym, że używa maści przeciw łysieniu. Kto wcale nie dbał o łysinę albo przekładał perukę nad lekarstwo, uchodził zagrożeniu, lecz jakże można było tego dojść? Kto nie używał hormonu, nie miał, zdrów i cały, nic do wyznania, a kto go używał, ginął. Opakowań maści szwajcarskiej nie było w rzeczach ofiar, bo należało ją przechowywać w lodówce, o którą łatwo w domu, ale nie w hotelu, więc skrupulatni starsi panowie nie wozili się z preparatem, a tylko odwiedzali miejscowych fryzjerów. Maść należało aplikować co dziesięć dni, więc każda z ofiar tylko raz poddała się temu zabiegowi w Neapolu, nikomu jednak nie przyszło do głowy wypytywać w śledztwie po zakładach fryzjerskich, co wcierają tam w skalpy niektórym klientom.

Na koniec odznaczały się ofiary podobieństwem fizycznym, jako że wspólne były im pewne cechy psychiczne. Byli to mężczyźni na progu przekwitania, jeszcze w pretensjach, którzy walczyli z nadchodzącą starością, a jednocześnie się z tym kryli. Kto

przekroczył już smugę cienia i lisy jak kolano, po sześćdziesiątce, zrezygnował z prób odzyskania młodego wyglądu, ten nie poszukiwał już żadnych cudownych leków, a kto znów łysiał przedwcześnie, pod trzydziestkę, nie miał zmian reumatycznych tak posuniętych, że wymagały kuracji balneologicznej. Groźba wisiała więc tylko nad tymi, którzy weszli w smugę cienia i przebywali w niej. Im dokładniej oglądało się teraz fakty[^] tym jawniejsza była ich spójność. Zatrucia nie wydarzały się poza okresem kwitnienia traw, bo kierowcy nie zażywali poza nim plimasyny, a kto miał ciężką obłożną astmę, ten nie prowadził auta, więc i jemu był zbędny preparat przeznaczony dla kierowców.

Barth odwiedzał mnie w szpitalu okazując tyle życzliwości, że wybrałem się do niego z pożegnalną wizytą przed odlotem do Stanów. Piotruś czaił się przy schodach, ale schował się na mój widok. Zrozumiałem, o co chodzi i zapewniłem go, że pamiętam o hełmie. U Bartna był doktor Saussure, bez surduta, ale w koszuli o mankietach jak żaboty. Zamiast tranzystora nosił na szyi zegarek. Przeglądał

książki w bibliotece, a Barth powiedział mi bardzo zabawną rzecz: że próba zastosowania komputera w śledztwie powiodła się wprost doskonale, chociaż komputer, nie zaprogramowany i nie uruchomiony, nic nie działał. Gdybym jednak nie był przyleciał do Paryża z tym właśnie planem, to nie zamieszkałbym w jego domu, nie wzbudziłbym sympatii jego babki, mały Piotruś nie ratowałby mnie jej kwiatem siarczanym po upadku ze schodów — jednym słowem, udział komputera w rozwiązaniu zagadki jest niewątpliwy, choć czysto idealny. Śmiejąc się zauważyłem, że karambolaż zupełnie przypadkowych zajść, który pokierował mną do samego centrum tajemnicy, wydaje mi się teraz jeszcze bardziej zdumiewający niż ona sama.

— Popelnia pan błąd egocentryzmu! — odwrócił się od szafy bibliotecznej Saussure. — Ta seria jest nie tyle znamiem teraźniejszości, ile zwiastunem jutra. To jego zapowiedź, jeszcze niezrozumiała...

— A pan ją rozumie?

— Domyślałem się jej wskazań. Ludzkość tak się rozmnożyła i zgęściła, że zaczynają nią rządzić prawa

atomowe. Każdy atom gazu porusza się chaotycznie, lecz właśnie ten chaos rodzi porządek jako stałość ciśnienia, temperatury, ciężaru właściwego i tak dalej. Pana mimowolny sukces wygląda paradoksalnie — na długą serię nadzwyczajnych koincydencji. Ale to się tylko panu tak zdaje. Powie pan: mało jeszcze było spaść ze schodów Bartha, wciągnąć siarkę zamiast tabaki, potrzebny był jeszcze pański rekonesans na rue Amelie, spowodowany historią Proque'a, kichanie przed burzą, migdały kupione dla dziecka, odwołanie rzymskich lotów, przepelniony hotel, fryzjer, o bodaj i to, że był Gaskończykiem — żeby ruszyła reakcja łańcuchowa.

— Och, nawet gorzej — wtrąciłem. — Gdyby mój udział w wyzwoleniu Francji nie ograniczył się do złamania kości ogonowej, to kontuzja raczej nie odnowiłaby mi się na schodach w Rzymie, więc i tu pozbierałbym się cały. Jeżelibym się nie dostał na rzymskie schody tuż przed zamachowcem, to moje zdjęcie nie pojawiłoby się w "Paris Match", a bez tej ostrogi, zamiast walczyć o pokój w Air France, pojechałbym na nocleg do Paryża i znów skończyłoby

się na niczym. Ale przecież już samo prawdopodobieństwo mojej obecności przy zamachu było astronomicznie małe a priori. Mogłem polecieć inną maszyną, mogłem stanąć na innym stopniu... Cóż dopiero, kiedy wszystko przedtem i potem również składało się z samych takich astronomicznych nieprawdopodobieństw! Przecież gdybym się nie dowiedział o sprawie Proque'a, to nie wybrałbym się do Rzymu, akurat kiedy zawieszono loty, a wszak i to był najczystszy zbieg okoliczności.

— To, że pan poznał sprawę Proque'a? Nie sądzę. Mówiliśmy właśnie o tym z doktorem, nim pan przyszedł. Poznał pan tę sprawę dzięki komerażom Surete i Defense, a doszło do nich przez rozgrywki polityczne. Ktoś życzył sobie kompromitacji pewnego wojskowego, bawiącego się w politykę i patronującego doktorowi Dunant. To taki bilard, wie pan.

— Miałem być bilą czy kijem?

— Miał pan, jak przypuszczamy, przyczynić się do odgrzebania akt Proque'a, a pośrednio do zaszkodzenia Dunantowi...

— Ale jeśli tak nawet było, jakież związek między celem mego przyjazdu do Paryża a politycznymi komerażami we Francji?

— Żaden, oczywiście. Właśnie dlatego tak silny zbiór trafów, mierzących z taką precyzją w samo centrum zagadki, wydaje się panu sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem. Otóż powiadam: precz z tym zdrowiem! Istotnie — każdy z osobna wzięty odcinek pana perypetii jest dość jeszcze wiarygodny, ale trajektoria wypadkowa, powstała ze złożeniem tych odcinków, zakrawa na cud. Tak pan myśli, nieprawdaż?

— Żeby pan wiedział.

— Tymczasem stało się, o czym panu mówiłem tu, na dole, przed trzema tygodniami, mój panie. Proszę sobie wyobrazić strzelnicę, w której ustawiają zamiast tarczy znaczek pocztowy — pół mili od stanowisk strzeleckich. Jest to dziesięciocentymowy znaczek z Marianną. Na jej czole mucha zostawiła kropkę. Niech teraz kilku strzelców wyborowych weźmie się do strzelania. Nie trafią kropki na pewno, choćby dlatego, że nie będą w ogóle mogli jej do-

strzec. Niechaj jednak strzelaniem zajmie się stu strzelców miernych, ale niech prażą całymi tygodniami. Jest zupełnie pewne, że kula jednego z nich w końcu trafi tę kropkę. Trafi ją nie dlatego, że był to strzelec fenomenalny, ale dlatego, że tak gęsto się strzelało. Zgodzi się pan?

— Tak, ale to nie wyjaśnia...

— Nie skończyłem. Jest lato i w strzelnicy nie brak much. Prawdopodobieństwo trafienia kropki było bardzo małe. Prawdopodobieństwo równoczesnego trafienia kropki oraz muchy, co się nawinęła pod lufę, jest jeszcze mniejsze. Prawdopodobieństwo trafienia kropki i trzech much tą samą kulą będzie już astronomicznie znikome, jak się pan wyraził, a jednak zapewniam pana, że i taka koincydencja się ziści, jeśli tylko strzelanina będzie dostatecznie długo trwała!

— Przepraszam, ale pan mówi o całym potopie strzałów, a ja byłem jeden...

— To się tak panu tylko wydaje. W danym przedziale czasu kula, trafiająca kropkę przez trzy muchy, też będzie tylko jedna. Strzelec, któremu to

się przydarzy, będzie się obnosił ze swoim zdumieniem tak samo, jak pan. To, że o n właśnie trafił, nie jest ani cudowne, ani dziwne dlatego, ponieważ ktoś musiał trafić. Pojmuje pan? Zdrowy rozsądek jest tu na nic. Stało się to, co panu zapowiedziałem. Zagadkę Neapolu zrodził mechanizm losowy i taki sam mechanizm ją rozwiązał. W obu członach zadania działało prawo wielkiej liczby. Naturalnie, nie spełniwszy choć jednego warunku z ich koniecznego zbioru, nie zatrulby się pan, lecz prędzej czy później ktoś inny spełniłby takie warunki. Za rok, za trzy lata, za pięć lat. Doszłoby do tego, bo żyjemy już w takim właśnie losowo zgęszczonym świecie. W molekularnym gazie ludzkim, chaotycznym i zdumiewającym “niewiarygodnościami” tylko poszczególne atomy — jednostki. To jest świat, w którym wczorajsza niezwykłość staje się dzisiejszym banałem, a dzisiejsza skrajność — jutrzejszą normą.

— Tak, ale ja...

Nie dał mi dojść do słowa. Barth, który go znał, patrzył na nas mrugając, jakby powstrzymywał

śmiech.

— Proszę wybaczyć, ale tu nie chodzi o pana.

— Więc gdyby nie ja, to kto? Jakiś detektyw?

— Nie wiem kto i wcale mnie to nie interesuje.

Ktoś. Słyszałem, że nosi się pan z zamiarem napisania książki o tej sprawie?

— Barth panu powiedział? Istotnie, mam już nawet wydawcę... ale czemu pan o tym mówi?

— Mówię o tym, bo to należy do rzeczy. Jakaś kula musi trafić na tej strzelnicy i jakiś człowiek musiał trafić w sedno tej sprawy. A skoro tak, to bez względu na autora i na wydawcę ukazanie się tej książki też było pewnością matematyczną.

Listopad 1975